



JERZY SUSZKO

KŁUSOWNIK  
O STU  
TWARZACH

KLUB  
SIEDMIU  
PRZYGÓD



**JERZY SZUSZKO**

**KŁUSOWNIK O STU TWARZACH**

## BUMERANG – KOŃ WIECZNIE MŁODY

Na dworze rozwidniało się. Maciek cicho zamknął za sobą drzwi, zeskoczył z ganku i pędem puścił się ku stajniom. Dogonił go Rex. Sadząc obok wielkimi susami, starał się dotknąć wilgotnym nosem dłoni chłopca. Maciek dopadł wierzei i, oparłszy się całym ciężarem na klamce, pchnął niskie drzwi. Otworzyły się z cichym zgrzytem. Rex przesadził próg i pierwszy znalazł się w stajni.

Skąpe, żółtawe światło żarówki wydobywało z mroku długi korytarz i boksy dla klaczy. Przed jednym majaczyła drobna postać. Poprzedzany przez Rexa Maciek podszedł spiesznie do stajennego i zajrzał do boksu. Kora stała bez ruchu z nisko opuszczoną głową.

— Jeszcze nie?

— Ano nie — mruknął stary.

— Dzień dobry — przypomniał sobie Maciek.

— Dzień dobry — odparł udobruchany Kazimierski i dodał: — Do dziesięciu dni powinna się ożrebić.

Maciek nie mógł ukryć zawodu.

— Do dziesięciu dni?

— A bo to długo?

— Nie pamięta pan, panie Kazimierski, miała kiedy siwe?

— No pewnie, że miała. Korsarz był siwy, potem ta... Knieja... była siwa. Ale nie jest powiedziane, że to będzie siwe.

Maciek pogłaskał klacz po rozpalonych nozdrzach. — Moje ty brzydactwo — szepnął w nagłym przypiływie czułości.

Kazimierski usłyszał, bo zaraz rzucił:

— Klacz brzydactwo, ale źrebaki daje dobre.

— Byle tylko był skoczny — powiedział Maciek. Jeszcze raz pogładził Korę i wybiegł ze stajni.

W stadninie zaczynała się zwykła krzątania. Na padoki wyjeżdżali

jeźdźcy. Zgrabny siwek, wypoczęty po nocy, próbował figlować, ale prędko się uspokoił. Z wysokiego budynku wyruszali masztalerze na czołowych ogierach, które niosły się majestatycznie, wyginając mocne, połyskliwe szyje.

Maciek przypadł za żywoplotem. Gdy nadjechały, zerwał się i przebiegł tuż przed nosem Ramzesa. Koń rzucił się w bok.

— A pójdziesz ty! — zawołał masztalerz, chwytając równowagę. — Od małego chowa się przy koniach, a głupi jak z miasta.

Cicho chichocząc pobiegł między zabudowaniami. Przystanął za węglem ujeżdżalni. Między dwoma budynkami, po niewielkim padoku, jeździł w kółko na suchym kasztanie rotmistrz — w cyklistówce nasuniętej głęboko na oczy, w obcisłej, mocno sfatygowanej marynarce, z szalikiem ciasno zawiązanym pod szyją. Maciek powiedział „dzień dobry” i, nie doczekawszy się odpowiedzi, poszedł wzdłuż ujeżdżalni, płosząc zabląkane kury.

Za bramą zawahał się. Do lasu było nie dalej niż półtora kilometra. Ciemna ściana zamykała orne pole, odcinając się od smugi brudnego śniegu, który przetrwał w cieniu drzew. Z zagonu zerwało się stado gawronów i poleciało w kierunku wsi. Maciek zaczął iść aleją, wysadzaną białymi topolami, wsłuchując się w miarowy odgłos własnych kroków. Nagle skręcił w prawo puścił się biegiem ku stawowi.

Na grobli zwolnił, patrząc w połyskliwą toń. W zeszłym roku, też jakoś na wiosnę, zobaczył tu wydrę. Ale zanim zdążył się jej przyjrzeć, bezgłośnie zniknęła pod wodą. Opowiedział o tym dyrektorowi pegeeru i jeszcze tego samego ranka pan Radziejowski zasadził się z dubeltówką na szkodnika, aby go spłoszyć. Maciek cały dzień krążył w pobliżu, nasłuchując strzału. Usłyszał go kilka dni później. Pognał ku rzece. Na grobli spotkał powracającego dyrektora, z dubeltówką przewieszoną przez ramię. Jego zdaniem zwierzę wystraszyło się i z pewnością wyniosło się na zawsze z rybnego stawu. Maciek nie dawał temu wiary i wciąż zachodził nad staw, przekonany, że któregoś dnia znów spotka wydrę. Mogła przecież tylko na jakiś czas wyemigrować w inne strony, a potem wrócić do tłustych karpi dyrektora.

Maciek rozejrzał się raz jeszcze, ale nie stwierdziwszy nigdzie obecności

wydry, zawrócił do stadniny. Szedł śpiesznym krokiem, ale już nie biegł, wiedząc, że czeka go pracowita godzina na grzbiecie Bumeranga. Mimo woli przybrał pozę jeźdźca, który spędziwszy długie lata w siodle, nieufnie stawia na ziemi swe krzywe nogi, odwykłe od chodzenia, a przywykłe do ściskania końskich boków.

Przed stajnią spotkał Wojciecha Skorupę prowadzącego parę dyszlowych kasztanów. Grubokościste fiordynki stąpały ciężko, pobrzękując uprzężą.



— Dzień dobry. Panie Skorupa, dokąd pan jedzie?

— Do lasu.

— Do lasu?

— Kłusownik zostawił byka na Rojnie, trzeba go zawieźć do nadleśnictwa.

— Jak to: zostawił?

— Bolek Kubasiewicz go spłoszył. Slakował za nim od Marzysza.

— Poznał, kto to?

— Nie, ale chyba go postrzelił.

— No i co?

— A nic, tamten uskoczył w las i tyle go widzieli.

— To już drugi byk w tym roku.

— I nie ostatni. W zeszłym roku cztery sztuki ubił.

— Myśli pan, że to ten sam kłusownik?

— Nic nie myślę — powiedział stary i ruszył z końmi do wozowni, na drugą stronę podwórza.

Maciek zastanowił się, czy nie pojechać ze Skorupą, ale wspomniawszy swoje obowiązki, zawrócił do stajni.

Panował tu ruch i gwar. Fornale zakładali koniom uprząż, pdgadując i pokrzykując: prrr, nastąp się, no, rusz się, maluśki, ty cholero jedna. Maciek wymieniał pozdrowienia, pytał, dokąd jadą, oni odpowiadali i wyprowadzali swoje ogromne, ciężkie pary albo czwórki, jak komu wypadło.

Bumerang stał przy żłobie, przeżuwając resztki siana. Na gwizd Maćka odwrócił głowę i cicho zarżał.

— Głodny jesteś, co? — powiedział Maciek i wszedł do boksu. — Zaraz ci dam, zaraz. Poczekaj trochę. Nastąp się, no...

Poklepał wierzchowca po szerokim zadzie i zabrał się do oporządzania. Wyniósł nawóz, podesłał świeżej słomy, przydźwigał wiadro wody.

— No, pij.

Bumerang schylił głowę i, zginając lewą nogę, wsadził pysk do wiadra.

— Przewróć, to ci!...

Bumerang nie dowiedział się, co go czeka, gdyby przewrócił wiadro, bowiem chłopiec skoczył po obrok. Nabrał ze skrzyni owsa więcej, niż należało, wymieszał z sieczką i zarzuciwszy skrzynkę na ramię ruchem, który już dawno podpatrzył u Skorupy, wrócił do boksu. Bumerang powitał go radosnym rżeniem i trącił nosem.

— Czekaj, czekaj! — wołał Maciek sypiąc obrok do żłobu.

Przez chwilę przyglądał się, jak Bumerang je, potem poszedł odwiedzić Kaśkę i Jaśka, lejcową parę Wojciecha Skorupy, i popieścić małego Kiełbika, syna Kaśki, który wesołym usposobieniem zjednał już sobie serca wszystkich, chociaż minęła dopiero piąta doba od momentu, kiedy

powiększył stan liczebny pędzichowskich źrebiąt. Maciek wyciągnął z kieszeni kostkę cukru.

— Cieś, cieś, cieś! — zawołał przymilnie.

Kiełbik wybałuszał wypukłe oczy, podrzucał głową, trochę się boczył, ale po chwili wyciągnął ostrożnie szyję i — z przyzwoitej odległości — ciepłymi, chwytliwymi wargami zabrał z dłoni chłopca smakowity kęs. Pozwolił się pogłaskać, ale tylko raz i zabawnym galopkiem, objając niewprawne kulaski o ścianę boksu, skrył się za matkę.

Gdy Bumerang skończył jeść, chłopiec zabrał się do czyszczenia. Koń z lubością poddawał się zabiegów, naprężał skórę, podnosił nogi. Ojciec Maćka twierdził, że jeszcze nie widział konia, który by tak lubił szczotkowanie. „Wygina się pod tą szczotką jak kot” — mawiał.

Maćkowi pot wystąpił na czoło. Gdy skończył lewą stronę, przeszedł na prawą. Przełożył szczotkę do prawej ręki, a zgrzebło do lewej i znów, zaczynając od szyi, puścił je w ruch: raz pod włos, dwa z włosiem, o zgrzebło; i znów raz pod włos, dwa z włosiem, o zgrzebło. Robił to codziennie od czterech lat, ale nie tracił zapału, bo stary Skorupa wciąż kładł mu w głowę: „jak ty go będziesz czyścił, tak on cię będzie nosił”. Więc Maciek nie szczędził sił i potu, bo bardzo chciał, żeby stary Bumerang nosił go jak najlepiej. Wytarł jeszcze powrósełkiem pęciny, wyprostował się i spojrzał na swoje dzieło pod światło, padające od wrót. Skóra na grzbiecie konia połyskiwała wprawdzie jak aksamit, ale Maciek nie miał wielkich złudzeń, co do skuteczności swoich zabiegów. Któregoś dnia poprosił rotmistrza, żeby ocenił jego pracę. Ten bez słowa wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki złożoną chusteczkę, przeciągnął nią po grzbiecie Bumeranga i pokazał Maćkowi. Na białym płótnie widniały ciemne smugi.

— W Grudziądzu służyły do tego reniferowe rękawiczki — wycedził rotmistrz i, wręczając chusteczkę Maćkowi, dodał: — Wypierz i wyprasuj. Tylko nie krochmal.

Maciek wprawdzie chustki nie krochmalił, ale przy prasowaniu spalił ją dokumentnie i musiał w największej tajemnicy uszczuplić znajdujące się w bieliźniarce zapasy ojca.

Osiodławszy Bumeranga, Maciek podprowadził go do ławki stojącej na korytarzu, wciągnął się na siodło i stępa wyjechał ze stajni.

Konie z Pędziehówka odbywały poranną przejażdżkę i na padokach było pełno. Maciek mógłby się gdzieś wcisnąć, ale nie chciał Bumeranga narażać na docinki. W jasnym świetle wychodziło na jaw to, co krył półmrok stajni — starość. „Zmalał staruszek” — mówili ci, którzy pamiętali wierzchowca z czasów jego świetności. Bumerang rzeczywiście zaczynał zapadać się w grzbiecie, głowy nie nosił już tak wysoko, a jego sierść nie była już tak gładka i błyszcząca, jak dawniej. I coraz trudniej było namówić go do tego, co kiedyś stanowiło jego największą przyjemność — do cwału z wiatrem w zawody.

Ale Maciek zawsze stawał w jego obronie. To prawda, że Bumerang stracił szybkość, ale jej brak nadrabiał wielką dokładnością na przeszkodach. Właśnie dzięki tej dokładności Bumeranga Maciek wygrał przed rokiem dwa parcoury dla młodzików, jeden w Pędzichówku, drugi w pobliskim Marzyszu.

Objechawszy klusem obejście, Maciek skierował konia przez boczną bramę na pole, gdzie — tuż za stodołami — ustawiano zawsze stogi siana i słomy. Po wielu nie zostało już śladu, kilka było dobrze napoczętych, ale jednego, największego, jeszcze nie naruszono. Wokół tego olbrzyma, mającego z pięćdziesiąt metrów obwodu, wiodła ścieżka wydeptana przez konie. Był to ulubiony maneż Maćka. Jeźdźcowi nikt tu nie przeszkadzał fantazjować, koń urozmaicał sobie jazdę wyskubywaniem siana. Niekiedy Maciek ustawiał przeszkody ze spróchniałych żerdzi (w wyobraźni chłopca urastały one do wysokości równej rekordowi Polski), ale najczęściej rolę hyrd, okserów i triplbarów spełniały łopiany, karłowate krzaki tarniny, a w lecie pokrzywy.

Ścisnąwszy konia łydkami, Maciek pochylił się lekko, tak jak go uczył rotmistrz hołdujący włoskiej ekwitacji („zawsze słuchaj natury, synu; zwłaszcza wtedy, kiedy siedzisz na grzbiecie konia”), i ruszył wokół stogu. Z wolna rozgrzewali się obaj, i koń, i jeździec. Po trzecim okrążeniu Maciek skierował wierzchowca na uschnięty krzak leszczyny. Bumerang przesadził go lekko. Maciek zaczął ściągać wodze, koń przeszedł w klusa, potem w



stępa, wreszcie zatrzymał się.

Czekając na sygnał, Bumerang ożył: podniósł łeb i nastawił uszy. Maciek udał dźwięk trąbki i dzielny wierzchowiec ruszył cwałem. Parcours był krótki, ale trudny, jeździec co chwilę zwracał konia na kolejną przeszkodę. Rumak przesadzał wszystkie z łatwością: bariery, płoty, rowy, murki zostają nietknięte. Na trybunach zrywają się oklaski, konia i jeźdźca ogarnia uniesienie, ścinając ostro zakręty, jak w transie atakują ostatnie przeszkody, na których przepadli najgroźniejsi rywale. Bumerang miarkuje tempo, sady krótkimi skokami, odbija się potężnie i... przechodzi! Jeszcze nic nie znaczący rów, murek i celownik. Stadion szaleje, jeździec ściąga wodze i klepie rumaka po szyi, szepcząc czułe słowa. Spiker ogłasza: „Zwyciężył Maciej Kaśicki, Polska, na wałachu Bumerang”. Nie, wtedy gdy Maciek będzie zdobywał złoty medal, Bumeranga już nie będzie na świecie. „Maciej Kasicki, Polska, na ogierze Kmicic!” Tak bowiem będzie się nazywał potomek Kory.

Bumerang szedł w kierunku stajni, jak wielbłąd stawiając długie, zeszywniałe po biegu nogi. Szarpnął pyskiem, aby przypomnieć jeźdźcowi o tym, że należałoby oddać wodze, i — widocznie rad z przejażdżki — parsknął raz i drugi. Maćka ogarnęło wzruszenie, pocziwy Bumerang, stara się, jak może, a on knuje zdradę i chce się przesiąść na innego konia. Zsunął się z siodła i objął rozgrzaną szyję. Bumerang postawiwszy uszy, co było oznaką rozbudzonej nadziei, jął obwąchiwać powycieraną i połataną Maćkową kurtkę. Chłopiec wyjął mu wędzidło z pyska i podał na dłoni dwie kostki cukru. Trzecią schował na później. Ale zabieg ten nie uszedł uwagi Bumeranga i ledwie przełknął tamte dwie, jął trącać chłopca, upominając się o trzecią. Maciek dał mu i trzecią.

— Nigdy cię nie opuszczę, nigdy, nigdy — powiedział.

Zaprowadził wierzchowca do stajni i — chociaż nie wiele już zostało czasu do odjazdu autobusu — starannie wytarł go wiechciem. Potem kopnął się biegiem do domu, gwizdząc na Rexa. Pies powitał go za progiem kuchni. Był już po śniadaniu i najwidoczniej miał ochotę na dłuższą wędrówkę krajoznawczą.

— Gdzie ty się podziewasz? — przywitała syna pani Kasicka. — Już po siódmej, a jeszcze śniadania nie jadłeś.

— Zdążę, mamó — zapewnił grzecznie Maciek.

— Ręce umyj. Z takimi rękami do jedzenia siada! Maciek wsadził na moment dłoń pod kran.

— Mydłem. Wzniósł oczy ku niebu.

— Po lekcjach skocz do wujka Leszka i poproś, żeby przyszedł jutro o szóstej. I nie zapomnij o fryzjerze.

Przeraził się nie na żarty.

— Mama wie, jakie przed świętami ogonki?!

— Idź na dużej przerwie i zamów; kolejkę. Musisz się ostrzyc. Państwo Nowakowie przyjeżdżają dzisiaj.

— Ci z Warszawy?

— Pamiętasz ich chyba?

— Pewnie, że pamiętam, ale najlepiej to tę małą, co wpadła do gnojówki.

— Nie wpadła, tylko ty ją wepchnąłeś.

— Wepchnąłeś... Chciałem ją nawet złapać, żeby nie wpadła, ale nie zdążyłem.

— Powiedz, żeby cię uczesał z przedziałkiem — powiedziała matka, patrząc na jego rozczochraną czuprynę.

Maciek jadł w milczeniu.

— Mamó — odezwał się po chwili — kim jest pan Nowak?

— Księgowym w spółdzielni mieszkaniowej.

Na twarzy chłopca odmalowało się rozczarowanie. Zawód księgowego zupełnie nie przemawiał do jego wyobraźni. Żeby chociaż był księgowym w stadninie!...

— Mama zajrzy do Kory.

— Zajrzę, zajrzę. Sama się o nią niepokoję.

— A gdyby co, to niech mama zadzwoni do budy.

— Do szkoły będę dzwonić!

— Mama powie panie Celince, to ona wywoła mnie z lekcji.

— Powiem jej, że się Kora oźrebiła, miej że ty rozum!

- Może mama powiedzieć, że tatko umiera albo coś w tym guście.  
— Maciek! Co ty wygadujesz!  
Maciek porwał tornister i skoczył do wyjścia.  
— Czekaaj, masz tu pieniądze na fryzjera. Dostał dziesięć złotych.  
— Dychę? Tata daje mu zawsze napiwek.  
— Ale ty nie jesteś tatą.  
— Jak mu się da napiwek, to zupełnie człowieka inaczej traktuje.  
— Idź już, idź, ty człowieku. Masz tu jeszcze dziesięć.  
Maciek zatrzasnął drzwi przed nosem Rexa i pobiegł na przystanek.

## **MACIEK WYSTĘPUJE Z KARABINEM W RĘCE**

Autobus już ruszał, ale kierowca, Józek Walendzik, zauważył biegnącego, zatrzymał wóz i otworzył drzwi. Maciek wskoczył, podziękował i jecz — ze straszliwym rżeniem — potoczył się po nierównej nawierzchni szosy.

Przez chwilę Maciek przyglądał się rozedrganej pokrywie silnika, po czym stanął przy oknie. Jechali przez sosnowy las, bardzo gęsty, miejscami tworzący zielony tunel ponad wąskim pasem szosy. Pachniało żywicą i mokrym igliwem. Rano zawsze tu pachniało, ale najmocniej właśnie na wiosnę, kiedy — tak jak teraz — trafiło się kilka słonecznych dni, a potem spadł ciepły deszcz.

Maciek na próżno wypatrywał Skorupy i jego kasztanów. Tędy prowadziła droga z Rojna, ale widać stary dłużej zabawił przy byku.

Gdy dojeżdżali do miasteczka, coś kazało Maćkowi obejrzeć się. Za nim, rozparty w fotelu, siedział Dżokej i przyglądał mu się ironicznie. Maciek zmieszał się, jakby Dżokej przyłapał go na zdrożnych myślach, a gdy spostrzegł, że jego zmieszanie nie uszło uwagi tamtego, zmieszał się jeszcze bardziej. Dopiero kiedy przypomniał sobie, że Dżokej w zeszłym roku oblał, odzyskał równowagę ducha.

— Cześć.

Dżokej nie odpowiedział, “był o trzy. lata” starszy i chodził do ósmej, a Maciek do szóstej.

— Na Rojnie kłusownik ubił byka.

— Złapali go? — raczył zainteresować się Dżokej.

— Jesteśmy na tropie. Nie wiem, czy będę na lekcjach, mam coś do załatwienia w nadleśnictwie.

To łgarstwo poprawiło Maćkowi samopoczucie, ale Dżokej zaraz mu je popsuł:

— No co, twój Bumerang powłóczy jeszcze nogami?

Dżokej naigrawał się z Bumeranga przy każdej okazji. Sam jeździł na siedmioletnim wałachu Fabianie, który tylko dlatego nie został zaliczony do grupy olimpijskiej, że okulał i na cały rok wypadł z treningu. Maciek marzył o zwycięstwie Bumeranga nad Fabianem, ale Dżokej brał już udział w poważnych imprezach krajowych i ani mu w głowie było stanąć na starcie jakichś tam prowincjonalnych zawodów.

Autobus zatrzymał się na rynku. Chłopcy wysiedli i wmieszali się w tłum. Dzień był targowy i do miasteczka zjechali ludzie z całej okolicy, przed straganami było tłoczno, w niektórych miejscach trudno było się przecisnąć, gwar ludzkich głosów odbijał się o ściany odrapanych kamieniczek. Chłopcy z wielką satysfakcją bobrowali w największej ciasnocie, pozdrawiali znajomych, rozpoczynali targi, przeganiani szli dalej, pogodzeni ze sobą, gotowi zda się spędzić tu czas do późnego wieczora. Do opamiętania przywiodło ich bicie zegara na kościelnej wieży. Wydostali się na chodnik, obiegli rynek i Sienkiewicza ruszyli w kierunku szkoły. Tu przekonali się, że mają jeszcze trochę czasu, i zwolnili kroku.

— Co robisz w święta? — spytał Dżokej.

— Święta mam z głowy.

— Dlaczego?

— Z Warszawy przyjeżdża kumpel starego z całą rodziną.

— Co za jeden? — spytał Dżokej, przekonany, że usłyszy nazwisko znane w świątku jeździeckim.

— Wiceminister budownictwa czy czegoś tam. Dżokej kupił.

— Humberem przyjeżdża?

Maciek spojrział na kolegę z wyższością.

— Stary, czy to takie ważne?

Dżokej zbagatelizował mentorski ton Maćka, należał do tych, którzy wiedzą, że wcześniej czy później ich będzie na wierzchu. Kroczył na swoich krzywych nóżkach, malutki, sięgający Maćkowi do ramienia i ogromnie z siebie zadowolony. Był najniższy w klasie, ale kiedy stał na samym końcu szeregu, miał taką minę, że każdy, chociaż przez chwilę, musiał się zastanowić, czy tam, gdzie stoi Dżokej, nie jest przypadkiem czoło kolumny. Na przedstawicieli rodzaju ludzkiego obdarzonych wysokim wzrostem spoglądał z politowaniem, uznawał tylko tych, których natura wyraźnie przeznaczyła do jazdy konnej i Krótka mówiąc, ludzie zaczęli się dla niego, zgodnie z wymaganiami torów wyścigowych — poniżej 60 kilogramów wagi (z siodłem w ręku) i 160 centymetrów wzrostu. Sam ważył 48 kilogramów (bez siodła) i miał 152,5 centymetra. Z całą stanowczością twierdził, że urośnie jeszcze tylko 6,5 centymetra i wtedy będzie miał 159, to jest tyle, ile ma jego ojciec, który przed wojną trzy razy zdobył Wielką Służewiecką. Ojciec Dżokeja, czyli Jasia Targowskiego, pan Stanisław Targowski — po wieloletniej karierze na Polu Mokotowskim, a potem na Służewcu — wyjechał z Warszawy, osiadł w Marzyszu, ożenił się i objął odpowiedzialne stanowisko koniuszego. Mimo swoich sześćdziesięciu i kilku lat — w siodle trzymał się jak młodzik. Gdy przyjeżdżał do Pędzichówka na jednym ze swoich słynnych folblutów, Maciek podziwiał jego dosiad, o którym zarówno pan Kasicki, jak i rotmistrz wyrażali się z najwyższym uznaniem. W „Przeglądzie Sportowym” napisano kiedyś, że Dżokej ma przed sobą wspaniałą przyszłość w jeździectwie sportowym, ale chłopiec marzył o karierze zawodowego dżokeja i we wszystkim był ojcu ślepo posłuszny, zwłaszcza że pan Targowski, który od lat nie podniósł ręki na konia, folgował sobie w stosunku do jedynaka. Kiedyś na przykład wspomniał, że jeździec nie powinien zrywać nóg na boisku, ponieważ przydadzą mu się na koniu, i od tej pory syn nie kopnął więcej piłki. Była to

dla szkoły niepowetowana strata, bowiem Dżokej miał takie podania, że nawet największy patałach w linii ataku, Dżony z Kołowody, strzelał z tego bramki.

Idąc obok swego znakomitego kolegi, którego natura wyposażyła w ciało idealnie dostosowane do siodła, Maciek mimo woli kulił się, wstydząc się swoich 168 centymetrów wzrostu i długich prostych nóg.

U zbiegu Sienkiewicza i Wesolej zagwizdał w umówiony sposób. Po chwili z Miłej wybiegła Ewka Rzepińska.

— Cześć.

— Cześć.

— Dlaczego nie byłaś wczoraj?

— Mieszkanie musiałam na święta posprzątać.

— Dzisiaj będziesz?

— Chyba tak.

— Kłusownik zabił byka na Rojnie.

— Znowu? To się Czesiek zmartwi. Przyśpieszyli kroku i dopędzili Dżokeja.

Szkoła przywitała ich takimi wrzaskami, jak gdyby napadło na nią plemię dzikich Komanczów i właśnie zabrało się do zdzierania skóry ze wszystkich dwójarzy. Ostatni dzień szkoły — od jutra ferie! Trzeba koniecznie przeprowadzić generalną próbę śmigusa-dyngusa! Korzystając z tego, że pokój nauczycielski był jeszcze pusty, a sterroryzowany Wincenty bał się wystawić nosa ze służbówki, lano się na parterze i na piętrach. W użyciu były obtłuczone kubki z umywalni, starożytne rozpylacze z matczynych toaletek, słoje z sali fizycznej, krajowe żabki i, dużo pojemniejsze, zagraniczne krokodyle i hipopotamy. Ale ten dziecinny sprzęt wysiadał przy karabinku, który Dżony z Kołowody dostał od dziadka z Ameryki. Lekkie naciśnięcie cyngla wystarczało, żeby przez całą klasę leciał strumień wody, siejąc popłoch i zamieszanie.

Rozpędziwszy na cztery wiatry znajdujących się w klasie szóstaków, Dżony zaczął się przy głównym wejściu.

Zimny strumień zalał Maćkowi oczy i odebrał mowę. Gdy rozwarł

powieki, zobaczył przed sobą Dzonego z karabinkiem w ręku. Nie czekając na następny prysznic, dali z Dżokejem nogę. Dżony posłał za nimi ostatnią serię i pomknął do umywalni uzupełnić zbiorniczek.

— Za nim! — wrzasnął Dżokej i na swoich krótkich, ale diabło szybkich nóżkach pognał za Dżonym.

„12,4 albo nawet 12,2” — pomyślał Maciek, biegnąc za Dżokejem.

Nagle usłyszeli coś, co zmusiło ich do błyskawicznej rejterady za drzwi ubikacji.

Nad wrzeszczącym, ruchliwym tłumem zahuczał bas Tuhajbeja.

Wrzask zamarł nagle, dał się słyszeć spłoszony tupot nóg i korytarz opustoszał, jakby ktoś znienacka otworzył okno, przez które wpadła trąba powietrzna. Kilku zapóźnionych przemykało pod ścianami, kłaniając się rozjuszonemu dyrektorowi. Dżony z Kołowody błyskawicznie wsunął karabinek pod kaloryfer i zniknął w klasie.

Załatwiwszy się z parterem, Tuhajbej ruszył na piętro, skąd dochodził rumor, czyniony przez nieświadomych zbliżającego się niebezpieczeństwa uczniów.

Wyszli z ukrycia i przemknęli do łazienki. Maciek wyciągnął karabinek spod grzejnika i ukrył za koszem na śmieci.

— Zlejemy Dzonego na przerwie — szepnął.

— Ale nie tu — odszepnął Dżokej.

— A gdzie?

Dżokej zastanowił się.

— Zaczaj się na przerwie przed głównym wejściem. Podprowadzę ci go — powiedział i, sadząc po kilka stopni naraz, pobiegł na piętro, gdzie Tuhajbej kończył pacyfikację.

Na pierwszej godzinie była historia. Równiacha udał, że nie widzi mokrych plam na ścianach, powiedział: „Witam” — osiadł na katedrze. Sprawdził listę, po czym wyjął swój czarny notes. Maciek wstrzymał oddech, odmawiając w myśli zaklęcia. Równiacha pospiesznie przerzucił kilka kartek, przepraszając uśmiechem za to, że każe uczniom czekać, i rzucił nazwisko pierwszej ofiary — Machiewicz.

Maciek odetchnął, na historii nic mu dziś nie groziło. Pytanie na wrywki Równiacha uważał za nielojalne wobec wychowanków i ściśle trzymał się kolejności alfabety. I rzeczywiście. Gdy Machiewicz usiadł z wyzebraną trójką, Równiacha wywołał Muchę, a po Musze Natkańca. Właśnie Tadzio Natkaniec biedził się z najazdem Arabów na Półwysep Pirenejski, gdy na ławkę Maćka spadła kulka papieru. Maciek rozwinął i przeczytał: *Stary, nie chciałem cię, naprawdę. Dżony*. Maciek schował się za plecami Zbyszka Muchy i wymienił z Dżonym miny, mówiące o przyjaźni i przebaczeniu, to znaczy — Maciek odstawił matolka, na co Dżony pokazał najpiękniejszy ze swoich zezów. Rozległ się szmer uznania, obaj cieszyli się sławą najlepszych mimów w klasie.

Wymiana pokojowych gestów wprawiła Maćka w ogromne podniecenie. Uspił czujność wroga, tym łatwiej weźmie srogi odwet. Dzieje Arabów nie docierały do jego świadomości. Czekał dzwonka jak wybawienia.

Nareszcie! Nie bacząc, że nauczyciel jeszcze jest w klasie, wypadł na korytarz. Karabinek tkwił pod kaloryferem. Porwał go i w sekundę był na podwórzu. Schował się za węglem domu. Wstrzymując oddech nacisnął język spustowy. Rany, ani kropli wody! Za późno już, żeby wracać do umywalni. Rzucił okiem wokoło. Pod rynną stała beczka z czarną, cuchnącą cieczą. Aż gwizdnął z radości. Napełnił karabinek i, wycelowawszy w gwóźdź tkwiący w murze, posłał próbną serię. Znakomicie! Wokół gwoździa — na jasnej zaprawde — rozlała się ciemna plama. Karabinek bił niezawodnie.

Była to imitacja krótkiego sztucerka z oberzmętą lufą. Takimi posługują się świetlani bohaterowie westernów, gdy muszą rozprawić się z większą ilością czarnych charakterów. Maciek nigdy nie miał czegoś takiego w ręku, ale doskonale wiedział, jak się z tym obchodzić. Niedbale trzymał karabinek na wysokości biodra, ale niedbałość była pozorna, pochylenie tułowia i szeroko rozstawione nogi świadczyły, że groźny strzelec każdej chwili gotów jest do otwarcia ognia.

Doszedł go podejrzany szmer. Jednym skokiem znalazł się za skrzynką po whisky. Z saloonu dochodziły wrzaski pijących kowbojów, lada chwila mógł się ukazać Krwawy Dżek. Skacząc od osłony do osłony, z bronią gotową



do strzału, Maciek dotarł pod drzwi wiodące do mordowni Ślepego Billa. Wyszedłszy z ukrycia na otwartą przestrzeń, począł iść powoli, nieustraszony, z wiernym winchesterem gotowym do strzału. Już miał krzyknąć: „Hej, Krwawy Dżeku, jestem tu!”, gdy nagle drzwi otworzyły się gwałtownie. Nie darmo cieszył się sławą najszybszego — i tym razem pierwszy pociągnął za cyngiel...

Kiedy dzielny strzelec spostrzegł, że na muszce ma Równiaczę, było już za późno: strumień ciemnej cieczy rozprysnął się na uśmiechniętym obliczu historyka. Maciek skulił się, zasłonił twarz ręką i uskoczył za węgiel. Gnał pod ścianą przerażony, bez jednej myśli. Nagle zobaczył drabinę. Stała oparta o dach. Był uratowany — przez strych dostanie się do klasy i wszystkiego wyprze. Cisnął karabinek w krzaki i jął się wspinać. Na szczęście, dekarze przystawili drabinę od strony klas, pustych w czasie przerwy.

Był już przy końcu drogi, gdy drabina zaczęła jechać do tyłu po błotnistej, zalanej wodą ścieżce. Żerdzie — wsparte o okap dachu — obsunęły się i, ryjąc zaprawę, ześlizgiwały się w dół po murze, Maciek przywarł do szczebli. Drabina zatrzymała się tuż nad oknem ósmej klasy. Jeszcze centymetr i wywali szyby! Stąpając jak najdelikatniej, zaczął schodzić.

Wtem usłyszał z dołu głos Wincentego:

— Złazisz mi zaraz!

Sapiąc i dysząc woźny przedzierał się przez gęste krzaki jaśminu. Droga odwrotu była odcięta. Akurat rozległ się dzwonek na koniec przerwy. Maciek zobaczył przez okno, jak otwierają się drzwi z korytarza i do klasy wpadają ósmacy. Spojrzał w dół: wygrażający pięścią Wincenty był już o krok od drabiny. Maciek wspiał się wyżej. Da cynk ósmakom, żeby otworzyli okno, i będzie uratowany. Nagle żerdzie obsunęły się, rozległ się brzęk tłuczonych szyb i drabina, wywaliwszy okno, oparła się o parapet. Maciek przebiegł ostatnie szczeble, skoczył do środka i, roztrącając zdumionych ósmaków, wypadł na korytarz.

Na schodach zwolnił i z najobojętniejszą w świecie miną wszedł do klasy, w tłumie niczego nie podejrzewających kolegów.

Równiacha nie musiał gonić Maćka, żeby zidentyfikować niefortunnego strzelca. Nim oślepił go strumień wody, rozpoznał ulubieńca. Jakby żywcem wycięta z westernu pantomima tak dalece ubawiła Równiachę, że gdy zimny, cuchnący prysznic zalewał mu oczy, gdzieś w środku trzepały się w nim jeszcze resztki dobrodusznego śmiechu. Dopiero widok plam na klapach beżowego garnituru, pierwszego garnituru, jaki sprawił sobie z nauczycielskiej pensji, przyprawił go o gwałtowny atak furii. Wyływający z najszlachetniejszych pobudek zamiar „pozyskania młodych serc” został poddany ciężkiej próbie.

Równiacha przyjechał do Pędzichówka-miasta jako stażysta. Od momentu gdy z bijącym sercem przekroczył po raz pierwszy próg klasy, starał się wpoić w uczniów przekonanie, że jest równym facetem, do którego można przyjść z każdą sprawą. Aby osiągnąć swój cel, gotów był na wiele poświęceń. Nie miał pojęcia o kopaniu piłki, ale na przerwach zagrywał na pozycji obrońcy (beznadziejnie zawodząc w sytuacjach podbramkowych), do największych rozrabiaków zwracał się per „stary”, a gdy tylko rozmowa zesłała na ten temat, chętnie rozprawiał z dziewczynami o urodzie Maryli Rodowicz. Był ogromnie zaskoczony, gdy spostrzegł, że jego zabiegi spotykają się z postawą pełną rezerwy, a miano „Równiachy”, którym ochrzczono go już trzeciego dnia pobytu w Pędzichówku i z którego był tak dumny, wymawiane jest z akcentem ironii. Przeżył to boleśnie, nie załamał się jednak. Nieco tylko skorygował taktykę. Wciąż starał się być równy, ale ograniczył występy na boisku, nie wyciągał nikogo na zwierzenia, nie narzucał się, krótko mówiąc, przyjął postawę wyczekującą.

W czasie mycia się i czyszczenia garnituru wrócił do równowagi. Gdy szedł do klasy, w sercu niósł przebaczenie, a w głowie gotowy plan działania. Niestety, w swoich rachubach nie wziął pod uwagę tego, że żywił, z którym ma do czynienia, cechuje ogromne, aczkolwiek nie pozbawione okrucieństwa poczucie humoru. Na widok garnituru wychowawcy — klasa, zamiast okazać współczucie, ryknęła z uciechy.

Równiachą wyszczerzył zęby w nienaturalnym uśmiechu.

— Ładnie wyglądam, co? — zawołał. — Ale mnie urządził!

Umilkli i przyglądali mu się z uwagą. Ale Równiacha miał swój dzień.

— Ten, który mnie oblał, powinien mi chyba dać szansę rewanżu. Jak sądzicie?

Ozwały się głosy aprobaty, ale zaraz umilkły. Początek spodobał się, czekali na dalszy ciąg.

— Wobec tego niech się przyzna — rzucił Równiacha.

— Panie profesorze, czy to na pewno z naszej klasy?

— Na pewno. Spojrzeli po sobie.

— Obiecuję, że będę miał wzgląd na jego ubranie. Zadowolę się czystą wodą.

Skwitowali to życzliwymi uśmiechami, większość była już po stronie Równiachy.

— No to, chłopaki... — wycedził Natkaniec.

— Nie kucać.

— Który?

— No?

— Ja! — zawołał Maciek wstając. Równiacha objął chłopca jasnym spojrzeniem.

— Proszę pana — głos Maćka brzmiał zuchowato — trzymam za słowo, że woda będzie czysta.

Rozległy się śmiechy. Gdy umilkły, Maciek dodał, ale już zupełnie innym tonem:

— Przepraszam bardzo, naprawdę nie wiedziałem, że to pan.

— A gdy się zorientowałeś, było już za późno?

— Tak jest.

— Woda będzie czysta, ale ci jej nie pożałuję. Zapanowała ogólna wesołość.

— Skoczyć po wodę? — zaofiarował się Dżony z Kołowody.

— Sam sobie poradzę — powiedział Równiacha i pogroził palcem Maćkowi. — Stary, już ja cię dopadnę.

— To się okaże.

— Zleję cię, że... No, leczę, mam teraz godzinę w ósmej.

— Panie profesorze — powiedział pośpiesznie Maciek — ja oczywiście zaniósę garnitur do pralni.

— W porządku.

— Byle tylko wywabili.

— Nie martw się, od początku nie lubiłem tego ubrania — skłamał Równiacha.

Ujął za klamkę.

— Cześć, chłopcy.

W tej chwili drzwi otworzyły się gwałtownie i do klasy wpadł Tuhajbej w asyście matematyka. Chłopcy wstali z miejsc.

— Dobrze, że pan jest! — zagrział Tuhajbej, ujrzawszy Równiachę. — Czy pan już wie o wybryku pańskiego wychowanka?

— O wybryku? — wyjąkał Równiacha. — Wiem, to znaczy...

— Czy pan wie, czy pan nie wie?

— Wiem, ale...

— Mam nadzieję, że ukarał go pan przykładowo.

— Przyznał się, przeprosił...

— Zdemolował szkolny gmach, a pan się zadawała przeprosinami?!

— Nie rozumiem.

— Widzę, że naprawdę to pan nic nie wie — zdenerwował się Tuhajbej.

— Przed chwilą pański wychowanek wybił okno w ósmej klasie, połamał ramy...

— Przed chwilą? — ucieszył się Równiacha. — To niemożliwe. Jestem tu od dłuższego czasu. Nikt nie wychodził.

— Czy na przerwie też pan tu był? Równiacha gotów był łąć jak za najlepszych swoich sztubackich lat.

— Tak jest, prawie całą przerwę.

— Co pan rozumie przez określenie: prawie całą? Równiacha wiał się pod spojrzeniem Tuhajbeja.

— Dość długo... Właściwie... Przyszedłem... Ale to nie ma znaczenia... Wiem, że żaden z nich tego nie zrobił — zakończył stanowczo.

— Żaden z nich — ironizował Tuhajbej, wodząc spojrzeniem po klasie.

Maciek nie spuszczał z niego wzroku. Musi odgadnąć, czy Tuhajbej zna prawdę. Nie chodziło mu już o siebie, ale o Równiaczę. Chcąc poznać zamiary narowistego konia, Maciek obserwował jego uszy, ludzi zdradzały oczy. Zauważył, że Tuhajbej, obiegając spojrzeniem klasę, za każdym razem omija jego. To rozstrzygnęło sprawę, zacisnął dłonie na pulpicie i wstał.

W tej samej chwili usłyszał załamujący się głos Równiaczy:

— Panie dyrektorze, ja ręczę za klasę.

Na twarzy Tuhajbeja odmalował się wyraz szatańskiej złośliwości. Równiacza obejrzał się.

Maciek stał w ławce i wzrokiem błagał nauczyciela o przebaczenie.

## **MACIEK DOKONUJE PRZERAŻAJĄCEGO ODKRYCIA**

Między straganami kręcili się jeszcze ludzie; kobiety z chytrym wyrazem dezaprobaty na pełnych skupienia twarzach, mężczyźni — niefrasobliwi, wielu na niepewnych już nogach, Z restauracji „Pod Jeźdźcem” dochodził gwar podniesionych głosów. Młody, pleczysty milicjant przechadzał się po chodniku. Zmęczeni przekupnie, o twarzach czerwonych i świecących od potu, bez przekonania zaczepiali Maćka:

— Co kawaler życzy?

Maciek stanął przed straganem z butami. Sprzedawca siedział na rozkładanym krześle i ćmił papierosa, Obojętnie patrzył, jak Maciek maca cholewę czarnych „szklanek” o wydłużonych noskach.

— Skóra, proszę pana?

— Pewnie, że nie papier.

— Ile kosztują?

Sprzedawca zmierzył chłopca wzrokiem.

— Dużo.

— Ja naprawdę chcę kupić.

— Trójkę.

Trzy tysiące złotych to było rzeczywiście dużo. Wprawdzie taki Waloszek cenił swoje słynne szklanki na trzy pięćset i każdy płacił z pocałowaniem ręki, ale to były buty: na miarę, z najlepszej skóry, pięknie wykończone futrówką, leciusieńkie i mocne.

Maciek zbierał na szklanki od Waloszka. Miał już tysiąc. Zarobił, ujeżdżając pędzichowskie roczniaki w czasie wakacji. W tym roku spodziewał się zarobić resztę. Taki układ stanął między nim a ojcem, który obiecał kupić bryczesy, ale o butach nie chciał słyszeć.

— Gdy byłem w twoim wieku, sam musiałem się ubrać — mówił.

Teraz wszystko wzięło w łeb. Bolek Ciećwierz twierdził, że za okno Maciek zapłaci co najmniej patyka: podwójne szyby, ramy, robocizna. Bolek zna się na tym, jego ojciec jest stolarzem. Maciek westchnął. Nie kupi ani szklanek od Waloszka, ani nawet tej straganiarskiej tandety. Nadal będzie donaszał buty po ojcu.

Szedł przez rynek, patrząc obojętnym wzrokiem na sztuczne kwiaty, baranki z cukru, kurczątko o zabawnie nastroszonych, żółtych piórkach, na święte obrazy, łączki z jarego żyta w doniczkach, ubrania wiszące na żerdziach, stosy czapek i granatowych beretów. Ożywił się nieco na widok bryczesów z jasnej gabardyny.

Ktoś zawołał go po imieniu. Obejrzał się. Kuciara stał za straganem i kiwał na niego. Maciek podszedł i przywitał się. Rusznikarz Kuciara rzeźbił konie w drzewie. Małe, dziarskie, mimo ciężkich nóg i przygrubych kłębów, różniły się między sobą sposobem trzymania szlachetnych łbów. Nie były nawet pociągnięte pokostem, tylko ogony i grzywy Kuciara malował czarną farbą. Nikt się nimi nie interesował, przed świętami ludzie oglądają się za mięsem, a nie za konikami z gruszy, ale Kuciara nie brał sobie tego do serca. Wiedział, że jego dzień nadejdzie, gdy na aukcję do Pędzichówka zjadą koniarze z całego świata.

Przed restauracją wybuchła awantura. Maciek porzucił Kuciarę i poleciał zobaczyć, co się stało. Jakiś gość jadł, pił, a potem oświadczył, że nie zapłaci, bo nie ma pieniędzy. Kelner wezwał milicjanta. Gdy Maciek nadbiegł,

milicjant wyprowadzał pijaka. Był to młody mężczyzna w krótkim kożuchu, zawile wywodzący, że państwo powinno stworzyć bezosobowy fundusz dla tych, którzy muszą zalać robaka i nie mają za co.

— Powiedziałem ci... — bełkotał, zwracając się do kelnera, który w brudnej, kiedyś prawdopodobnie białej marynarce stał w drzwiach restauracji — ...powiedziałem ci, że piję na rachunek ojczyzny. Powiedziałem, tak czy nie?

— Ty zawsze za dużo mówisz — odrzekł kelner.

— Widzi pan, panie władzo — rozżalił się pijak. — Jestem niewinny. Powiedziałem, że piję na rachunek ojczyzny. Jestem niewinny.

— Dobra, dobra — mruknął milicjant, prowadząc go przez rozstępujący się tłum gapiów.

— Ludzie, spotkało mnie nieszczęście. Musiałem zalać robaka! — wołał pijak.

Kilka najbliższych stojących osób roześmiało się. Maciek — wraz z gromadą podnieconych wyrostków — towarzyszył pijakowi w drodze na komendę.

— Jazda do domu! — krzyknął na nich milicjant, zatrzymując się.

Chłopcy rozpierzchli się, ale gdy milicjant ruszył z pijakiem dalej, ruszyli i oni. Tylko Maciek został na skraju chodnika i patrzył za odchodzącymi. Na rogu milicjant znów się zatrzymał, powiedział coś do chłopców i skręcił w ulicę Wyzwolenia, gdzie była komenda. Chłopcy kręcili się jakiś czas w pobliżu, po czym wrócili na rynek.

Maciek stał jeszcze chwilę, przyglądając się gołębiom. Wydziobywały ziarno prawie spod kopyt koni obrokujących przy wozach. Stary grzywacz z białą obrózką gniewał się o coś i walił po głowach towarzyszy. Na jesieni Maciek sprzedał za marny grosz parę takich grzywaczy.

Nagle przypomniał sobie. Wsadził rękę do kieszeni: dziesięciozłotówki leżały bezpiecznie pod chusteczką. Wyjął monetę i zaczął podrzucać w dłoni. Miał pieniądze. Wypełniło go radosne uczucie pewności siebie.

Mógł iść do fryzjera, ale równie dobrze mógł kupić sobie cukierków albo wypić butelkę piwa. Jego też — jak tego pijaka — spotkało nieszczęście.

Ściskając w dłoni metalowy krążek, stanął w kolejce do kiosku. Po

głębszym namyśle zdecydował się jednak na baton o smaku malinowym. Ale zaraz opadły go wątpliwości: czy taki baton za cztery pięćdziesiąt da mu zapomnienie? Nie zdołał jeszcze rozstrzygnąć tego problemu, gdy uwagę jego pochłonął sprzedawca. Był to młody człowiek (zdaniem Maćka jeszcze się nie golił), ale ruchy miał tak zautomatyzowane, jakby co najmniej wiek spędził na obsłudze piwoszy. Gdy padało zamówienie, błyskawicznym ruchem wyjmował butelkę ze skrzynki, podważał kapsel, stawiał butelkę na kontuarku, inkasował pieniądze, bezbłędnie wydawał resztę i już zwracał się do następnego.

Kiedy rzucił pytające spojrzenie na Maćka, ten poprosił o lemoniadę. Sam nie wiedział, dlaczego w ostatniej chwili zmienił decyzję. Może dlatego, że lemoniada kosztuje dwa pięćdziesiąt. Kto by się oparł takiej różnicy cen? Zapłacił, schował resztę do kieszeni i, stojąc wśród mężczyzn popijających piwo, drobnymi łykami pociągnął z butelki ciepłą lurę. Dawno już nie pił czegoś równie ohydneho.

Wysączył lemoniadę do ostatniej kropelki, postawił butelkę na ladzie i jeszcze raz stanął w kolejce. Jak szaleć, to szaleć. Na fryzjera i tak nie wystarczy. Da piątkę Owczarzowi, a ten ostrzyże go lepiej niż fryzjer. Owczarz strzygł grzywy cugowym koniom w pegeerze. Nawet rotmistrz musiał przyznać, że wyjazdowe konie dowódcy pułku w Grudziądzu miały gorzej przystrzyżone grzywy.

Maciek wahał się właśnie, czy kupić gryłażowe, czy karmelki, gdy nagle przypomniał sobie o strzelnicy. Porzucił kolejkę i pobiegł w kierunku skweru. Po drodze napił się wody ze studni, splukując nieprzyjemny smak po lemoniadzie.

Przy strzelnicy Zbyszek Mucha klócił się z Bolkiem Ciećwierzem.

— Ty, dwa razy trafiłem tygrysa! — zawołał Zbyszek na widok Maćka.

— Za drugim razem tygrys sam się przewrócił — powiedział Bolek swoim grubym głosem.

— Ale ja przedtem go trafiłem, tylko mechanizm się zaciął i dlatego tygrys nie przewrócił się od razu — denerwował się Mucha.

— Jaki mechanizm?! Tygrys wisi na gwoździu — dowodził flegmatycznie



Bolek. — Jakbyś trafił, to od razu by się przewrócił.

— Postaw trzy strzały, gwarantuję, jeden będzie celny.

Bolek wzruszył ramionami.

— Jak postawisz, to przyniosę po świętach wiśni z nalewki — zebrał Mucha.

— Po Bożym Narodzeniu też miałeś przynieść.

— Przyniosłem, ale ciebie nie było.

— Zawracasz głowę. Zbyszek zwrócił się do Maćka:

— Ty, postaw trzy strzały.

Maciek gotów był stawiać całemu światu. Podał Zbyszkowi pieniądze na otwartej dłoni.

— Bierz, ile ci potrzeba — rzucił niedbałe, ale gdy Mucha wziął dychę, zrobiło mu się żal.

Za trzecim razem Mucha trafił w tygrysa. Spojrzał triumfalnie na kolegów.

— No i co?

Maciek miał straszną ochotę postrzelać, ale nie mógł przecież zbytnio uszczuplać honorarium dla Owczarza. Zresztą nie miał już czasu — czekała go jeszcze wizyta u Leszka. Pożegnał kolegów. Mucha przyrzekł, że wiśnie przyniesie w pierwszy dzień po świętach. Bolek Cieciewicz był świadkiem.

Brat matki mieszkał w dzielnicy, która nazywała się Podzamcze, chociaż w pobliżu nie było żadnego zamku ani nawet ruin czy choćby pagórka, na jakich przed wiekami budowano strażnice. Dzielnica była uboga, przypominała rozległą wieś, parterowe domki kryły się w ogrodach, ich właściciele uprawiali niewielkie zagony, niektórzy trzymali krowy i świny, zamożniejsi nierzadko konia, po wyboistej, nie brukowanej ulicy przechadzały się kury i gęsi. Wiosną, gdy zakwitły bzy i akacje, całe Podzamcze spowite było jakby ciepłym obłokiem dusznego zapachu, teraz od lasu i od łąk ciągnęło chłodem, a pobielone drzewa wyciągały ku niebu nagie gałęzie.

Dom wujka stał na samym krańcu Podzamcza, tuż nad rzeką, zaniedbany ogródek i porośnięte chwastami podwórze wychodziły na wysoki w

tym miejscu brzeg, gdzie wujek polował na raki. Dom kryty był dachówką, pamiętającą ponoć czasy powstania styczniowego, niektóre okna zabito poczerniałymi ze starości deskami, jedynie ładny, dworkowy ganek Leszek niedawno wyremontował. To pewnie z powodu tego ganku ludzie domostwo Leszka nazwali dworkiem. Ganek wychodził na las zaczynający się tuż za rzeką. Leszek opowiadał, że jego ojciec, Anzelm Kiczyłło, nie schodząc ze stopni ganku strzelał kwiczoły. Ale mało to Leszek opowiadał!

Gdy Maciek otworzył furtkę, z głębi dworku doszło go historyczne ujadanie. Maciek zagwizdał i psie głosy zaraz nabrały przyjaznych tonów. Chłopiec wszedł do sieni, namacał w ciemnościach klamkę i znalazł się w obszernej kuchni, zagraconej ponad wszelkie wyobrażenie. Ralf i Tarka rzuciły się do niego z radosnym skowytym.

— Leszku! — zawołał.

Lubił tu zachodzić. Za każdym razem, poszperawszy trochę, znajdował coś ciekawego. A to stary róg myśliwski, a to ramę od roweru sprzed pierwszej wojny światowej, a to przedziurawiony pociskiem hełm niemiecki albo zębatkę do czyszczenia lufy pakułami, no i oczywiście całą masę przeróżnych przyborów wędkarskich. A o każdej rzeczy, choćby najstarszej, Leszek umiał tak opowiadać, że wzbudzała jeszcze większe zainteresowanie.

W kuchni stał warsztat z dwoma imadłami, jednym stolarskim, drugim ślusarskim. Nad warsztatem wisiała stara śrutówka, od stu lat nie używana, i sterczał wypchany łeb lisi. Maciek otrzymał od wujka prawo zdejmowania śrutówki i przymierzania się do lisiego łba, ale teraz zainteresował go rozebrany zamek do drzwi, o skomplikowanym mechanizmie. Leszek był hobbystą i brał do domu najtrudniejsze roboty ślusarskie, a już co do zamków dwuhalcowych — nie było nad niego lepszego specjalisty.

— Leszku! — zawołał głośniejsze Maciek.

W ustach wciąż miał jeszcze żelazisty smak po lemoniadzie. Odłożył dwuhalcowy zamek i ogromną chochlą zaczerpnął wody z wiadra. Była zimna i orzeźwiająca. Leszek nosił ją z odległego o dwa kilometry Źródła św. Franciszka. Twierdził, że do parzenia herbaty należy używać tylko źródlanej wody. Rotmistrz, też wielki herbaciarz, znalazł w Leszku bratnią duszę. W

dowód uznania dla jego umiejętności przyrządzania tego wspaniałego napoju rotmistrz ofiarował Leszkowi kamionkowy czajniczek, oczywiście przedwojenny. Ten czajniczek stał teraz na aluminiowym imbryku, w którym szumiała woda. Maciek podniósł przykrywkę i wciągnął w nozdrza mocny, aromatyczny zapach. Coś kapnęło mu na głowę. Pod sufitem, rozwieszona na sznurze, suszyły się bryczesy i myśliwska kurtka.

— Leszkuuu! — zawołał tym razem śpiewnie Maciek i ruszył w głąb domu.

W drzwiach potknął się o gumiaki, szare od przyschniętego błota, i wszedł do pokoju. Na szerokim tapczanie, przykryty pod brodę kocem, leżał z zamkniętymi oczami Leszek. Światło, sączące się przez małe szybki, padało na pobrużdżone policzki i cienki, długi nos, który w tej chwili wydawał się jeszcze cieńszy i dłuższy, niż był w rzeczywistości. Maciek po raz pierwszy pomyślał, że Leszek jest już bardzo stary.

Stąpając na palcach, podszedł do tapczanu. Leżący podniósł wolno powieki. Maciek by przysiągł, że Leszkowi ubyło nagle sto lat. Patrzyły na niego niebieskie, wesole oczy, nieco tylko przekrwione od ciężkiego snu.

— Witaj, Pafnucy.

Leszek wszystkim nadawał imiona według własnego uznania, twierdząc, że ma do tego takie samo prawo, jak ksiądz w kruchcie czy referent w radzie narodowej.

— Dzień dobry! Co, chory jesteś?

— Pozycja horyzontalna me zawsze jest oznaką choroby. Co cię sprowadza w moje niskie progi?

— Mama prosi, żebyś przyszedł do nas jutro na kolację.

— Zlituj się, Pafnucy, za jakie grzechy?

— Z Warszawy przyjeżdżają państwo Nowakowie.

— Dzięki ci, rozstrzygnąłeś moje wątpliwości. Teraz już wiem na pewno, że nie przyjdę. Ten Nowak to straszny nudziarz.

Maciek zachichotał, był tego samego zdania. Ale że bardzo chciał, aby Leszek przyszedł i rozproszył nudę towarzyskiej niasiadówki, stłumił śmiech.

— Wujku, niech wujek przyjdzie. Leszku...

— Ja nie przyjdę, ale ty przyniesiesz mi serowca. Poczęstuj się — powiedział Kiczyłło, sięgając po pestki dyni leżące na nocnym stoliku.

Leszek uwielbiał pestki, wyhodował nawet jakąś specjalną odmianę dyni, której pestki, jak twierdził, były niezrównane. Maciek wziął kilka.

— Przyjdź... Co ja mamie powiem?

— Zostawiam to twojej fantazji — stwierdził spokojnie wujek.

Maciek zrobił chytrą minę, na pewno coś wymyśli. Miał wprawę, dla całej klasy wymyślał usprawiedliwienia. No tak, tylko że jak Leszek nie przyjdzie...

— Chciałem, żebyś przy okazji obejrzał Koreę.

— A jeśli tak, to przyjdę — zgodził się nagle Kiczyłło. — Stawię się punktualnie. O której?

— O szóstej.

— Będę. A co tam w szkole? — spytał niebieskooki wujaszek.

— W porządku — rzucił niefrasobliwie Maciek i szybko zmienił temat.

— Ile Tarka ma lat?

— Nigdy nie liczą lat ludziom i zwierzętom, z wyjątkiem słoni. Co słychać w domu?

— No, Kora będzie się żrebić.

— O tym wydarzeniu rodzinnym jestem przecież dokładnie poinformowany. Czyżbyś nie miał więcej plotek? Ty? Pafnucy, nie poznaję cię!

— O rany, byłbym zapomniiał... Na Rojnie ubili byka.

— Kto?

— Nie wiadomo. Jakiś kłusownik. Bolek Kubasiewicz go postrzelił.

— Biedaczek.

— Byk?

— Nie, kłusownik.

— Ja bym takiego od razu zastrzelił.

— Nie bądź taki krwiożerczy — powiedział Leszek i nagle zmienił temat.

— Słuchaj no, Pafnucy, o ile się znam na pogodzie, to ty coś przede mną ukrywasz. Czy na pewno nic dzisiaj nie narozrabiałeś?

— Ja? — w głosie Maćka zabrzmiało prawdziwe oburzenie. — Dlaczego

miałbym narozrabiać?

— Pytam na wszelki wypadek. Może mógłbym ci służyć radą, pomocą.

Omiał nie uległ pokusie, żeby wszystko opowiedzieć, ale pomyślał sobie, że chociaż ten niebieskooki wujaszek jest taki fajny, to jednak należy do świata dorosłych, wobec którego zawsze należy zachowywać daleko posuniętą ostrożność. A nuż Leszek opowie wszystko w domu? Maciek zobowiązał się wprawić szyby za własne pieniądze i, za wstawiennictwem Równiachy, otrzymał od Tuhajbeja przyrzeczenie, że ojciec o niczym się nie dowie. Dla Maćka była to kwestia życia i śmierci: Kmicica miał dostać pod warunkiem, że będzie się dobrze sprawował.

— Muszę już iść, mama będzie się gniewała...

— Żegnaj, Pafnucy. I kłaniaj się Dąbrówce. Dąbrówką nazywał swą siostrę, matkę Maćka.

— Dziękuję, do widzenia. Czekamy. Przechodząc przez kuchnię, Maciek pomyślał, że na pewno sprawiłby Leszkowi przyjemność, gdyby zaniósł mu gorącej herbaty. Wiedział, jak ją podać. Włożył łyżeczkę do szklanki, nalał trzy czwarte esencji, dolał wody, postawił na tacy cukierniczkę i ruszył z powrotem do pokoju.

Kiczył siedział na tapczanie i ostrożnie poprawiał bandaż na prawym ramieniu. Usłyszawszy skrzypnięcie drzwi, podniósł wzrok. Patrzyli na siebie dostatecznie długo, aby Maciek mógł się przekonać, że i z otwartymi oczami Leszek może wyglądać równie staro jak z zamkniętymi. A więc to tak?... Mokre ubranie, zabłocone gumki, bandaż... Więc Leszek...

Chłopiec wycofał się tak szybko, jak mu na to pozwalała taca, zatrzasnął nogą drzwi i, postawiwszy herbatę na stole w kuchni, wybiegł na dwór.

— Pafnucy!

Maciek obejrzał się. Leszek stał na ganku, w narzuconym na ramiona kocu. Psy kręciły się wokół niego, poszczekując radośnie, gotowe towarzyszyć panu.

— Pafnucy!

Maciek przyśpieszył kroku. Serce biło mu szybko i boleśnie, chociaż wcale przecież nie był jeszcze zmęczony. Przebiegł podwórze i popędził

brzegiem rzeki.

# DZIEWCZYNA O ZIELONYCH OCZACH

Stary Kazimierski siedział przed stajnią i grzał kości w wiosennym słońcu. Czysto wymiecione i wysypane żółtym piaskiem podwórze było puste. Pracownicy stadniny rozeszli się do domów, jedni uciąć drzemkę przed wieczornym obrzędkiem, drudzy pomóc kobietom w świątecznych porządkach. Było cicho i tylko z zarodowej dochodziło parskanie klaczy. Nad stajnią rozdarła się sroka, przeleciała nisko nad głową starego, nurkując za niezupełnie jeszcze rozbudzoną muchą. Kazimierski spojrział przytomniej. Jak ten czas leci: parę dni temu na podwórzu leżał śnieg, a teraz sucho, ciepło, muchy latają. Wiosna! Sięgnął po pudełko z tytoniem. Zapali i pójdzie zajrzeć do Kory. To będzie jej ostatnie źrebię, czas kobyłce na emeryturę. Lady chyba już przed wieczorem urodzi, cały dzień nie może sobie miejsca znaleźć. Zrobił skręta, przylepił do wargi i sięgnął po zapałki. Nagle ujrzał przed sobą zmienioną twarz Maćka.

— Zrobiłem bieg z miasta — wyjaśnił chłopiec, chociaż nikt go o nic nie pytał.



Stary przytknął zapalną do bibułki.

— Wyglądasz, jakbyś diabła zobaczył — mruknął.

— Żeby to się chciał pokazać... No co, nic? — spytał Maciek, wskazując głową na stajnię.

— Powiedziałem: za dziesięć dni.

— Przyjechali Nowakowie, nie wie pan?

— Przyjechali, on był już Korę obejrzeć.

— O rany! Owczarz musi mnie zaraz ostrzyc.

— Pewno śpi w oborze.

— Tylko niech pan mamie nie mówi, panie Kazimierski; miałem iść do fryzjera.

— Po co ci fryzjer, skoro jest Owczarz.

Owczarz strzygł pół Pędzichówka. Chociaż ręce trzęsły mu się ze starości, zręcznie posługiwał się nożycami do strzyżenia owiec. Operacje odbywały się za oborą, zawsze w świetle słońca, bo stary niedowidział, a że



miał ambicje artysty, chciał sobie zapewnić jak najlepsze warunki do pracy. Siadało się na niskim stolku, jakiego używają dójki, Owczarz zakładał klientowi ścierkę na ramiona i splunąwszy zabierał się do dzieła. Klient nie miał prawa głosu, mistrz wszystkie głowy strzygł, jak sam uważał za stosowne, i bardzo się gniewał za jakieś niewczesne zachcianki. Maciek nie napomknął więc nawet o przedziałku.

O awanturze w szkole zdążył już zapomnieć. Wystarczy przebiec kawałek przez las, żeby podobna historia uleciała ci z głowy. Gorzej z taką historią, jak ta Leszkowa. Kiedy cię coś takiego ułapi, to nie popuści, choćbyś przez cały dzień biegał.

Maciek raz już doświadczył czegoś podobnego. Było to wtedy, gdy nagle pomyślał o śmierci, i to w taki sposób, jak nigdy przedtem nie myślał. Trzy dni chodził z uczuciem strachu boleśnie uwierającym pod żebrami. Popuściło dopiero wtedy, kiedy podczas meczu z ósmą strzelił dwie bramki, w tym jedną z karnego (w prawe, górne okienko).

Maciek pochodził z rodu koniarzy, sam uważał się za koniarza i jak każdy rasowy koniarz oceniał świat z wysokości sportowego siodła. Strzelanie do zwierzyny w czasie ochronnym było dla niego taką samą zbrodnią, jak znęcanie się nad roczniakiem, oddanym do zajazdki. A kto się takiej zbrodni właśnie dopuścił? Człowiek, który od pewnego czasu wciąż mówił o swojej niechęci do polowania. Chłopiec sam rad koloryzował, a gdy go coś napadła, załgiwał się do zapamiętania, ale zakłamanie Leszka tak go przeraziło, że wybiegłszy z obejścia, pędził przed siebie jak oszalały.

Koło dołowackich oparzelisk zwolnił dla nabrania tchu i obejrzał się. Nikt go nie gonił. Naokoło stał bór gęsty, nieruchomy, jeszcze nie rozbudzony z zimowego snu. Na ściółce widniały plamy po dopiero co stopniałym śniegu, tylko gdzieniegdzie zieleniły się mchy i turzyce. W tej martwocie ucho łowiło oznaki życia. Dalekim echem niesło się kucie dzięciołów, w gałęziach rozdartej piorunem sosny odezwał się rudzik, może pierwszy, jaki przyleciał z dalekich krajów. Maciek obszedł sosnę, zadzierając głowę, ale nigdzie nie mógł wypatrzeć śpiewaka. Tę rozdartą sosnę znał dobrze. Gdy z Leszkiem szli na tokowisko, zawsze skręcali tu w prawo. Westchnął i poszedł dalej.

Kierował się na grądy. Tam każda ścieżka prowadzi na młodniak, skąd do domu parę kroków. Im było bliżej, tym szedł wolniej. Obawiał się spotkania z matką...

Teraz też — słysząc sapanie Owczarza nad uchem i czując zimny dotyk nożyc — myślał o tym bez przerwy.

Wiedział, że matka będzie go wypytywać o ukochanego braciszka. „A jak się czuje? Jak wygląda? Co opowiadał? Czy mu czego nie trzeba?” No i... czy się nie żeni? Pani Kasicka swatała brata ze wszystkimi pannami w okolicy. Urządzała „przypadkowe” spotkania, które przypominały zasadzki zastawione niewprawną ręką na szczwanego wilka-samotnika. Wierny giermek, Maciek, zwąchawszy pismo nosem, lojalnie ostrzegał wuja, że — na przykład — na plebanii nie chodzi o popsuty zamek, lecz o podstarzałą siostrę księdza proboszcza. Leszek, kawaler i facecjonista, nie zawsze korzystał z ostrzeżeń siostrzeńca i czasem szedł prosto w sidła jak zwierz, który stracił wiatr. No i zawsze kończyło się to jakąś awanturą.

Po takich, jak mawiała, skandalach, siostra wyrzekała się brata. Ale wystarczyło, żeby — odczekawszy tydzień — zjawił się w Pędzichówku i popatrzył tymi swoimi niebieskimi oczami, od razu uzyskiwał przebaczenie. No i oczywiście zaproszenie na spotkanie, tym razem na przykład z siostrą aptekarza, której akurat popsuł się odkurzacz. Śmiechu było z tego co niemiara. Śmiała się i sama pani Kasicka, bo była pod pewnymi względami podobna do brata — potrafiła podkpiwać z własnych słabostek.

Teraz to wszystko — i te śmieszne konkury, i wspólne wyprawy łowieckie, i słuchanie słowików na ganku — miało się skończyć raz na zawsze. Maciek nie wyobrażał sobie, aby Leszek śmiał kiedykolwiek spojrzeć ludziom w oczy. Całe miasteczko będzie widziało, jak go prowadzą do więzienia. Potem rozprawa przy pełnej sali, wyrok, artykuły w gazetach. Boże, co za wstyd!

Ale, ale!... Przecież tego wszystkiego nie będzie!

Przecież nikt, poza nim, nie wie, że Leszek jest owym nieuchwytnym kłusownikiem, który od lat trzebi zwierzynę w okolicznych lasach. I nikt się nie dowie. Bo niby od kogo? Od niego, od Maćka? Nikomu ani słowa. No tak,

ale Leszek jest ranny i — mimo obietnicy — na pewno nie przyjdzie do nich jutro... Matka zacznie się dopytywać, badać... Najlepiej od razu jej powiedzieć, że wujek został zaproszony do Gniewiczów albo że wyjechał do Warszawy. A on, Maciek, wykradnie serowiec i zanieś na Podzamcze.

Zapalił się do tej myśli i zaraz zaczął sobie wyobrażać, jak to będzie. Sernik położy na talerzu, przyniesie świeżo zaparzonej herbaty, siądzie przy Leszku na tapczanie i zapyta... O co zapyta? Oczyma duszy zobaczył ironiczny uśmiech Leszka, jego przymrużone kpiąco niebieskie oczy.

Prawdę mówiąc, Maciek wolałby, żeby Leszek tak się nie uśmiechał. Po prostu nie przepadał za takimi uśmiechami. A już teraz Leszek nie ma po prostu prawa okazywać swojej wyższości! Takie postępowanie każdego może wkurzyć! Facet strzela byki w czasie ochronnym i myśli, że jest lepszy od tych, którzy strzelają, jak Pan Bóg przykazał, od 21 sierpnia do 10 lutego!

Już on wytłumaczy wujaszкови niewłaściwość takiego postępowania. Trochę zmieni to, co w podobnych % przypadkach mówi Tuhajbej. „Niewłaściwe postępowanie” też pożyczył od Tuhajbeja.

Sernik jednak odpada. Nie będzie gościa karmił sernikiem za to, że strzela byki. To byłoby idiotyczne. Pójdzie bez sernika i powie, że z kłusownictwem koniec! Palnie takie kazanko, że proszę siadać. No, nie za ostre, aby się Leszek nie obraził. Z kim Maciek poszedłby na głuszce? Już tydzień, jak zaczęły tokować.

Jasne, Leszek musi przysiąc, że więcej nie będzie kłusował. Ale na co ma przysięgać, skoro w nic nie wierzy? No, mniejsza z tym, wystarczy, że da słowo. Tacy faceci, którzy w nic nie wierzą, zwykle dotrzymują słowa. Na przykład rotmistrz. Trzeba przyznać, że Leszek ma cholerne szczęście. W szkole nikt by się słowem nie zadowolił, Tuhajbej zaraz wezwałby rodziców. O ile z miejsca nie wylałby z budy. „Zabieraj książki i żebyś mi się więcej na oczy nie pokazywał”. Tak załatwił Dobka Kołodzieja za to, że w bójce wyciągnął scyzoryk.

Szkoda, że i wujaszka nie ma z czego wyrzucić. Najlepiej byłoby z pracy. Ale z pracy nie można, bo nigdzie nie pracuje. A może powiedzieć mu, że nie

będzie się do niego odzywał przez miesiąc? Owszem, odwiedzi go, ale będzie milczał jak grób. Nie, to wszystko dziecinada.

I nie można powiedzieć matce, że Leszek nie przyjdzie. On mimo wszystko może przyjść. Na pewno liczy na to, że Maciek nikomu nic nie powie. Tu trzeba coś naprawdę! Ale co? Może się jednak kogoś poradzić? Sam nie wykombinuje. Danka Kazimierskiego? Dobrze się uczy, prawie prymus. Nie, Danek odpada. Za młody. Więc kogo? Ojca? Najlepiej byłoby ojca, matka bardzo przejmuje się takimi rzeczami. Tylko że z ojcem to nigdy nic nie wiadomo. Jeszcze zabroni widywać się z Leszkiem. Już lepiej starego Kazimierskiego. Albo Skorupy. O, Skorupa byłby dobry, o polowaniu wie wszystko, już przed wojną prowadził nagonkę. Tylko mówią, że wnyki po cichu na zające zastawia. A może Równiacę?

Maciek aż podskoczył z radości. Pomysł z Równiacą ogromnie mu się spodobał.

— Siedź spokojnie, bo ci oko wydłubię!

Owczarz obchodził go, zgrzytając w powietrzu nożycami, coś tam poprawił na ciemieniu, wreszcie splunął w bok i oświadczył:

— Może być. — Wziął należność i, nie spuszczać wzroku z ostrzyżonej głowy Maćka, niedbałym ruchem wetknął pieniądze do kieszeni kamizelki.

— Może być.

W domu panował świąteczny nastrój. Sień pachniała pastą i obcymi perfumami, z kuchni dolatywał zapach gotującego się bigosu. Zupełnie ogłupiały Rex siedział pośrodku sieni i oblizywał się podejrzanie. Zza drzwi wiodących do kantorku słychać było głośną rozmowę. Maciek przemknął się do łazienki i umył ręce, „przymierzając” w lustrze minę najodpowiedniejszą na powitanie gości ze stolicy. W sieni przyglądał jeszcze włosy, otworzył drzwi i, szurając nogami, uklonił się po sztubacku; a obiecywał sobie, że się ukloni jak dorosły.

— Aaa, jest Maciuś!

— Jak on urósł!

— To już duży chłopiec!

Takie odzywki każdego mogą stremować. Omal nie pocałował w rękę Igi,

młodszej od niego o pół roku smarkuli! W sumie jednak powitanie, zdaniem Maćka, wypadło możliwie i dopiero potem było gorzej. Nastąpił ten moment, w którym nigdy nie wiadomo, co zrobić z rękami. Na szczęście wpadł na dobry pomysł, schował ręce z tyłu i oparł się o ścianę. Udając zainteresowanie, jał się przysłuchiwać rozmowie. Pan Nowak opowiadał o początkach sportu jeździeckiego po wojnie w stolicy.

— ...byłem właśnie w zoo — mówił pan Nowak żywo gestykułując — u przyjaciela mego ojca. Pracował on w dyrekcji ogrodu. Pamiętam jak dziś: odźwierny otwiera bramę i cóż my widzimy — na teren ogrodu wjeżdża licha furka, przy której idą luzem dwie chabety. Powiadam wam, czegoś podobnego w życiu nie widziałem. Chude to, zebra sterczą, kulawe. Obraz nędzy i rozpacz. Pięciu groszy bym za nie nie dał. A przyjaciel mego ojca obszedł szkapy, popatrzył, pomacał...

— A rozumiał się on chociaż na ogonach? — spytał rotmistrz.

— Dzieciństwo spędził w stadninach nad Donem. Rotmistrz pokiwał z uznaniem głową.

— Doniec dobry koń, wytrzymały, idealny koń dla wojska.

— Ja bym tego nie chciał hodować — wtrącił pan Kasicki, zły, że jeszcze nie siadają do stołu.

— Pewien ogier doński przebył w ciągu doby trzysta kilometrów — powiedział rotmistrz, puszczając mimo uszu uwagę pana Kasickiego.

Maciek znał historię wyczynu dońskiego ogiera Kagała, zrobił więc mądrą minę i zerknął na Igę, żeby sprawdzić, czy ją zauważyła. Był to fatalny błąd: spojrzenia ich bowiem spotkały się, ale w oczach Igi zamiast podziwu — dostrzegł Maciek wesołe ogniki. Sądząc, że to jego fryzura rozbawiła panienkę, Maciek przesunął dłonią po głowie. Ten mimowolny gest speszył go bardzo. Upłynęło sporo czasu, nim udało mu się przybrać minę wyrażającą doskonałą obojętność. Jego złość łagodził jedynie fakt, że Iga ma zielone oczy, a nie — jak początkowo sądził — niebieskie. Mieć sympatię z zielonymi oczami to byłaby bomba. Poza Danką Bolka Ciecwierza wszystkie dziewczyny w miasteczku miały oczy niebieskie albo piwne. Danką zresztą też nie miała zielonych, tylko szare.

— ...przyjaciel ojca poszedł do dyrektora i powiada: „Wezmę te konie do stajni, a tygrysom damy co innego” — ciągnął opowiadanie pan Nowak. — Dyrektor przyjrzał mu się podejrzliwie, wiedział, że z koniarzami nigdy nic nie wiadomo. „Co pan tam kombinuje?” „No cóż, panie dyrektorze, zrobiliśmy jazdę dla dzieci na kucykach, to trzeba i dla dorosłych coś zrobić”. A na to dyrektor: „Niech pan robi, tylko żeby nic nie kosztowało”. I tak, moi drodzy, konie uratowane od śmierci stały się zaczątkiem stajni kursów jazdy konnej w warszawskim zoo. Odkarmione, wyleczone, okazały się pełnowartościowymi wierzchowcami. Jednego ochrzcili Sznyblem, jako że miał być obiadem dla tygrysów.

— Bardzo niestosowna nazwa dla konia pod wierzch — zauważył z niesmakiem rotmistrz.

— Z pewnością ma pan rację, panie rotmistrzu — zgodził się łatwo pan Nowak, pragnąc za wszelką cenę utrzymać się przy głosie.

— Dońce to brzydkie konie i brak im szybkości. Mają niedostateczny wykrok — odezwał się ponurym głosem pan Kasicki, któremu kiszki grały coraz żałośniejszego marsza.

— Po dolewie krwi karabachskiej stały się wyższe, szybsze i nabrały pięknego złocistego odcienia — ripostował od niechcienia rotmistrz, wielki znawca wschodnich typów konia.

— Nie macie państwo pojęcia, jak Igusia lubi konie — powiedziała pani Nowakowa. — Całą drogę mnie zamęczała: „Mamo, czy w tym Pędzichówku nauczą mnie dobrze jeździć konno?” Ona już trochę w Warszawie jeździła.

— Maciuś! — odezwała się pani Kasicka. Maciek zdrętwiał. Zaraz padnie pytanie o Leszka.

— Chodź do mamy, synku.

Maciek podszedł. Matka pogłaskała go po głowie.

— Nauczysz Igę jeździć konno? Maciek odetchnął.

— Dlaczego nie.

Iga aż podskoczyła z radości.

— Na jakim koniu będę jeździć?

Maciek zastanowił się. Chyba najlepiej osiodłać kuca, będzie miała

niedaleko do ziemi.

— Na Klusce — powiedział i spojrzął na ojca. Pan Kasicki skinął głową.

— Jaka jest ta Kluska? — dopytywała Iga. Była ogromnie podniecona.

— Miękką w pysku, lekko niesie — powiedział Maciek.

— Ale jakiego koloru?

— Mówi się: maści — pouczył córkę pan Nowak.

— Jakiej maści?

— Dereszowata.

— Dereszowata? To znaczy jaka?

— Łeb gniady, reszta siwa, taka opryskana atramentem.

— Nigdy nie widziałam takiego konia — zapiszczała Iga.

Pani Nowakowa i pani Kasicka patrzyły z zachwytem na dzieci (każda na swoje).

Matka znów pogłaskała Maćka po głowie i powiedziała z wyrzutem:

— Prosiłam, żeby cię uczesał z przedziałkiem. Maciek miał już coś zełgać, gdy z pomocą pośpieszyła mu Iga.

— Jemu jest bardzo dobrze bez przedziałka — powiedziała czupurnie. Starsi roześmieli się.

— Ja go wolę z przedziałkiem — oponowała słabo pani Kasicka.

— Jest bardzo modnie ostrzyżony, na głupiego Jasia — stwierdziła Iga.

— Z przedziałkiem ma pełniejszą buzię. Iga nie myślała ustępować.

— Cała Warszawa tak się strzyże.

— Naprawdę? — powiedziała całkiem już rozbrojona pani Kasicka i jeszcze raz pogłaskała Maćka.

— No, matka, daj co jeść, goście z drogi, głodni — powiedział pan Kasicki.

— Proszę bardzo, państwo pozwolą. Przeszli do jadalni.

Pani Kasicka pobiegła do kuchni, pan Kasicki sadzał gości przy stole.

— Ze Służewca przyszły trzy konie — podjął opowiadanie pan Nowak, zajmując miejsce obok rotmistrza — Bagnet, Tamiza III i weteran Narkoz, na którym w czasie wojny jeździł generał Popławski. Potem doszło jeszcze kilka koni nabytych okazji i zaczęło się szkolenie...

Maćkowi przypadło miejsce obok Igi.

— Strasznie się cieszę na tę Kluskę — szepnęła, marszcząc zabawnie nosek.

— ...jakoś na jesieni — opowiadał pan Nowak — cło zoo zjechała ekipa filmowa. Kręcili obraz o Moniuszce i potrzebowali dwóch koni...

Weszła pani Kasicka, niosąc dymiącą wazę. Rozszedł się kwaśny zapach czosnku, skwarek i przysmażonej cebuli.

— Ach, zalewajka! — zawołała pani Nowakowa.

— Pamiętałam, że pani lubi.

— Szalenie.

— To bardzo się cieszę. Można?

— Och, dosyć, dziękuję. Iguś, to jest prawdziwa, wiejska zalewajka.

— W pani wykonaniu ta zalewajka to delicje — odezwał się grzecznie pan Nowak, żywiąc nadzieję, że pozwolą mu dalej opowiadać o kursach jazdy konnej w warszawskim zoo.

— Skwareczki, jakie smaczne!

— Może jeszcze?

— Ale odrobinę.

Pan Nowak, wyrzekając się bohatersko zalewajki, podjął opowiadanie:

— Wybór padł na Bagneta i Narkoza. Na Narkozie miała jeździć Szaflarska, a na Bagnecie Duszyński, który w życiu nie siedział na koniu...

— Bardzo lubię Szaflarską — powiedziała pani Kasicka, podsuwając pani Nowakowej koszyk z chlebem. — Może chleba?

— Iguś, popatrz, prawdziwy wiejski chleb.

— Przychodzi jednego dnia Duszyński — opowiadał pan Nowak. — Bagnet stoi osiodłany, aktor obszedł go z daleka, przyjrzał się, wreszcie powiada, że, owszem, partner podoba mu się, ale on czuje się dzisiaj niedysponowany. I poszedł sobie. Na drugi dzień przychodzi błądy i powiada: „Jestem gotów na wszystko, sporządziłem testament”. I odbył dwuminutowy spacer na Bagnecie, noga za nogą.

Historia o Duszyńskim spodobała się, rozległy się śmiechy, jeden pan Nowak, jak przystało na rasowego gawędziarza, zachował powagę.



— Maciek, podaj kieliszki — odezwał się pan Kasicki. — Matka, ty zawsze zapomnisz postawić kieliszki.

Przechodząc obok lustra, Maciek przyjrzał się sobie uważnie. Dopiero teraz uprzytomnił sobie, kto był tak samo ostrzyżony jak on: nie żaden głupi Jaś, lecz Taran i Bojarka, dwa dyszlowe kasztany z cugowej stajni.

## **MROŻĄCY KREW W ŻYŁACH OKRZYK APACZA**

Obiad przeciągał się i Maciek stracił już nadzieję, że będzie dziś uczył Ięgę jeździć konno. A miał na to wielką ochotę. Na maneżu weźmie srogi odwet za klęski poniesione przy stole! Spadły na niego zupełnie nieoczekiwanie. Dotychczas zawsze on miał monopol na zabawianie dorosłych. I oto zjawia się ta mała i zaraz pierwszego dnia spycha go w cień. Tylko jej słuchają, śmieją się tylko z tego, co ona mówi, na niego w ogóle nie zwracają uwagi. Idiotyczna sprawa: wszyscy naokoło się bawią, a on jeden siedzi z głupim wyrazem twarzy.

Znał wiele sposobów usuwania głupiego wyrazu twarzy. Za przykładem pana Zagłoby nazywał je fortelami. Grunt to fortele. Dajmy na to czytasz pod ławką „Ogniem i mieczem”, a tu Ciapa wyrywa cię do odpowiedzi. Wracając z Dzikich Pól na szkolną ławę, nikt nie ustrzeże się głupiego wyrazu twarzy, ale tylko frajer wstaje od razu i wybałusza gały na nauczyciela, wytrawny znawca forteli wyciąga najpierw chusteczkę i długo wyciera nos. Żaden nauczyciel nie dostrzeże w tym nic zdrożnego, niektórzy są nawet zadowoleni, że uczeń wytrze sobie nos przed odpowiedzią. Tymczasem ty wracasz do rzeczywistości i na twarzy, w miarę jak kolesie w przyspieszonym trybie karmią cię wiedzą, zjawia ci się wyraz skupienia.

W domu, gdy czujesz, że głupiego wyrazu nie zlikwidujesz wysiłkiem woli, najlepiej jest, niby nieumyślnie, upuścić chusteczkę do nosa czy widelec i nurknąć za nim pod stół. Gdy w pokoju nie ma stołu i w związku z

tym nie można zejść z pola widzenia, należy zaatakować. W tym celu wydaje się dziki okrzyk, jaki wydawali Indianie, gdy dobrali się do butelek z ognistą wodą. Zawsze możesz liczyć na to, że po takim okrzyku zostaniesz wyrzucony za drzwi razem ze swoim głupim wyrazem twarzy. Były to fortele przeznaczone na szczególnie ciężkie przypadki, w codziennej praktyce wystarczyło zagrać Dyla Sowizdrzała. Był to facet, który zawsze pokazywał światu uśmiechniętą gębę junaka.

Tym razem Maciek uznał, że sytuacja jest wyjątkowo poważna i nie ma co się bawić w Sowizdrzała. Sięgnął do kieszeni. Wielkie nieba! Była pusta, chusteczkę zostawił u Owczarza. Rozejrzał się, co by tu zrzucić na ziemię, ale matka zebrała właśnie ze stołu ostatnie sztucce.

Przeraźliwy chichot, jaki wydaje pijany Apacz, gdy przesadziwszy palisadę, z tomahawkiem rzuca się na bezbronnych osadników, sparaliżował sześć bladych twarzy przy gościnnym stole państwa Kasickich.

Ojciec utkwiał w Maćku groźne spojrzenie.

— Wyjdź!

Tylko na to czekał. Zerwał się z krzesła. Chciał jak najprędzej znaleźć się za drzwiami. Nagle coś przytrzymało go na miejscu. To Iga chwyciła go za rękaw.

— Niech mu pan daruje — mówiła patrząc błagalnie na pana Kasiekiego — to moja wina...

Maciek szarpnął się, ale trzymała mocno.

— Prosiłam, żeby mi powiedział, jak się woła na konie — uzupełniła słodziutkim głosem.

Pan Kasicki popatrzył na Igę, potem na Maćka, potem znów na Igę.

— Na konie tak się nie woła — powiedział, a potem dodał zwracając się do Maćka: — Żeby mi to było ostatni raz.

Maciek stał chwilę z opuszczoną głową, aby jednak jakoś ukryć ten głupi wyraz twarzy, i w braku lepszego zajęcia kręcił w palcach guzik od marynarki.

Iga pociągnęła go mocniej za rękaw, więc usiadł.

Chcąc ratować nastrój, pani Nowakowa wzięła na siebie rolę inspicjenta.

— Iguś, opowiedz państwu o Yulu Brynnerze.

— Och, mammo!

— Ty to tak zabawnie opowiadasz.

— Mammo, nie.

— No dobrze, to ja opowiem. Znacie państwo Yula Brynnera? — spytała pani Nowakowa, poprawiając się na krześle. Wszyscy przybrali miny osób dobrze poinformowanych. — Kiedy zaczął łysieć, a stało się to wiele lat temu, ogolił sobie głowę na kolano i dalejże lansować łysinę. Co? Trzeba mieć tupet, żeby przechwalać się łysiną...

Pani Nowakowa nagle urwała.

Idąc za jej wzrokiem, Maciek spojrzał na rotmistrza. Świetny jeździec zachował kamienny wyraz twarzy, ale jego łysa czaszka nieco poczerwieniała.

Wszyscy się zmieszali, oprócz pana Kasiekiego, który zerknął na przyjaciela i uśmiechnął się setnie ubawiony.

Rotmistrz przeciągnął dłonią po łysinie i powiedział:

— Tym się jeno pocieszam, że poniekórym koniom z łysiną bardzo do twarzy.

Spojrzeli nań z wdzięcznością, że tak się ładnie znalazł.

— Święta racja, panie rotmistrzu — powiedział pan Nowak z głębokim przekonaniem, a jego małżonka dodała:

— Ja osobiście bardzo lubię łyse konie. Panowie roześmieli się głośno.

Maciek nie widział wprawdzie w tym nic śmiesznego, że ktoś lubi łyse konie, ale nie chcąc zostać w tyle, śmiał się najgłośniej.

Dyskurs o łysinach przerwało wejście Skorupy.

Maćkowi serce zaczęło bić jak młotem.

— Nareszcie! — zawołał pan Kasicki. — Gdzie się tyle czasu podziewałeś? No, jak?

Skorupa nie spieszył się z odpowiedzią. Przywitał się z Nowakami, Idze powiedział, że urosła i — widać utrudzon wielce — ciężko siadł na krześle.

— Złapaliście? — niecierpliwił się pan Kasicki. Maciek wstrzymał oddech.

— Kogo? — spytał Skorupa. Lubił się podroczyć. Taki już był.  
— Jak to: kogo? Kłusownika.  
— Kłusownika? Nie, nie złapaliśmy.  
— Znów uciekł?  
— Kamień w wodę.  
— Może herbaty? — spytała pani Kasicka.  
— Ja mu zaparzę — powiedział rotmistrz i nalał staremu kieliszek orzechówki.

Chciał nalać i panu Nowakowi, ale ten nakrył kieliszek dłonią, na znak, że więcej pić nie będzie. Rotmistrz nalał więc panu Kasickiemu, a na końcu sobie.

— Siadów nie zostawił? — pytał pan Kasicki — Jakich śladów?  
— Podobno go Bolek postrzelił.  
— Podobno.  
— Jak go postrzelił, mogły być ślady krwi.  
— Nie było.  
— A obława poszła?  
— Całe Rojno otoczyli.  
— I co?  
— A nic.  
— To co się z nim stało?  
— Pofrunął — zażartował rotmistrz.  
— Może i pofrunął — zgodził się poważnie Skorupa i zerknął na karafkę.  
— Byka odstawiłeś do.. nadleśnictwa? — pytał dalej pan Kasicki.  
— Byka?  
— No tak, byka...  
— Nie odstawiłem.  
— Dlaczego? Po to pojechałeś.  
— Nie znaleźliśmy.  
— Jak to: nie znaleźliście? Przecież Kubasiewicz go widział zabitego.  
— Podobno to był Bartek — powiedział cicho Skorupa.  
— Bartek?!

— Niemożliwe!

— Taki piękny byk!

— To był najpiękniejszy jeleni — powiedziała pani Kasicka, zwracając się do Nowaków. — Widziałam go. Ach, jak mi go żal.

— Gdzie padł?

— Na cemencie. Pięćdziesiąt metrów od szosy.

— Byłeś tam?

— Byłem.

— No i co?

— Już go nie było.

— I śladów nie było, i kłusownika nie było, to może i do byka nikt nie strzelał — odezwał się rotmistrz.

— Ale obława była — wtrącił pan Nowak. Skorupa popatrzył na rotmistrza.

— Siady po byku były — powiedział. Pan Kasicki odstawił karafkę na kredens.

— Jakie ślady?

— Posoka.

— Gdzie?

— Tam, gdzie padł.

— A po śladach nie widać było, żeby wstał?

— Po śladach powinien leżeć.

— Ktoś go wywiózł?

Skorupa stał się nagle wymowny.

— Po mojemu nikt go nie wywiózł, bo nie mógł wywieźć. Naokoło stała obława.

— A od rzeki stała?

— Od rzeki nie stała, ale przez rzekę nikt się nie przeprawiał.

— Jesteś tego pewien?

— Szukaliśmy potem i nad rzeką. Jest jeszcze śnieg przy brzegach, toby było widać ślady po przeprawie.

— Nic nie było widać?

— Tylko ślady jeleni.

— Uciekły przez rzekę?

— Cała chmara.

— I nie było tam śladów posoki?

— Nie.

Nastąpiła dłuższa chwila milczenia.

— Panie Skorupa, co się mogło stać z Bartkiem? — spytała pani Nowakowa.

— Ktoś go jednak musiał zabrać — powiedział dość szorstko pan Kasicki.

— Ale kto?

— Siły nieczyste — mruknął Skorupa.

— To wymyślił!

— Panie Skorupa, naprawdę pan myśli, że to siły nieczyste? — spytała z zainteresowaniem pani Nowakowa.

— Proszę pani, on nigdy nie mówi tego, co myśli — powiedział pan Kasicki i łypnął na Skorupę złym okiem.

Maciek ledwo mógł usiedzieć na krześle. Miał wielką ochotę wstać i wygłosić dłuższe przemówienie. Jeśli kłusownikiem był Leszek, a co do tego Maciek nie miał żadnych wątpliwości, to z bykiem mogło zdarzyć się naprawdę coś nadzwyczajnego. Leszek znał przeróżne sztuczki. Na przykład tę z kartami. Maciek widział ją dziesiątki razy, ale nie umiał powiedzieć, jak to się dzieje, że Leszek, wyrzuciwszy najpierw talię w górę, wyciągał potem po jednej karcie zza ucha przygodnego widza.

Skorupa podniósł się z krzesła.

— No, to ja już pójdę — powiedział. Pan Kasicki milczał.

— Co u syna słyhać, panie Skorupa? — spytała pani Nowakowa.

— Dziękuję, dobrze.

— Pisze?

— Pisze, pisze. Do widzenia.

— Do widzenia, do widzenia.

Gdy za Skorupą zamknęły się drzwi, Iga nachyliła się do ucha Maćka.

— Chodź, pokażesz mi tę Kluskę.

— Chodźmy.

— To tylko poczekaj, pójdę się przebrać.

Iga grzecznie spytała panią Kasicką, czy może wstać od stołu, bo już czas na lekcję jazdy konnej. Uzyskawszy pozwolenie, wyszła z jadalni.

— Coś mi się zdaje, że Skorupa nie powiedział wszystkiego — odezwał się pan Nowak zniżając głos.

— Kłusownik o kłusowniku niechętnie rozprawia — powiedział rotmistrz.

— Jak to: kłusownik?

— To pan nie wiedział?

— Skorupa?!

— Król kłusowników w czasie okupacji.

— Niemożliwe.

— Mówił, że jak mają Niemcy zabić, to lepiej, żeby on zabił.

— A po wojnie?

— Skończył z tym raz na zawsze — powiedział z przekonaniem rotmistrz i spojrzał na gospodarza.

Pan Kasicki przysłuchiwał się rozmowie w milczeniu i bawił się okruchami chleba, które ugniatał w spore kulki.

## **GDY W KLUSKĘ WSTĄPI DIABEŁ**

Wróciła Iga. Była w czarnym golfie i džinsach. Spod czerwonej chusteczki wyglądały jasne kosmyki włosów, w ręku trzymała szpicrutę. Pewno wzięła ze stojaka w sieni.

— Wygląda jak prawdziwa amazonka — powiedział rotmistrz, zapominając, że w czasach amazoнок nie znano džinsów ani golfów.

Pani Nowakowa przyciągnęła do siebie córkę i pocałowała.

— Mamo! — zaprotestowała Iga. Podeszła do Maćka.

— Idziemy.

— Pokaż jej też Roksanę — powiedział pan Kasicki. — Wiesz, jaka

Roksana spokojna, na niej Iga może śmiało jeździć.

Maćka aż zatkąło: jemu ojciec nigdy nie pozwolił dosiąść swojej ulubienicy.

Iga zrobiła piękny dyg w stronę pana Kasiekiego i zasalutowała wszystkim szpicrutą, tak jak szablą salutuje dowódca kompanii honorowej.

— Dobrze to zrobiła, słowo daję! — zakrzyknął rotmistrz, wielki znawca wojskowego ceremoniału. — Ona jest urocza.

Ruszyła do wyjścia, za nią szedł Maciek.

— Maćku! — zawołała pani Nowakowa. Zatrzymał się pełen nadziei. Od godziny nie było o nim mowy. Tylko Iga i Iga. Może teraz...

— Bardzo cię proszę, uważaj na Iguś.

— Dobrze, proszę pani.

Miał wielką ochotę zachować się niegrzecznie. Wyprzedził Igu i wyszedł pierwszy. Na złość im wszystkim.

Dogoniła go na ganku.

— Nie leć tak. Zwolnił kroku.

— Nie można się za młodu przemęczać. Zachichotał, ale zaraz zamilkł. Jeszcze sobie pomyśli, że strasznie dowcipna.

— Jak ci się podoba mój strój?

— Nogi sobie w tym poobcierasza.

— Zawsze jeżdżę w dzinsach.

— Konno jeździ się w długich butach — stwierdził i dodał ironicznie: — Iguś.

— Nie lubię, jak na mnie mówią Iguś. Powiedziała to bez gniewu, nawet zmarszczyła noseć, żeby było śmieszniej.

Szli szeroką aleją wysypaną żwirem, kierując się ku zabudowaniom folwarcznym. Maciek objął wzrokiem znajome kąty, bardzo chciał, żeby Pędzichówek spodobał się Idze. Na szczęście w obejściu było przedświątecznie i czysto, pobielone drzewa, chociaż bez liści, pięknie wyglądały w starym sadzie. Przed biurem rosły forsycje, niedługo obsypią się żółtym kwieciem.

— Gdzie chodzisz do szkoły? — spytała Iga.



— W Pędzichówku-mieście.

— A to jak się nazywa? Też Pędzichówek...

— Pędzichówek-wieś.

— A to twoje miasto to chyba straszna dziura.

— Ma trzy tysiące mieszkańców. Spojrzała na niego ubawiona.

— Ho, ho...

Ta smarkata naprawdę za bardzo drze nosa. Pędzichówek-miasto — dziura! Ładna dziura, jak jest aukcja, to przed geesem do późnej nocy stoją wozy z zagraniczną numeracją. W zeszłym roku stał nawet beżowy mercedes na osiem osób.

Weszli do stajni, W boksach krzątałi się Ewka Rzepińska i Janek Maj, czyli Dżony z Kołowody.

— Cześć.

— Cześć.

— A gdzie reszta? — spytał Maciek, zabierając się do siodłania Bumeranga.

— Już na manżu — powiedziała Ewka. Szczotkując potężny zad swego Per koza, lustrowała Ige.

— Nowa gwiazda? — spytał Dżony.

— To legendarna amazonka — powiedział Maciek, naśladowując głos rotmistrza.

Wszedł do boksu Kluski, żeby ją trochę oczyścić.

— Iguś ma na imię — dodał.

— Nie wygłupiaj się — skarciła go nieopatrznie Iga.

Tamci od razu podchwycili:

— Sie masz, Iguś.

— Kluskę rychtujesz dla Igusi?

— Iguś lubi silne wrażenia.

— Założ Klusce munsztuk, bo poniesie Igusię.

— Skąd jest narybek? — spytał wreszcie Dżony.

— Nie pamiętasz panienki? — powiedziała Ewka, astro pracując zgrzeblem i szczotką. — Była już w Pędzichówku. Byłaś tu, nie?

Iga nie odpowiedziała.

— Wtedy nie paliła się do koni.

— A, to ta! — ucieszył się Dżony. Skończył już czyszczenie i dłonią przeciągnął po grzbiecie swego Responda, od szyi aż po zad. — Pamiętam, nawet bardzo się nie paliła.

Zaczęli na serio dobierać się do Igi. Maciek uznał, że wystarczy.

— Ty, Ewka — powiedział — nie wiesz, co z kłusownikiem?

— Złapią go, bądź spokojny.

— I to niedługo — dorzucił Dżony.

— Jest coś nowego? — dopytywał Maciek, udając, że bez reszty pochłania go czyszczenie brudnego podbrzusza Kluski.

— Jest ranny — powiedziała Ewka. — Czesiek mówi, że on, prędzej czy później, będzie musiał iść do lekarza.

— Może go ktoś inny opatrzeć — wyrwało się Maćkowi.

— Całą okolicę mają na oku — powiedział Dżony. Wziął siodło ze stojaka i zarzucił na grzbiet Responda. — Prrrr... Stój...

— Czesiek musi być zły, co?

— Jak by nie było, do tej pory nie trafili na ślad.

— Pułkownik Wołodyjowski by trafił.

— Albo pan Ruszczyć.

— „Pan Ruszczyć, półdziki rycerz stepowy, niezrównany zagończyk, jednemu Wołodyjowskiemu w sławie ustępujący” — wyrecytował Maciek.

Ewka nie dała się zdystansować.

— „...i ze stepem się zna, i trawami umie chodzić, i jak kania na pardwy na nieprzyjaciół spadać”...

— „Na ordyńców spadać” — poprawił Maciek szczęśliwy, że przyłapał Ewkę na błędzie.

Spojrzała na niego zła, ale błąd uznała.

— „Na ordyńców spadać... Zagończyk to nie lada...”

— „Ledwie kilku jest takich w stepach zagończyków, jako to między kozakami pan Piwo, a w kompocie pan Ruszczyć”...

— Czy wyście zwariowali? — zawołała Iga. — Po jakiemu to?

Zrobiło się cicho.

— Wytlumacz jej, po jakimu to — powiedziała już z siodła Ewka i wyjechała ze stajni.

— Radzę wacpannie uzupełnić lekturę — dodał Dżony, zwracając się do Igi, i kurcgalopem pojechał za Ewką.

Respond sadził bokiem, dwa razy uderzył zadem, najwidoczniej chcąc się pozbyć jeźdźca. Gdy mu się to nie udało, uspokoił się i pogodzony z losem, przynajmniej w tym dniu, galopem ruszył w stronę maneżu, Dżony ściągnął wodze. Respond przeszedł w stępa i szedł za Perkozem, podrzucając łbem, jakby mówił: „co się odwlecze, to nie uciecze”.

Iga patrzyła oniemiała na te harce.

— Ty naprawdę nie czytałaś „Trylogii”? — spytał Maciek.

— Tego się już dzisiaj nie czyta. — Ty, to jest fantastyczne!

— Wy tu pewnie jeszcze bawicie się w Indian? — Przynieś ogłowie — powiedział zły — tam wisi.

Przy drzwiach na ścianie wisiały jakieś rzemienie. Poznała, to było to, co się zakłada koniowi na głowę. Odnalazła kartkę z napisem: „Kluska”.

— Założ.

— Nie potrafię.

— Jeździłaś na koniu czy nie jeździłaś?

— Jeździłam, ale tego sama nie zakładałam.

— Jeśli chcesz u mnie jeździć, to musisz sama zakładać.

Bezradnie spoglądała na koński łeb. Wziął ogłowie i pokazał jej, jak się to robi.

— Prawą ręką trzymasz nauszники i wciągasz na łeb, lewą wsadzasz wędzidło między zęby.

Zdjął i podał Idze. Zrobiła dwa kroki. Kluska zastrzygła uszami. Iga cofnęła się.

— Go ona robi?

— Zastanawia się, gdzie cię ugryźć.

— Nie wygłupiaj się.

Nie spuszczała wzroku z Kluski.

— Podejź bliżej.

Kluska obwąchała ogłowie, a potem rękę Igi. Wyglądało to całkiem przyjaźnie.

— Ceś, ceś, ceś — wyjąkała Iga.

— Poklep ją po szyi.

Iga niepewnie wyciągnęła rękę i, wciąż stojąc w przyzwoitej odległości od klaczki, poklepała ją po szyi. Maciek przyglądał się temu z niesmakiem.

— Czy ty kiedyś widziałaś konia z bliska? Próbowała założyć ogłowie.

Szło jej niesporo. Musiał pomóc.

Kluska zaczęła gryźć wędzidło.

— Ona chce wypluć.

— No to co, że chce.

— Nie można bez tego?

— Nie można. Teraz siodło. Tę złotą kulbaczkę. Przydźwigają, trzymając oburącz na podolku.

— Nosi się na lewej ręce.

Pokazał, jak się nosi i zakłada siodło.

— Teraz ty. Ale najpierw poklep ją i powiedz coś. Nim zrobisz coś przy koniu, musisz go ostrzec.

— Co mam powiedzieć?

— Cokolwiek: hooo albo nooo...

— Niewielki wybór — zauważyła i naśladując głos Maćka, zawołała do Kluski: — Hooo...

Odczekała, po czym stwierdziła z zabawnym grymasem:

— Nie odpowiada.

— Siodłaj, siodłaj — powiedział.

Drażniły go te odzywki. Stajnia to stajnia, nie miejsce na figle-migle. Zarzuciła siodło.

— Popręgi.

Przerazona spojrzała na popręgi dyndające pod brzuchem Kluski.

— Och!

— Co się stało?

— Machnęła ogonem!

— Jak będziesz się tak zachowywać, to sobie pomyśli, że się jej boisz.

Mam zmartwienie, co sobie o mnie pomyśli koń.

Zapiął popręgi, udając zagniewanie. W gruncie rzeczy było mu przyjemnie, że on z taką łatwością robi coś, o czym ona nie ma zielonego pojęcia.

— Obciągnij strzemiona. Obciągnęła lewe strzemię.

— Iz drugiej strony.

Kucka zrobiła dwa kroki do przodu i zaczęła obgryzać drąg boksu, Iga musiała obejść ją z tyłu.

— Jak obchodzisz konia od ogona, to odwracaj się plecami.

— Dlaczego?

— Bo jeśli cię kopnie, to tylko w tyłek. Iga obciągnęła prawe strzemię.

— Mówiłeś, że ona nie kopie.

— W zasadzie nie kopie. Wsiadaj.

Odwracając się do konia plecami, wróciła na lewą stronę. Chociaż tego ją w tej Warszawie nauczyli, że się z lewej strony wsiada.

— Ale się człowiek nachodzi — powiedziała. Nadrabiała miną. Zbliżała się decydująca chwila. Wciągnęła się na siodło, odszukała drugie strzemię i wbiła wzrok w łeb Kluski. Pewnie myślała, że za chwilę zacznie się rodeo. Ale Kluska tylko na moment podniosła senne powieki i zaraz opuściła je z powrotem.

Maciek zmierzył Ige podejrzliwym wzrokiem.

— Wyglądasz, jakbyś pierwszy raz siedziała na koniu. Wyprostuj się.

Dosiadł Bumeranga i wyjechał z boksu.

— No, jedź.

— Wio!

— Żadne wio. Naciśnij łydkami. To dla konia sygnał, że trzeba iść naprzód.

Nacisnęła, bez żadnego efektu. Kluska nie raczyła przerwać drzemki.

— Wio!

— Żadne wio. Łydkami!

Iga poczerwieniała z wysiłku.

— Mocniej.

— Ona ma śpiączkę.

— W życiu nie siedziałaś na koniu! Jedź!

— Nie krzycz na mnie. Miała łzy w oczach.

— No!

— Ja naprawdę ściskam.

Maciek podjechał i wymierzył Klusce potężnego klapsa. Rozbudzona klaczka odpowiedziała kopnięciem. Uderzyła w ścianę boksu.

— Przestań! — zawołała przerażona Iga.

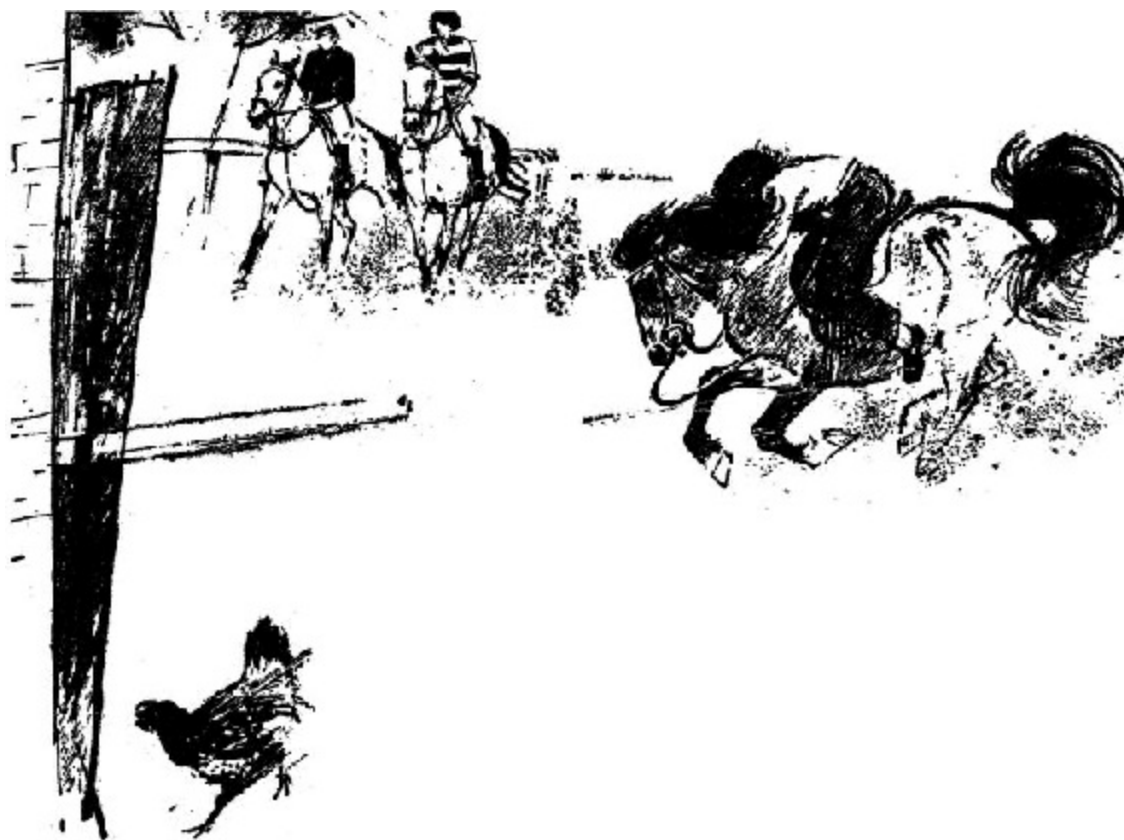
Maciek uderzył jeszcze raz, konik jeszcze raz rąbnął kopytem w boks.

— Schodzę!

— Siedź!

Sięgnął po bat wiszący na ścianie.

— Już ja ją ruszę!



Widok bata wstrząsnął sumieniem Kluski. Dostojnym krokiem wyniosła Igę ze stajni.

— Nie pochylaj się — musztrował Maciek jadąc obok. — Przyłóż łydkę do konia. Obie! Pięty w dół! Nie pochylaj się, mówię. Gdzie się patrzysz na konia. Patrz przed siebie. Nie garb się...

Zatrzymał Bumeranga. Iga jeździła wokoło.

— A teraz uważaj. Wyrzuć strzemiona. Puść wodze... No, śmiało.

Iga spojrzała przerażona.

— No, śmiało! Puść wodze! Taak. Poklep konia po szyi. Niżej, niżej, jeszcze niżej.

— Chcesz, żebym spadła? — spytała drżącymi ustami.

Nie mogła zrozumieć tej nagłej zmiany w jego zachowaniu.

— Ziemia niedaleko. Teraz z lewej strony. Dobrze. Odwróć się i poklep po zadku. Śmiało.

Iga gotowa była się odwrócić i klepać Kluskę po tłustym zadzie, ale klaczka najwidoczniej miała już dosyć, puściła się cwałem do stajni.

Zdażył tylko krzyknąć: — Pochyl się! — i Iga zniknęła w ciemnym wnętrzu.

Gdy wjechał, siedziała na ziemi, a Kluska stała przy żłobie, gotowa kopytem bronić wstępu do boksu.

— To przez ciebie! — zawołała Iga ze łzami. — Traktujesz mnie jak cyrkówkę.

— Nic ci się nie stało?

— A co cię to obchodzi.

— Ale ty jesteś...

— Proszę się do mnie nie odzywać. Podniosła się i godnie ruszyła ku wyjściu.

— Między nami wszystko skończone — rzuciła przez ramię.

**PAN WOŁODYJOWSKI NA ŁAWIE**

# OSKARŻONYCH

— Maciek!

Maciek wypadł ze stajni.

Przez podwórze spiesznym krokiem szedł rotmistrz. Miał na sobie skórzany, wyświecony kubrak. Wypłowiałą furażerkę nasunął na prawe ucho. U butów brzęczały ostrogi.

— Sprowadź wojsko. Za pięć minut zbiórka przed stajnią.

— Wedle rozkazu.

— Zaprzęgniesz dla ojca Roksanę do linijki.

— Wedle rozkazu.

Gdy rotmistrz przemawiał takim tonem, Maciek wiedział, że nie czas na dyskusje. Skoczył na Bumeranga. Zadudniły kopyta na bruku.

Rotmistrz spostrzegł Igę.

— Jak się jeździło? — spytał wchodząc do stajni.

— Dobrze.

Weszła za nim. Rotmistrz siodłał Trepaka. Od czasu do czasu rzucał jakieś zdanie, ale widać było, że głowę ma zaprzątniętą czym innym.

— Kluska łagodna jak baranek, co?

— O, tak.

— Lekko niesie.

— O, bardzo.

— Zwłaszcza w galopie...

Zdjął z gwoźdźca szpicrutę, rzucił okiem w lustro, poprawił furażerkę i wyprowadził Trepaka ze stajni.

Zza wozowni wyjechał Maciek, zdarł Bumeranga przed rotmistrzem.

— Jada, panie rotmistrzu.

— Za ostro osadzasz konia. To nie manewry ze strzelaniem. Zaprzęgaj Roksanę.

Maćka zmiotło z siodła. Kopnął się biegiem do wozowni. Chwycił dyszle i mocno pochylony jął ciągnąć linijkę spod niskiego okapu.



Przed stajnię zajechała cwałem cała gromadka.

— Panie rotmistrzu, stało się co? — wołał z daleka Dżony.

Rotmistrz powiódł po nich wzrokiem. Bez słowa ustawili się w szereg. Znali mores. Czekał, aż wyrównali.

— Jedziemy na Rojno — rzekł. — Dziś rano kłusownik zastrzelił tam byka. Pan nadleśniczy prowadzi dochodzenie w tej sprawie. Przed chwilą miałem wiadomość od niego. Prosi, żeby na miejsce wypadku stawiała się cała szkółka...

— Czego od nas chcą?

— Nie gadać w szeregu.

Dosiadł Trepaka. Wzrok jego padł na Igę.

— A może i ty chcesz z nami jechać? Iga spojrzała na linijkę.

— Bardzo chętnie.

— To siodłaj Kluskę. Tylko raz-dwa.

Obrzuciła wzrokiem swoich niedawnych prześladowców. Żadne nie odezwało się słowem, tylko uśmiechali się złośliwie.

— Pośpiesz się — przynagłał rotmistrz.

— Panie rotmistrzu, Kluska trochę kuleje — zameldował pospiesznie Maciek.

— To amazonka pojedzie linijką.

Przed dworkiem czekał pan Kasicki i państwo Nowakowie, Siedli na linijkę. Maciek wskoczył na Bumeranga.

— Maarsz! — zawołał rotmistrz.

Oddział składający się z trzech trójek ruszył stępą za linijką. Uważali, aby konie szły łeb w łeb. Uwielbiali te komendy kawaleryjskie i te marsze pod wodzą rotmistrza. Wszystko było jak w wojsku. Ewa trąciła Maćka.

— O co chodzi?

— Nie mam pojęcia — mruknął zasepiony. Z Pędzichówka-wsi na Rojno jest nie dalej niż pięć kilometrów. Za upustem pan Kasicki skręcił z szosy na beton. Niemcy wycięli tu w czasie okupacji przecinkę i położyli dwumetrowej szerokości pas jasnego betonu.

Z daleka ujrzeli nadleśniczego. Stał w towarzystwie Kalepy i

Kubasiewicz i patrzył w ich stronę. Był to mężczyzna wysoki i szeroki w ramionach. Na widok państwa Nowaków przyłożył dwa palce do daszka.

— Na święta?

— Państwo Kasiccy byli tak mili i zaprosili nas.

— Będziecie mieć państwo ładną pogodę — zapewnił i zwrócił się do pana Kasiekiego. — Może podjedziecie dalej.

Pan Kasicki ruszył bez słowa. Na skraju betonu — na czerwonej plamie zakrzepłej krwi — leżała gałąź.

— W tym miejscu kłusownik zastrzelił byka — zaczął nadleśniczy, gdy nadjechał oddział. — Sprawa wygląda dość tajemniczo. Przeszukaliśmy teren, nie znaleźliśmy nic, co by mogło pomóc w śledztwie. Jedynie wzdłuż betonu są ślady kopyt.

— Czasami trenujemy tu cross — wtrącił szybko rotmistrz.

Nadleśniczy podszedł na skraj betonu.

— Ktoś przejeżdżał tędy konno. Tu się zatrzymał — mówił pokazując palcem — zszedł z konia, kręcił się, wchodził na beton i wreszcie zaczął w lesie.

Pan Kasicki słuchał tego wszystkiego z ponurą miną.

— Zaprosiłem was, aby mieć pewność, że to nie był nikt ze szkółki — zakończył nadleśniczy.

Kark pana Kasiekiego lekko poczerwieniał.

— Więc są podejrzani?

— Prowadzę śledztwo, muszę brać pod uwagę wszystkie możliwości, nawet te najbardziej nieprawdopodobne... Na przykład, że konia z Pędzichówka wziął ktoś spoza szkółki, bez twojej wiedzy.

— Nikt nie bierze konia z Pędzichówka bez mojej wiedzy.

— A jednak to był koń z Pędzichówka.

— Co?

— Kalepa, pokażcie ślady panu Kasickiemu.

Pan Kasicki zeskoczył z linijki, jakby mu dwadzieścia lat ubyło.

— To był koń kuty w Pędzichówku — mówił stary gajowy, prowadząc pana Kasiekiego. — Tak, proszę pana, kuje Kazimierski. I tylko konie pod

wierzch... Pan zobaczy...

Kalepa wskazał palcem kretowisko tuż obok betonu. Nawet z daleka widać było wyraźnie ślad końskiego kopyta. Pan Kasicki ukląkł, założył okulary i nisko pochylił się nad kretowiskiem. Zrobiło się cicho, słychać było tylko Trepaka, który gwałtownie rzucał łbem podzwaniając pogłowiem.

Pan Kasicki poszukał wzrokiem rotmistrza. Ten, nie zwlekając, zeskokczył z konia. We dwóch pochylili się nad śladem.

— Ja myślę, że nie będziemy mieć trudności z ustaleniem konia — powiedział nadleśniczy. — Ta podkova jest bardzo znaczna. Takich śladów jest tu sporo, ale ten jest najwyraźniejszy.

Pan Kasicki i rotmistrz obejrżeli i inne ślady. Gdy skończyli, pan nadleśniczy popatrzył na ich zatroskane twarze i podszedł do jeźdźców. Wciąż stali w szeregu.

— Czy któreś z was jeździło tu dzisiaj?

— Dzisiaj? — upewnił się Maciek.

— Dzisiaj.

— Ja nie jeździłem.

— Ja też nie.

— Ja też nie.

Nadleśniczy uśmiechnął się.

— Wasze zapewnienia mi wystarczą — powiedział. — Ale ktoś mógł przejechać na którymś z waszych koni. Musimy to sprawdzić. Przejedziecie tędy i porównamy ślady. Uważajcie, żeby każde jechało innym torem.

Zasłonił sobą ślady tamtego konia.

— No, proszę.

Pierwsza przejechała Ewka Rzepińska na Perkozie. Zatoczyła niewielkie półkole na piasku i na powrót wjechała na beton. Nadleśniczy pochylił się nad śladem Perkoza.

— W porządku. Następny.

Następną półwoltę wykonał Boguś Chodakowski na Xeresie. Siad pozostawiony przez Xeresa również nie budził podejrzeń.

— Następny — dyrygował nadleśniczy.

Trzecim z kolei był Maciek. Dał lekką ostrogę, aby pobudzić Bumeranga do zwawszego chodu. Po Maćku jechał Zbynio Mucha na Kameleonie, dalej Dżony z Kołowody na Respondzie, Bolek Cieciewicz na Bellonie i ostatnia trójka: Tadzio Kiczyłło (daleki kuzyn Maćka) na Prośnie, Andrzej Ławicki na białym jak mleko arabie Belfaście i wreszcie jako ostatni Marek Targowski, młodszy brat Dżokeja, na zgrabnym kasztanki! Procie.

Ustawiali się na powrót na betonie, rozbawieni, rozchichotani. Rotmistrz uciszał ich niezbyt szczerze. Nawet pan Kasicki rozchmurzył się.

Gdy ostatni jeździec przekłusował przed nosem pana nadleśniczego, rotmistrz zapytał:

— W porządku?

Nadleśniczy rzucił okiem na ślad.

— Dziękuję i przepraszam.

Pan Kasicki, mrużąc coś pod nosem, ruszył ku linijce. Rotmistrz dosiadł Trepaka.

— Oddziaaaa! — skomenderował.

— Chwileczkę! — zawołał nadleśniczy. Rotmistrz ściągnął wodze. Trepak zatańczył na betonie.

— Jeszcze Trepak — powiedział nadleśniczy. — Nie gniewaj się, to tylko dla porządku. Trepak, a potem Roksana.

Szeroki uśmiech rozjaśnił twarz rotmistrza.

— Słusznie, jak wszyscy to wszyscy. Prowadzony pewną ręką Trepak szedł jak na paradzie.

Rotmistrz wykonał pół wolty i wrócił na czoło oddziału. Nie ruszał jednak z miejsca, wciąż uśmiechnięty — czekał na wynik obdukcji. Nadleśniczy i Kalepa chodzili od kretowiska do śladu Trepaka i z powrotem, naradzali się szeptem, coś pokazywali palcami.

W oddziale znów zaczęły się śmiechy.

— Spokój! — zawołał rotmistrz.

Nadleśniczy wolnym krokiem podszedł do niego. Dzieci uciszyły się.

— Bardzo mi przykro — powiedział nadleśniczy — ale to jest ślad Trepaka.

Rotmistrz w jednej chwili znalazł się na ziemi. Pan Kasicki zeskoczył śpiesznie z linijki. Obaj pochylili się nad śladem Trepaka. Nie musieli go nawet porównywać z tym na kretowisku.

Rotmistrz podszedł do Maćka.

— Daleś go wczoraj do kucia?

— Tak, zgubił przednią lewą — powiedział Maciek, nie spuszczać z rotmistrza jasnego wzroku.

Zbliżył się pan Kasicki.

— Ty tu jeździłeś na Trepaku?

— Ja.

Pan Kasicki chciał pytać dalej, ale tylko zaciął usta. Spojrzał na nadleśniczego. On prowadził śledztwo. Nadleśniczy poklepał Bumeranga po szyi.

— Myślałem, że na nim jeździsz? — spytał, zwracając się do Maćka.

— Na nim skaczę. Trepaka pomagam panu rotmistrzowi przygotowywać do WKKW.

— I tu go trenujesz?

— Jak popadnie.

— Ozy możesz mi powiedzieć, co się takiego wydarzyło, że musiałeś schodzić z konia?

— Ja?

— Tak, ty. Tam dalej są ślady, z których wynika, że jeździec schodził z konia.

Maciek obiegł wzrokiem twarze mężczyzn.

— Czy muszę odpowiadać na te pytania?

— Musisz — rzekł pan Kasicki.

— Ale to bardzo osobista sprawa...

— Maciek!

Nadleśniczy dał znak panu Kasickiemu, żeby się nie denerwował.

— Dlaczego schodziłeś z Trepaka? — spytał.

— Bo panu Zagłobie koń się potknął.

— Komu?

— Panu Zagłobie. Jan Onufry Zagłoba herbu Wczele. Nie zna pan? — spytał Maciek z niewinną miną.

Dzieci wybuchnęły śmiechem. Spłoszone konie załamały szereg.

Nadleśniczy spojrział na rotmistrza, szukając u niego ratunku.

— To było wtedy, gdy uciekaliście z Heleną przed czambułem? — spytał rotmistrz.

— Tak jest, panie rotmistrzu.

— To ich ulubiona zabawa.

— Czy potknięcie konia, pana Zagłoby było jedynym - powodem, dla którego zszedłeś z Trepaka? — spytał nadleśniczy, uśmiechając się z pewnym przymusem.

— No, właściwie to tak... Bo wie pan, jak zobaczyłem czambuł, to kazałem Rzędzianowi jechać z kniaziówną naprzód. Zostaliśmy z panem Zagłobą, żeby powstrzymać Tatarów. Pan Zagłoba przestraszył się. Ale wie pan, jak wypił bukłak wina, to się przeżegnał i powiedział, że jest gotowy na śmierć. Żrebiliśmy zasadzkę na trzech Tatarów, a potem uciekliśmy. I wtedy panu Zagłobie potknął się koń...

— „Panie Michale, najdroższy panie Michale. Nie opuszczaj ze mnie” — zabasował bardzo udatnie Dżony z Kołowody.

Znów rozległy się śmiechy.

— Gdy mu się trzeci raz potknął — mówił dalej Maciek — to ja zawołałem: „z kulbaki i w las!”

— A co robiliście w lesie?

— Pan Zagłoba wpadł do wykrotu, a ja wskoczyłem za nim. No wie pan, pan Wołodyjowski nie opuszcza przyjaciół w potrzebie...

— Nie błądź — powiedział pan Kasicki.

— Proponuję, żebyśmy się przeszli po lesie i tam nam opowiesz, co robiłeś w wykrocie — rzekł nadleśniczy.

— Co robił pan Wołodyjowski — sprostował Maciek, zeskakując na ziemię.

— Dobrze, opowiesz, co robił pan Wołodyjowski.

Weszli w las, niezbyt w tym miejscu gęsty. Nadleśniczy zatrzymał się nad

piaszczystym rowem, biegnącym między rachitycznymi sosenkami, równolegle do przecinki. Były to resztki okopu. Z miejsca gdzie stali, w prześwitach między drzewami, widać było przecinkę i jasną smugę betonu, po którym kręcili się jeźdźcy. Do uszu dochodził stukot kopyt.

Nadleśniczy wskazał na resztki okopu.

—“Proszę popatrzeć — powiedział — tu ktoś leżał. Tu opierał się łokciami, w dole są ślady nóg. To wygląda na prawidłową pozycję strzelecką, prawda, panie rotmistrzu?

— Tak jest.

Kiedy wracali w stronę betonu, nadleśniczy zwrócił się do Maćka.

— Kto to mógł być? Czy nie pan Wołodyjowski?

— Nawet na pewno on.

— I cóż on tu robił?

— Obserwował, co dzieje się na gościńcu. — I cóż zobaczył?

— Oczywiście czambuł.

— A nie byka?

— Nie, czambuł. Zostawili konie na gościńcu i zaczęli przeszukiwać las.

— A czy Wołodyjowski i Zagłoba byli uzbrojeni?

— Jasne. Mieli szable i pistolety. Pistolety wystrzelone, bo przedtem strzelali na gościńcu.

— Do Tatarów? — w głosie nadleśniczego zabrzmiała nutka ironii:

— Pewnie, że nie do byka.

— A ty widziałeś tu byka?

— Nie.

— A kłusownika też nie widziałeś?

— Nie.

— A co pan Zagłoba robił w wykrocie?

— Miał straszego boja. No, wie pan, pan Zagłoba jest fajny gość, ale cykoriant.

— A kto był panem Zagłobą?

— Nikt.

— To bardzo ładnie, że nie chcesz wydać kolegi, ale ja muszę wiedzieć,

kto był z tobą.

— Nikogo nie było.

— Powiedziałeś, że było was dwóch.

— On sobie tylko wyobrażał pana Zagłobę — wtrącił się rotmistrz. —  
Może nawet z nim rozmawiał, co Maćku?

— Trochę rozmawialiśmy.

— Maciek był tu sam.

Nadleśniczy gwałtownie zwrócił się do rotmistrza.

— Jesteś tego pewien?

— Nie widzę powodu, żeby chłopcu nie wierzyć. Nadleśniczy położył  
rękę na ramieniu Maćka.

— Ja też ci wierzę — powiedział — ale chciałbym, żebyś mi pomógł. No,  
bo jest naprawdę dziwny zbieg okoliczności: twoje ślady o kilkanaście  
metrów od zabitego jelenia. Przyznasz chyba, że to daje do myślenia.

— Przyznaję.

— Czy naprawdę nic nie widziałeś 4 nie słyszałeś?

— Bawiłem się w pana Wołodyjowskiego.

— Zostawmy już w spokoju pana Wołodyjowskiego — powiedział twardo  
nadleśniczy. — Bardzo cię proszę, odpowiedz, jak spędziłeś cały dzisiejszy  
poranek. Którędy tutaj jechałeś, kogo spotkałeś po drodze... Interesują mnie  
wszystkie szczegóły. O której dzisiaj wstałeś?

Maciek spuścił oczy, powiedział cichym, załamującym się głosem:

— To ja już powiem prawdę...

— Śmiało — zachęcał nadleśniczy, pewny, że chwila zwycięstwa bliska.

— Nie będzie się pan na mnie gniewał? Głos nadleśniczego zabrzmiał  
uroczyście:

— Przysięgam ci.

Maciek westchnął żałośnie. Trzeba kończyć szopkę. A szkoda... Pół  
godziny wodził za *nos* nadleśniczego. Nabrał powietrza w płuca.

— Ja tu dzisiaj nie byłem. Podniósł się gwar.

— Dlaczego od razu tego nie powiedziałeś? — spytał groźnie pan  
Kasicki.



Nadleśniczy zdołał się opanować. Nawet się uśmiechnął.

Jeszcze raz położył rękę na ramieniu chłopca. Maciek zauważył, że ręka była dużo cięższa niż za pierwszym razem.

— Ja wprawdzie nie czytam książek o Indianach — zaczął nadleśniczy — ale na śladach trochę się znam.

Powiódł wzrokiem po twarzach obecnych.

— To są dzisiejsze ślady.

— Nie, proszę pana, to są wczorajsze ślady.

— Czy mógłbyś to udowodnić?

— Na te ślady padał deszcz. Jak byłem tu wczoraj, to właśnie zaczął padać.

Wszyscy zaczęli mówić naraz, oglądać ślady, dzielić się uwagami. Piasek rzeczywiście wyglądał jak po deszczu.

— Na te ślady nie padał deszcz — powiedział nadleśniczy, wciąż opierając na ramieniu Maćka swoją rękę, której ciężar urósł co najmniej do dziesięciu kilogramów. — Gdy dziś rano przygrzało słońce, z drzew spadła rosa. Tak wygląda piasek zmyty rosą.

— Proszę pana! — zawołała Ewka, która od dłuższego czasu studiowała teren. — Na ten piasek spadł zarówno deszcz, jak i rosa. Te drobniutkie dziurki, które są wszędzie, są po deszczu, a te większe, bliżej drzew i nie tak gęsto usiane, to po rosie.

— Udowodnię ci, że nie masz racji — stwierdził nadleśniczy i podszedł do pochyłej sosenki.

Wszyscy poszli za nim.

— Deszczyk, o którym wspomniał Maciek — powiedział nadleśniczy — był krótkotrwały i nie wszędzie padał. Podejrzewam, że tu w ogóle nie padał. Obok tej sosenki piasek został zmoczony tylko rosą. Tu macie wyraźne wgłębienia po kroplach rosy. A obok piasek jest zupełnie suchy. Gdyby padał deszcz, piasek byłby wszędzie mokry.

Ewka przyjrzała się sośnie.

— Tutaj dlatego nie ma śladów po deszczu, bo zasłaniał pień drzewa. Wczoraj deszcz zacinał z północy. Myłam akurat okno, to wiem.

— Ewka ma rację!

— Brawo, Ewka!

— Co to znaczy skrupulatnie przestudiować Karola Maya i Coopera! — zawołał rotmistrz.

— Co wy na to, Kalepa? — spytał nadleśniczy, zwracając się do starego gajowego.

Kalepa spoglądał niepewnie.

— Może być, że ten gość zrobił ślady dzisiaj... — powiedział, bo dobrze pamiętał, od kogo zależy przyznanie kwartalnej premii. Nie zapomniał jednak również, że co roku dostawał z Pędzichówka furkę nawozu. — Ale może być, że wczoraj.

Nadleśniczy obrzucił go niechętnym spojrzeniem i zwrócił się do milczącego dotychczas Bolka Kubasiewicza.

— A ty co powiesz?

— Żeby odczytać te ślady, trzeba być Winnetou — powiedział Bolek, wielbiciel Karola Maya.

— I ty zapisałeś się do Indian?! — zawołał z oburzeniem nadleśniczy.

Na tym zakończyło się śledztwo przeciwko panu Wołodyjowskiemu.

# O TYM, JAK BOLEK KUBASIEWICZ STRZELAŁ DO KŁUSOWNIKA

Rozjechali się bez gniewu. Nadleśniczy siadł na rower i pojechał do miasta, gdzie miał coś do załatwienia, a kawalkada, złożona z młodych jeźdźców i linijki, w triumfie ruszyła z powrotem. Młodzi rwali się do galopu, ale rotmistrz trzymał podkomendnych twardą ręką, jechali więc za linijką truchcikiem.

Dopiero gdy zostawili las za sobą, surowy dowódca sprowadził oddział z szosy, rozwinął w tyralierę i skomenderował:

— Na wprost kłusem, maaarsz!

Ruszyli kłusem, po kilkudziesięciu metrach przeszli w galop i wkrótce oddział zniknął w wieczornej mgle, nisko snującej się po polach.

Na szosę doszły stłumione przez odległość dzikie okrzyki.

Pan Kasicki uśmiechnął się.

— Kmicicowi Tatarzy starli się z Bogusławową rajtarią.

— To laudańscy Szwedów na szable biorą — sprostował Maciek.

Został przy linijce, żeby usłyszeć, co będzie mówił Bolek Kubasiewicz. Młody gajowy mieszkał pod Pędzichówkiem-wsią, jego ojciec pełnił ważną funkcję masztalerza w zarodowej stajni.

Bolek pedałowal teraz po drugiej stronie linijki i — choć zmordowany setnie, bo, jak mówił, od rana był na nogach, a od śniadania nic w gębie nie miał — gawędził z panem Kasickim o wydarzeniach dnia.

— A Czesiek Rzepiński gdzie się podziewa? — dopytywał pan Kasicki.

Bolek uśmiechnął się.

— Kłusownika szuka.

— Tak się zawziął?

— Do roboty dzisiaj nie poszedł.

- Słyszałem, jak orał na Dołowatce.
- To Marchwicki orał.
- Czesiek może znaleźć. Jak się zawziął, to znajdzie.
- Zeszłym razem też się zawziął i nie znalazł.
- Strasznie mi żal tego byka.
- A mnie?!
- Bolek, tak z ręką na sercu: naprawdę widziałeś go zabitego?
- No, jakżeż.
- Opowiedz wszystko od początku.

Bolek westchnął, jako że dzisiaj już parę razy opowiadał wszystko od początku, ale nie dał się prosić.

— Szedłem do roboty, ciemnawo jeszcze było. Dochodzę do nadleśnictwa, patrzę, a przez drogę przeskakuje chmara, osiem sztuk, jedna za drugą. I prosto na Rojno idzie. Ostatni szedł Bartek i coraz to się oglądał. „Oho — myślę sobie — wilk jelenim tropem idzie”. Złapałem flintę i za drzewo. Czekam, czekam — żywego ducha. Spłoszył się czy jak? Zarzuciłem flintę na ramię i idę dalej. Nie uszedłem trzech kroków, a tu słyszę podzwanianie roweru. Ktoś jechał za chmarą. Ani chybi kłusownik. Czekajże ty, prosto w sak idziesz! Otoczymy Rojno i mamy go. Lecę do nadleśnictwa...

— Trzeba było lecieć za nim — powiedział pan Kasicki.

— Na nogach? Przylatuję do nadleśnictwa i wołam, że kłusownik popędził chmarę na Rojno. Kalepa za telefon i dzwoni do Jurkiewiczów: „Zwołać co się da ludzi i od miasta las obstawić”.

— To nadleśniczego nie było? — spytał pan Kasicki.

— Nie, sągi pod Marzyszem objeżdżał. Spać nie może, to siada na rower i jedzie. No i tego... Kalepa mówi do mnie: „Bierz rower i wracaj na szosę. Od Ludyni będziesz pilnował. A ja — powiada — poruszę Pędzichówek-wieś i Krzysko”.

— U nas telefon był zepsuty — wtrącił pan Kasicki.

— Wiem, bo przy mnie dzwonił. W Krzysku też nikt nie podnosił. Wziąłem dodatkowo dziesięć naboí i na rower. W moim powietrze puściło, nadleśniczego roweru nie było, to złapałem Kalepy...

— O której nadleśniczy wrócił?

— Już obława stała. Jakiś kwadrans po strzale kłusownika.

— Kwadrans po strzale?

— Niech pan czeka, zaraz do tego dojdę. Więc wróciłem na szosę i stanąłem pod krzyżem. Miejsce dobre, na winklasi lasu. Jak się rozwidni, będzie widać prawie po Dołowatkę, a z drugiej strony po Krzysko. Tędy się nie wymknie. Żeby tylko i z innych stron zaszli. No nic, Kalepy w tym głowa. Czekam, czekam, naboje w lufie...

— Odbezpieczyłeś? — nie wytrzymał Maciek. Wiedział, że za parę minut Bolek będzie strzelał do Leszka.

— Na razie nie. Mam czas. Nadjechał Jasiek Cieciewicz i Król...

— Kostek Król, gajowy? — spytał pan Nowak, chcąc się pochwalić leśnymi koneksjami.

— Ten sam. Jasiek stanął na połowie drogi między mną a Krzyskiem, Króla posłałem, żeby od Dołowatki pilnował.

— Mieliście łączność wzrokową?

— Mieliśmy. Już się trochę rozwidniało. Pod lasem było jeszcze mroczno, trzeba się było dobrze wpatrywać, ale na polu już było jaśniej. Stałem jak na czujce. Głowę raz w prawo, raz w lewo. Jak kapral przykazał. Stoję, stoję, czas się dłuży. Nagle — strzał! Na Rojnie! Jezus Maria, kłusownik ubił jelenia. Słowo daję, tak pomyślałem.

— Gdybyś przedtem za nim poleciał, nie doszedłby do strzału! — zawołał Maciek.

Ogromnie był podniecony: jakby Bolek w porę przeszkodził, Leszek nie zabiłby byka.

— Skąd wiesz, że nie doszedłby? — nasrożył się Bolek.

— Uspokój się! — skarcił Maćka pan Kasicki.

— No i tego... „Co robić!” — myślę. Czekać czy lecieć? Polecę! Dałem znak Kostkowi, żeby podszedł bliżej szosy, a sam w las...

— Zszedłeś z posterunku — skomentował z wysokości siodła nieubłagany Maciek.

— A ja wiem, kto strzelał i do kogo? A może tam ranny człowiek leży? Ty

byś nie poleciał?

Nikt nic nie powiedział, każdy w duszy przyznał rację Bolkowi.

— Poleciałem kawałek szosą podjął Bolek — potem lasem, żeby mieć osłonę, za przepustem przystanąłem, rozglądam się, patrzę, na betonie coś leży. Podchodzę ostrożnie, rozchylam gałęzie i ażem się przeżegnał. Byk! Chyba Bartek. Taka mnie cholera wzięła, że na nic już nie zważałem, wyskoczyłem z krzaków, myślę: „może żyw”. A tu po drugiej stronie, jak nie zadudni. Ktoś ucieka, mało nóg nie pogubi. Ja za flintę. „Stój!” Zatrzymał się. Widzę, mierzy do mnie. To ja łup!

— Nie miałeś prawa strzelać! — zawołał Maciek. Nie mógł darować Bolkowi, że strzelał do Leszka.

— Jakbym dopadł takiego syna... Przepraszam panią.

— Nic nie szkodzi, nic nie szkodzi — uspokoiła Bolka pani Nowakowa.  
— Ja też bym strzeliła.

— Ależ, Halszko, przecież ty nie umiesz strzelać — zauważył rozsądnie pan Nowak.

— To nie ma znaczenia, Ziuku... Na pewno bym strzeliła.

— Poznałeś go? — gorączkował się Maciek.

— W ogóle go nie widziałem.

— A mówiłeś, że widziałeś, jak do ciebie mierzył — zauważył pan Kasicki.

— No, właściwie to nie widziałem, ale wie pan, wyczułem.

— Jeśli nie widziałeś, to jak mogłeś strzelać?

— Po leszczynie. Chodziła, jakby łoś rozgarniał. — A skąd wiesz, że trafiłeś?

— Słyszałem, jak się potknął.

— Oj, Bolek, Bolek, może i strzelałeś, ale Panu Bogu w okno.

— Kiedy on dostał, słowo honoru, ja to czułem!

— Postrzeliłeś go w rękę! — zawołał z wyrzutem Maciek. I zaraz ugryzł się w język.

— Nie mądrz się! — ofuknął syna pan Kasicki i zwrócił się do Bolka: — Jak on ci się wymknął?

— Sam nie wiem. Po strzale zaraz za nim poleciałem. Ile on był ode mnie? Chyba ze trzydzieści metrów. A ja, wie pan, na setkę jestem dobry. Przeleciałem leszczynę, dalej las rzadki, rozglądałem się — nikogo! Wróciłem, może się gdzie w krzakach przytulił. Latam tu, tam, kamień w wodę. Zmitreżyłem sporo czasu, musiałem wracać. Dopadłem szosy, patrzę, Józek Walendzik leci autobusem z miasta. Podrzucił mnie z powrotem pod krzyż.

— A kłusownik nie wy dostał się autobusem? — spytał pan Kasicki.

— Skąd! Józek tylko po mnie przystanął. W autobusie był stary Ławieki, mówił, że jedzie do Pędzichówka, to mu powiedziałem, żeby pana poprosił o furmankę.

— Zaraz wysłałem Skorupę. Mówił, że jak po byka pojechaliście, to już go nie było.

— Po kolei wszystko opowiem. Wskoczyłem z autobusu przy krzyżu. Powiedziałem Cieciewiczowi o Bartku. Myślałem, że go krew zaleje... Przepraszam panią.

— Mnie by też załała... — powiedziała pani Nowakowa, czym bardzo sobie Bolka ujęła.

— Wysłałem Cieciewicza na połowę drogi do Krzyska i czekamy. Utrzymujemy łączność wzrokową, od naszej strony las obstawiony dobrze, ale Dołowatka nie daje mi spokoju. Jeden Król to mało. Jak tylko Skorupa przyjechał, kazałem mu pilnować przy krzyżu, a sam poleciałem na Dołowatkę. Stałem za gruszą. Rozglądałem się, nikogo. Nad głową gołąb mi grucha. Patrzę, a to młody Kazimierski przytulił się na gałęzi, flintę oparł o sęk i zęby szczyrzy. Król stał dalej, pod miastem. Już miałem wracać, gdy nagle słyszę: od Krzyska ciągnik przez las prosto na nas wali. Co ten Rzepiński, zwariował, szarżę na traktorze urządza?

— Kłusownika spłoszył! — zawołał pan Nowak.

— Ciągnika kłusownik się nie przestraszył. Każdy w okolicy wie, że co dzień jeżdżą przez Rojno. No i tego... No i przyjeżdża Czesiek i powiada, że mu Kalepa kazał od tej strony pilnować, bo się do Pędzichówka nie mógł dodzwonić. Od Krzyska Czesiek postawił starego Marchwickiego, dał mu kłonicę w garść, sam wziął drugą i przyjechał.

— Czesiek z kłonicą? — zdziwił się pan Kasicki. — Przecież ma sztucer, daj Boże zdrowie...

— Dał do naprawy.

— A jak Kalepa zawiadomił Rzepińskiego? — spytał Maciek.

— Dodzwonił się w końcu. Rzepiński był w parku maszynowym, potem poszedł po coś do biura i usłyszał telefon...

— A strzał słyszał?

— Rzepiński? Słyszał. Jak potem zeszliśmy się na Rojnie, to się okazało, że wszyscy w obławie słyszeli. Jurkiewiczze też słyszeli. Na czym to ja stanąłem?

— Przyjechał Czesio na Dołowatkę... — poddał Maciek.

— Przyjechał Czesio i pyta, kto strzelał i od kogo. Mówię, że kłusownik do Bartka. „Skąd wiesz, że do Bartka?” „To nie widziałeś?” „Co miałem widzieć?” „Bartka, leży zabity”. Czesiowi mowę odjęło. A potem, jak nie skoczy z ciągnika, jak mnie nie chwyci za kłapy. „Bartka dałeś zabić?!” Zawsze był stuknięty, nie? O mało się nie pobiliśmy. Ale uspokoił się trochę i pyta, gdzie Bartek leży. Mówię, że na betonie. „Co ty bredzisz, na jakim betonie?! Przecież ja betonem z Krzyska jechałem. Tam nic nie leży!” To ja na niego, że przegapił, bo leży. „W którym miejscu?” „Pięćdziesiąt metrów od szosy”. A on znów mnie za kłapy. „Stary — powiada — żebym tak zdrów był, jak tam co leży; przed szosą przystanąłem, żeby się lepiej rozejrzeć. Tam nic nie leży. Zdawało ci się, że leży. Bartek żyje!” — woła i śmieje się jak wariat.

— Musiał po lesie patrzeć, to i nie zauważył — powiedział pan Kasicki.

— Niech pan czeka. Cholera mnie wzdęła, nie lubię, jak ze mnie kto idiotę robi. Mówię: „Zawracaj traktor, to pojedziemy na Rojno. Zobaczymy, leży czy nie leży”. Ale właśnie nadjechał Kalepa, przywiózł Czesiowi flintę Kuciary. „Zaraz obława rusza — powiada. — Nadleśniczy wrócił. Na strzał ruszamy”. Kalepa wsiadł na przyczepę do Czesia i pojechali kawałek w stronę miasta, a ja wróciłem pod krzyż. Patrzą. Skorupy nie ma. Ani furmanki, ani Skorupy. Gdzie ten stary się podział? Rozglądam się, a on od Rojna jedzie. Myślę sobie: „Pewnie Bartka wiezie. To dlatego Czesio Bartka nie widział! Teraz wszystko jasne”. Przyjechał Skorupa, a ja do niego: „Czegoś nie czekał,



jak ci mówiłem?” A Skorupa, jak to Skorupa: „Co ty mi masz do rozkazywania”. Podchodzę, zaglądam między deski, furmanka pusta. Co za diabli?! „Gdzieś Bartka podział?” „Gdzie miałem podziąć?” „Toś nie po Bartka jeździł?” „A po Bartka”. „To gdzie jest?” „A skąd mam wiedzieć”. „To byłeś na betonie czy nie byłeś?!” „Byłem”. „To dlaczegoś nie zabrał?” „Bo go nie było”. „Jak to: nie było?” „Zwyczajnie: nie było”. W oczach mi pociemniało. Czy ja pijany jestem? Ale kieliszka wódki od Nowego Roku w gębie nie miałem. Co to jest! Rzepiński nie widział, Skorupa nie widział, tylko ja widziałem. „Przywidziało mi się czy jak?” A Skorupa na to: „Co ci się miało przywidzieć. Byk leżał na betonie, to pewne”. „Skąd wiesz?” „Bo z pół kwarty posoki z niego wyszło”. Wolałbym, żeby Bartek żył, ale wtedy to chciałem mieć dowód, że mi się w głowie nie pomieszało. Pytam więc Skorupy: „Ocknął się i w las poszedł?” „Po śladach widać, że do betonu dobiegł i tam został”. „To co się mogło stać?” „Coś się stało”. „Ale co, przecież pod ziemię się nie zapadł?!” „A dlaczego nie?”. I gadaj z nim.

Bolek zamilkł. Od Lutyni na długich światłach nadjeżdżał samochód. Roksana stanęła i, wysoko podnosząc głowę, zaczęła skręcać do rowu. Kierowca zwolnił, dał światła mijania, a gdy i to nie uspokoiło konia, zatrzymał samochód i przełączył na postojowe. Klaczka strzygła uszami, ale po bacie ostro ruszyła naprzód.

Maciek i Bolek zostali nieco w tyle. Gdy znów się zrównali z linijką, trafili na ożywioną dyskusję.

— ... powinien był powiedzieć — mówiła pani Nowakowa.

— On jest, proszę pani, bardzo małomówny — mitygował pan Kasicki — jak się z niego nie wyciągnie, to sam nic nie powie.

— Ale powinien — upierała się pani Nowakowa.

— Pani ma za złe Skorupie, że nic nam nie powiedział o swojej wyprawie po byka — wyjaśnił Bolkowi pan Kasicki.

— On już taki jest — stwierdził Bolek.

— Ja, broń Boże, nie podejrzewam ani pana Skorupy, ani pana Rzepińskiego — odezwał się pan Nowak — ale skoro oni pierwsi jechali betonem, to wydaje mi się, że trzeba sobie postawić pytanie: czy to nie oni

wywieźli byka.

— Czesiek Rzepiński jest w ogóle poza podejrzeniem — powiedział pan Kasicki. — Ma wielkie zasługi dla łowiectwa, oddany zwierzynie.

— Kim on jest? — spytała pani Nowakowa.

— Traktorzystą i mechanikiem. No i łowczym naszego kółka myśliwskiego.

— A łowczy nie może być kłusownikiem?

— Ależ, Halszko, co ty opowiadasz! — skarcił ją zgorszony pan Nowak.

— Za Skorupę też ręczę — powiedział pan Kasicki.

— Na ciągnik i furmankę sam zaglądałem — odezwał się Bolek. — Nie dlatego, żebym ich podejrzewał, ale myślałem, że jeśli przejeżdżali obok Bartka, to powinni go byli zabrać. Siadu nie było, ani na furmance, ani na ciągniku.

— Ale prosimy o dalszy ciąg “wątpliwości — zachęcał pan Kasicki — państwo macie świeże spojrzenie na sprawę. Bo my tego kłusownika już od trzech lat wałkujemy.

— Czy naprawdę mogę się bawić w sędziego śledczego? — spytał pan Nowak.

— Bardzo prosimy.

— Czy jest możliwe ukrycie byka na Rojnie tak, aby nikt z obławy tego nie zauważył?

— Praktycznie niemożliwe. Rojno to niewielki lasek — powiedział pan Kasicki.

— A nawet gdyby ukrył Bartka, to gdzie sam by się podział? — spytał Bolek.

— Ukrył, a sam przyłączył się do obławy. — W głosie pana Nowaka zadźwięczała nutka triumfu.

— Jak w sensacyjnej powieści.

— Bardzo przepraszam, ja chciałem tylko... — sumitował się pan Nowak.

— Kiedy bardzo dobrze, niech pan puści wodze fantazji.

— Albo inaczej! — zawołał pan Nowak, zachęcony tymi słowami. — Przedarł się przez obławę, bo wśród jej uczestników miał współnika.

— Tego nie można wykluczyć — mruknął pan Kasicki — mogła znaleźć się czarna owca.

Bolek kręcił głową z powątpiewaniem.

— Musiałby mieć nie jednego, a paru współników. Obława szła bardzo gęsto i każdy z uczestników widział kilku sąsiadów. Poza tym obława uformowana była i w głąb, parę osób zostało na skraju lasu...

— Ależ, panowie, on musiał mieć współnika! — zawołał pan Nowak.

— Ziuku, nie krzycz tak.

— Moim zdaniem, działał zupełnie sam — powiedział Bolek.

— Nie róbmy z niego czarodzieja!

— Pan Skorupa mówił, że wdały się w to siły nieczyste — przypomniała pani Nowakowa.

— Ja już we wszystko gotów jestem uwierzyć — powiedział zmęczonym głosem Bolek.

— Ale opowiadaj, co było dalej.

— Niewiele już mam do opowiadania. Na strzał obława ruszyła. Skorupa jechał szosą, ja szedłem lasem. Szukałem dokładnie, drzewo po drzewie. Las tam rzadki, poszycia prawie nie ma. Nikt się nie mógł ukryć. Pierwsi byliśmy na miejscu, Faktycznie, została tylko kwaterka posoki, już skrzepłej. Po paru minutach zeszła się reszta. Prócz Marchwickiego. Stary przyszedł ostatni i powiedział, że widział, jak chmara przeprawiała się przez rzekę.

— Bez Bartka?

— Tego nie umiał powiedzieć, z daleka widział. Poleciliśmy z nadleśniczym nad rzekę, ślady były, ale ile sztuk się przeprawiało, tego nie odczytasz.

— Trzeba było zawołać Leszka Kiczylę — powiedział pan Kasicki.

Maćkowi serce przestało bić.

— Pan Leszek by odczytał — stwierdził z przekonaniem Bolek — ale wie pan, nadleśniczy nie za bardzo go kocha.

— Ja też bym odczytał — wtrącił Maciek.

— Jedź jutro rano, to znajdziesz tam ciekawą lekturę — powiedział Bolek. — Długo medytowaliśmy na tej przeprawie, ale nic mądrego nie

wymyśliliśmy. No bo nawet, jakby się Bartek ocknął i poszedł z chmarą, toby uronił trochę posoki. A tam ani kropelki.

— Przyznajesz więc, że mógł się ocknąć? — Sam już nie wiem.

Jakiś czas jechali w milczeniu, słychać było tylko stukot kopyt, turkot linijki i pobrzękiwanie Belkowego roweru. Zapadła noc, chłodna, wilgotna, już pachnąca roztajałą ziemią.

— Cały dzień łaziliśmy po Rojnie — podjął opowiadanie Bolek — przetrząsnęliśmy las, przeszukaliśmy poniemieckie magazyny podziemne, nic nie znaleźliśmy.

— A kiedy nadleśniczy odkrył ślady Maćka? — spytał pan Kasicki.

— Widział już rano, ale dopiero jak w lesie niczego innego nie znalazł, to powiedział, że te ślady to klucz do rozwiązania zagadki.

— Na bezrybiu i rak ryba. Podjechali do krzyżówki.

— No, to ja już państwa pożegnam — powiedział Bolek — do widzenia.

— Do widzenia.

Skręcili do Pędzichówka, a Bolek pojechał dalej szosą.

## KRZYK TRWOGI NA PODDASZU

W zapadającym zmierzchu białe znaki na pniach topoli wskazywały drogę. W oddali widać było światła. Konie przyspieszyły kroku; pilno im było do stajni i pachnącego siana. Me wstrzymywany wodzami Bumerang zrównał się z Roksaną. Powitała go rzeniem. Wałach stosował krok do kroku klaczki i oba konie, wielce zadowolone ze swego towarzystwa, szły łeb w łeb, jednym chodem, jakby we wspólnym zaprzęgu.

Maciek od razu wyczuł ten inny, zapożyczony od Roksany chód Bumeranga.

Powoził już różnymi parami, ale żadna tej nie dorównywała. Zaprzężone do bryczki Bumerang i Roksana zdawały się być powodowane jednym pragnieniem: nie popsuć harmonii biegu. Rotmistrz mówił, że dobre konie rywalizują ze sobą w zaprzęgu i że właśnie ta rywalizacja daje harmonię.

Rotmistrz mówił też, że jest to najszlachetniejszy rodzaj rywalizacji, niedostępny człowiekowi. Maciek nie bardzo rozumiał, o co chodziło rotmistrzowi, ale chętnie powtarzał jego słowa. Wynikało z nich bowiem niezbitie, że koń jest najwspanialszym stworzeniem na świecie.

Linijka zaturkotała po kocich łbach.

Pan Kasicki skręcił w wąską alejkę prowadzącą między żywopłotami do Kasiczówki.

Przed gankiem zamajaczyła wysoka postać.

Był to Skorupa.

— Co tak długo? Do miasta jeździliście? — spytał podchodząc.

— Nadleśniczy tyle czasu nas trzymał. Nowakowie zeszli z linijki, pan Kasicki obejrzał się na Igę. Siedziała przycupnięta na samym końcu.

— Jeszcze ci mało?

— Pojadę do stajni — powiedziała prosząco.

— To się trzymaj.

Chciał ruszyć, ale Skorupa wziął od niego lejce.

— Odprowadzę — mruknął.

Pan Kasicki spojrzał nań zdziwiony.

— Jak chcesz.

Oddał Skorupie bat i poszedł za gośćmi do domu.

— Chcesz powozić? — spytał Skorupa zwracając się do Igi.

Zręcznie przesunęła się na przód linijki, ujęła podane lejce. Skorupa siadł za nią. Ruszyli. Maciek jechał obok na Bumerangu.

— Wio! — wołała Iga.

— Lejce trzyma się między palcem środkowym a wskazującym — powiedział Skorupa i pokazał, jak się trzyma. Starła się go naśladować.

— Dobrze — pochwalił, a po chwili: — Podobało ci się na Rojnie?

— Podobało. Wio!

— Nie goń jej. Kłusownika się nie bałaś?

— Ani trochę.

— Milicja była?

— Nie, tylko dwaj gajowi. No i nadleśniczy.

— Wywęszył co?

— Węszy, węszy.

— Niech węszy.

Zajechali przed wozownię. Skorupa wyprzągł Roksanę i zaprowadził do stajni. Iga niosła za nimi bat. Maciek już rozsiedlał Bumeranga i wycierał go wiechciem. Gdy skończył, przyniósł owsa, wsypał do żłobu i poszedł przywitać się z Kielbikiem. Malec był tego wieczoru szczególnie dobrze usposobiony: dał pokaz prześmiesznych galopad.

Iga nie zwracała uwagi ani na Kielbika, ani na Maćka.

Po kolacji Maciek zadzwonił do Ewki. Na złość Idze.

— Czołem biję waćpannie.

— Nie, wolnym jeszcze.

— Dobrze mu Zagłobę zaserwowałem, nie?

— Ale draka.

— Wiesz, waćpanna, nad czym ja się głowię? Na jakim koniu jeździł pan Skrzetuski? Albo jakiej maści była inflancka kobyła pana Longina?

— Wiemy tylko tyle, że było to „ogromne bydło”. I to wszystko.

— Żaden z koni „Trylogii” nie ma rodowodu, żaden się nie nazywa...

— A Basior pana Wołodyjowskiego? — zapytał od stołu rotmistrz.

— O rany, zapomniałem! — zawołał Maciek.

I jakby się z rotmistrzem umówili, wyrecytowali na dwa głosy:

— „Syruć, a grzywa u Basiora zapleciona?” Wszyscy się roześmieli, a pani Kasicka nachyliła się do ucha pani Nowakowej.

— To wtedy, gdy pan Wołodyjowski wybierał się w konkury do Wodoktów.

Powiedziała to tonem zwierzeń, jakby wiadomość dotyczyła wydarzenia w sąsiedztwie. Tymczasem Maciek kończył rozmowę z Ewką:

— Będiesz jutro? Bądź! Czołem biję waćpannie.

— Ja widzę, że wy tu na co dzień żyjecie „Trylogią” — powiedziała pani Nowakowa.

— Sami już nie wiemy, co rzeczywistość, a co powieść — żartował rotmistrz.

— A jak Maciek zacznie rozmawiać z Ewunią o Kmicicu, o Oleńce, o Wołodyjowskim, można godzinami słuchać — mówiła pani Kasicka. — Wynajdują takie rzeczy, na które człowiek czytając nie zwrócił uwagi.

— Są już na etapie poprawiania Sienkiewicza — wtrącił pan Kasicki.

— Doprawdy? — zainteresował się pan Nowak. Maciek był wyrozumiały dla pisarza.

— Eee, głupstwo, drobne niedopatrzenie. Chodzi o pułkownika Baranowskiego. Na początku „Ogniem i mieczem” Sienkiewicz pisze, że Baranowski służył w husarii, a w bitwie pod Machnówką Baranowski służy w dragonach.

— Pewno jakiś inny Baranowski...

— Ten sam: „był już dobrze szpakowaty i szeplenił, mając podniebienie potrzaskane kulą z samopału”.

— Najpierw służył w husarii, a potem został służbowo przeniesiony do dragonów — przekomarzał się rotmistrz.

— Nie. Po prostu Sienkiewicz pomylił się.

— No, ale na szczęście ty czuwasz.

— Czy Igusia też taka biegła w „Trylogii”? — spytała pani Kasicka.

Iga odęła usta.

— Widziałam filmy. Nie zależy mi na aż takiej znajomości pisarstwa Sienkiewicza.

Zaraz po kolacji państwo Nowakowie, zmęczeni emocjami dnia, udali się na górkę, gdzie — naprzeciw pokoju rotmistrza — pani Kasicka urządziła im wygodną sypialnię. Obszerne, czyste poddasze, odgródzone od strychu przepierzeniem z desek, służyło w potrzebie za pokój gościnny. Gdy gości nie było, suszyły się tu wiązki maku, nasiennej cebuli i długie warkocze czosnku. Przed przyjazdem państwa Nowaków usunięto to wszystko, wywietrzono i udekorowano poddasze. Spod sufitu zwieszały się girlandy z bibułki i słomy; dwa podporowe słupy przystrojone były jedliną, na stoliku stał kamienny gar (po powidłach) z naręczem perłowych baziak.

— Mamo, zejdę jeszcze na dół — odezwała się Iga.

— Kładź się spać, dziecko, już późno.

— Niedługo wrócę!

— No dobrze. Ale za pięć minut żebyś była z powrotem.

— Za dziesięć.

Na dole było już cicho, tylko z kuchni dochodziły odgłosy krzątania pani Kasickiej. W jadalni paliła się słaba żarówka. Iga przemknęła się na palcach, drzwi do biblioteki były otwarte.

Był to duży pokój z wnęką, który pan Kasicki, zamiłowany stolarz, wygospodarował ze starej sieni i spiżarni. Wybił działową ścianę, całość oszalował jasną, ładnie ciętą sosnową deską, strop pozostawił stary, we wnęcie, gdzie przedtem była spiżarnia, umieścił zręczny regalik z nie okorowanej dębowej tarcicy, podłogę wymościł dywanem pozszywanym ze szmacianych chodników. Na honorowym miejscu stała tu oszklona gablotka z bronią myśliwską: sztucer pośrodku, po bokach dwie dubeltówki. Poza tym kolekcja noży, rogów, stara torba ze skóry. Niska ozdobna szafka, na której stała gablotka, kryła za wiśniowymi drzwiami inne utensylia myśliwskiego arsenału.

We wnęcie, oprócz półek z książkami, mieścił się fotel i stojąca lampa, nakryta starym, posklejonym abazurem, na którym wyobrażona była panorama słynnego toru w Epson.

Iga usiadła w fotelu i zapaliła lampę.

To miejsce upatrzyła sobie zaraz po przyjeździe. Pomyślała wtedy, że będzie tu przychodzić z Gałczyńskim. Dobry był ten fotel obity czerwonymi zapaskami, wyłożony poduchami, z podnóżkiem i ruchomym pulpitem, na którym można było położyć książkę. Ale nie przyniosła Gałczyńskiego; na najbliższej półce, w zasięgu ręki, odnalazła sześć tomów oprawnych w zrudziałe, poprzecierane płótno, z wytartymi napisami na grzbietach. Wyjęła pierwszy, otworzyła, ostrożnie przewróciła tytułową kartę i zaczęła czytać ze wzruszeniem, które ją samą zdziwiło.

Rok 1647 był to dziwny rok, w którym rozmaite znaki na niebie i ziemi zwiastowały jakoweś klęski i nadzwyczajne zdarzenia.

Współcześni kronikarze wspominają, iż z wiosny szarańcza w niesłychanej ilości wyroiła się z Dzikich Pól i zniszczyła zasiewy i trawy, co



było przepowiednią napadów tatarskich. Latem zdarzyło się wielkie zaćmienie słońca, a wkrótce potem kometa pojawiła się na niebie.

Ostrożnie przewracała pozółtkę, kruche kartki zachłannym wzrokiem przebiegała linijkę po linijce. Zapomniała, gdzie jest, zapomniała o poleceniu matki, przeniosła się w przeszłość i znalazła się wśród postaci jak z bajki, które stały się jej bliskie, jakby znała je od dawna i kochała od dawna.

Z tego oczadzenia wyrwał ją odgłos kroków — ktoś szedł przez jadalnię w stronę biblioteki. Pospiesznie odłożyła na miejsce „Ogniem i mieczem”, zgasiła lampę.

Skrzypnęły drzwi i ktoś wszedł do środka. Iga widziała cień na podłodze. Po chwili cień poruszył się. Wyjrzała.

Był to rotmistrz. Wyjął z gabloty dubeltówkę, obwąchał zamek, wstawił ją z powrotem na miejsce i wziął drugą. Po dubeltówkach przyszła kolej na sztucer. Oględziny sztucera były bardziej szczegółowe, rotmistrz otworzył nawet zamek. Musiał się dowąchać czegoś podejrzanego, bo złożył broń, ale nie wstawił jej do gablotki, tylko tkwił przez chwilę w miejscu, ważąc sztucer w rękach. Nagle złożył się jak do strzału. Do czego rotmistrz mierzył, tego Iga nie wiedziała, ale na wszelki wypadek zatkała sobie uszy i zamknęła oczy. Gdy je otworzyła, rotmistrz wyjmował z szafki jakieś przedmioty. Zamknął potem szafkę i gablotę na klucz, zgasił światło i wyszedł z pokoju.

Siedziała nieporuszona, dopiero po dłuższej chwili cichutko podniosła pulpit i zaczęła ostrożnie, wśród zupełnych ciemności, posuwać się ku drzwiom. Ku swemu przerażeniu stwierdziła, że w jadalni też jest ciemno. Cały dom spał. Wtem, tuż obok, rozległo się chrobotanie. Zamarła. Chrobotanie ustało, ale po chwili znów się rozległo, jeszcze bardziej zaciekle. Miała wielką ochotę krzyknąć, ale pomyślała, że krzyk mógłby zwabić Maćka, macając więc rękami przed sobą, ruszyła w kierunku, gdzie powinny znajdować się drzwi.

W sieni też było ciemno. W kącie za schodami zachręściła słoma. Iga pośpiesznie wspięła się po schodach. Spod drzwi pokoju rotmistrza sączyła się smuga światła. Odnalazła gościnny pokój, nie zapalając światła, rozebrała się i wsunęła do łóżka.

Nagle coś spadło jej na oczy, zasłoniło uszy, zsunęło się na szyję!  
— Mamo! — wrzasnęła przerażona.  
— Co? Co? Co?. — zawołała pani Nowakowa wyrwana z głębokiego snu.  
— Mamo!  
— Ziuku, zapal światło!  
— Gdzie kontakt?  
— Przecież ty gasiłeś.  
— Ty gasiłeś. Krzyk Igi ustał.  
— Iga — wołała pani Nowakowa — odezwij się! Pan Nowak zapalił światło.

Iga siedziała na łóżku i trzymając w jednej ręce girlandę, którą zerwała z sufitu kładąc się do łóżka, drugą — zasłaniała usta, żeby stłumić śmiech.

## **TAJEMNICZA WYPRAWA PANA ROTMISTRZA**

Przy śniadaniu Iga nie dostrzegła Maćka. Dla wszystkich miała uśmiech i miłe słówko, a na niego nawet nie spojrzała. „Szkoda, że taka ważna” — myślał. Mogliby wyskoczyć nad staw, zobaczyć, czy wydra nie wróciła. Albo z cukrem do jednolatków. Bardzo lubił pokazywać je ludziom. Godzinami można siedzieć na żerdzi i patrzeć, jak hasają. To najwdzięczniejszy wiek dla konia. Nie zna jeszcze służby pod siodłem ani w zaprzęgu, a energii ma tyle, co dziesięć ogierów. Cały dzień potrafi się bawić. Taki Karuś! Ten dopiero ma repertuar. Aż dziw bierze, skąd taki młody koń ma tyle pomysłów.

Po śniadaniu schowała kilka kostek cukru do kieszeni i wyszła na ganek. Obserwował ją przez okno. Chciał zobaczyć, co robi z cukrem. Pokręciła się między rabatkami, popatrzyła, czy kwiatki nie wschodzą, a potem podeszła do ganku i zajrzała między gałęzie kapryfolium. Jak to się szarogęsi. Wczoraj pokazał jej, gdzie rudziki co roku wiją gniazdko, i już się do nich przyznaje. Jak przylecą, to nie do niej.

O, do licha! Zauważyła go. Odwróciła się i szybko poszła w stronę stajni. Odczekał chwilę i pobiegł za nią. Wyjrzał przez żywopłot.

— Czego za mną latasz? — wyszła z za drzewa i zmierzyła go surowym spojrzeniem. — Zachowujesz się jak smarkacz.

Odzyskał głos.

— Dorosła... — bąknął.

— Proszę za mną nie latać.

On za nią lata? Dobre sobie. Po prostu opiekuje się słabszą istotą. Old Shatterhand zawsze opiekował się słabszymi istotami. “

Wspomnienie Old Shatterhanda przeobraziło jego sylwetkę. Z rękami opuszczonymi wzdłuż ciała, tak aby każdej chwili były gotowe do wyrwania koltów z olster, przeszedł przez podwórze krokiem Johna Wayne z najlepszych jego filmów.

Stanął na progu stajni, długi cień padał na ziemię.

Iga karmiła cukrem Kluskę.

„Dobry znak — pomyślał — jeżeli pogodziła się z Kluską, to może i ze mną się pogodzi”.

— Cukier podaje się koniowi na płaskiej dłoni — powiedział niedbale.

Nie zwracała na niego uwagi. Otarła dłonie o spodnie, zdjęła siodło z haka i po dwóch nieudanych próbach zarzuciła na grzbiet Kluski. Rozejrzała się za popręgami. Zsunęły się z siodła i zwieszały po drugiej stronie. Przykucnęła i patrzyła na nie pod brzuchem konia. Wreszcie zdecydowała się. Mrużąc oczy wyciągnęła rękę, ale w tej chwili łeb Kluski przeleciał nad jej głową. Cofnęła się przerażona. Kluska odgoniwszy muchę zastygła w bezruchu.

Maciek podszedł, zdjął siodło z Kluski i odniósł na hak.

— Oddaj siodło! — zawołała Iga.

Wziął inne siodło, z innego haka, i wszedł do boksu Roksany. Uspokoił klaczkę, wygładził jej sierść na grzbiecie, nakrył czaprakiem i delikatnie zarzucił siodło. Poderwała się jak do biegu.

— Na niej będziesz jeździć — powiedział tak samo niedbale jak przedtem.

Iga stanęła u wejścia do boksu. Szeroko otwierając oczy, przyglądała się klacze. Gdy Maciek jął zaciągać popręgi, Roksana stuliła uszy i, wyciągając szyję jak rozzłoszczony gąsior, odsłoniła długie, żółte zęby. Ale ledwie rozległo się Maćkowe: „hooo”, zaraz się uspokoiła. — Daj jej cukru.

Iga miała jeszcze dwie kostki. Położyła na płaskiej dłoni i, nie spuszczać wzroku z klaczy, postąpiła parę kroków. Roksana przestała tulić uszy i wyciągnęła łeb, który od razu nabrał sympatycznego wyglądu. Jak delikatnie wzięła cukier! Chrupała kostki, nieznacznie poruszając wargami. Bardzo wytwornie jadła. Gdy skończyła, znów zwróciła łeb do Igi. Wyłupiaste oczy spoglądały uważnie, ale wcale nie prosząco. Była bardzo godna. Iga wyciągnęła rękę i pogłaskała ciepłe chrapy. Jakżeby chciała zdobyć miłość tego dumnego stworzenia!



— Trzymaj ją. Przy pysku, za wodze — powiedział Maciek i przeszedł do sąsiedniego boksu.

Zostały same. Iga trzymała wodze. Serce biło jej jak młotem. Roksana podniosła łeb, postawiła uszy i patrzyła, jak Maciek w sąsiednim boksie siodła Bumeranga. Stała teraz bez ruchu, ale w wielkim napięciu, jakby dojrzewała w niej jakaś szalona decyzja. Jeszcze wyżej podniosła głowę i zarżała. Za moment przesadzi ogrodzenie boksu i rzuci się do szalonego biegu!

— Spokój, Roksana.

Flegmatyczny głos Maćka spłynął na obie jak balsam.

Wrócił, pomógł Idze wsiąść i wyprowadził Roksanę. Bumerang już czekał osiodłany. Konie przywitały się.

— Przy Bumerangu jest jeszcze spokojniejsza — mówił prowadząc konie na maneż.

— Nie ucieknie do stajni? — spytała Iga, starając się zapanować nad drżeniem głosu.

Roześmiał się.

— Roksana? Jak ucieknie, to w pole... Ale nie bój się. Mam ją na lonży.

Pokazał długi rzemień. Jeden koniec przypięty był do ogłowia Roksany, drugi spoczywał w dłoni chłopca. Przywiązał Bumeranga do drzewa, a sam stanął po środku maneżu. Obracając się za kłusującą w kółko Roksanę, uczył Igę anglezowania, chociaż twierdziła, że tego nauczyła się już w Warszawie.

Po godzinie jazdy zmęczona usłyszała słowa pochwały. Nic nie powiedziała, ale gdy wychodzili ze stajni, pocałowała go w policzek.

— Przepraszam — powiedziała i puściła się biegiem. Dogonił ją.

— Za co mnie przepraszasz?

— Byłam dla ciebie niesprawiedliwa.

— Jasne.

— Na ciebie nie można się gniewać.

Wzięli się za ręce i szli machając nimi w przód i w tył.

— Czy ona mnie polubi?

— Jak się przyzwyczai, to polubi.

— Naprawdę dobrze jeździłam?

— Już ci powiedziałem.

— Nic ci się nie stanie, jak powiesz jeszcze raz!

— Dobrze jeździłaś.

— Taka jestem szczęśliwa.

— Kobieta zawsze jest szczęśliwa u boku ukochanego mężczyzny — błaznował.

— Głupek.

— Zawsze będziemy szczęśliwi... Kiedy wyjeżdżacie? — W środe.

— Do środy zawsze będziemy szczęśliwi. Zachichotał, bo wydawało mu się, że jest bardzo dowcipny. Patrzyła na niego z zagadkowym uśmiechem.

— Muszę ci coś wyznać.

— Kochasz się w nauczycielu gimnastyki?

— To dotyczy kłusownika. Az przystanął.

— Co?!

— Powiem ci, jeśli ty mi powiesz.

— Co ci mam powiedzieć?

— Kto jest kłusownikiem?

Obrzucił ją badawczym spojrzeniem.

— A skąd ja mam wiedzieć?

— Wydaje mi się, że wiesz.

— Co ci przyszło do głowy?

— Obserwowałam cię wczoraj: coś wiesz. Sprawilo mu przyjemność, że go obserwowała.

— Może i coś wiem — powiedział po chwili. — Słuchaj, losujemy.

Wyjął pudełko zapalek.

— Kto wyciągnie dłuższą, mówi pierwszy. Przełamał na pokaz jedną zapalkę, ale w garści zostawił dwie całe. To był jego stary numer.

Iga wyciągnęła zapalkę.

— Dłuższa... — rzekł. — Ty pierwsza. Opowiedziała mu o nocnej przygodzie w bibliotece. Słuchał uważnie.

John Wayne przeobraził się w Sherlocka Holmesa. Tylko on mógł rozwiązać taką zagadkę.

— Więc sądzisz, drogi Watsonie, że rotmistrz jest kłusownikiem? — powiedział nosowym głosem, jakim według niego powinien mówić Sherlock Holmes.

Od razu podchwyciła:

— Wydaje mi się, Sherlocku, że nie ma on czystego sumienia.

— Z czego to wnosisz, drogi Watsonie?

— Gdyby miał czyste sumienie, nie dobierałby się pod osłoną nocy do arsenału w zamku lady Hamilton.

Spodobał mu się ten „arsenał w zamku lady Hamilton”.

— Pozwól mi, Watsonie, głośno myśleć. Czy rotmistrz ma na wczorajszy poranek wiarygodne alibi? Ma! Jeździł na Trepaku w obrębie tej posiadłości...

— Pozwól, Sherlocku, że ci przerwę: czy ktoś go widział?

— Tak, drogi Watsonie, widział go pewien dzielny i bystry młodzieniec, Maciej Kasicki.

— I nie zauważył nic podejrzanego?

— Nic, Watsonie. Rotmistrz jak każdego dnia jeździł w kółku na małym maneżu... Ale zaraz... Trepak był cały w błocie, jak po dalekiej drodze...

— A widzisz, Maciek! Widzisz! — triumfowała.

— To jeszcze o niczym nie świadczy. Rotmistrz lubi czasem przegonić Trepaka po polu... Mów do mnie: Sherlocku...

— Ale wczoraj, Sherlocku, mógł być w lesie, tam gdzie zabito byka. I w ten sposób zostałaaby wyjaśniona tajemnica śladów podkowy Trepaka na Rojnie.

— Siady zrobiłem ja. I nie wczoraj, tylko przedwczoraj.

— Ty zrobiłeś przedwczoraj, a rotmistrz mógł wczoraj.

— Cóż by to był za dziwny zbieg okoliczności!

— Świat w ogóle jest dziwny.

— Nie, nie... Słuchaj, stara, to niemożliwe. Jeśli chodzi o te ślady, nadleśniczy nie ma racji.

— Być może, że obie strony mają rację... Mów do mnie: Watsonie.

Chwilę trwało milczenie. Sherlock Holmes zamyślił się głęboko.

— Musimy się dostać do arsenału w zamku lady Hamilton.

— Diabło niebezpieczne zadanie.

— Choćby z narażeniem życia! Zakradli się pod dom.

— Zachowamy daleko posunięte środki ostrożności — szepnęła.

Pokazał jej, jak się forsuje drzwi, za którymi może ukrywać się przestępca. Ubezpieczając się wzajemnie, przeskoczyli sień, jadalnię i dotarli do biblioteki. Słynny detektyw otworzył drzwi i... zamarł.

— Niczego nie brakuje — powiedział wreszcie. Iga na wszystko miała odpowiedź.

— Do tej pory mógł odnieść. Zastanowił się chwilę, popatrując na broń.

— Aha, on dokładnie je obwąchiwał — przypomniała sobie jeszcze.

— Jak obwąchiwał, to znaczy, że nie wiedział, z której strzelano. To nie on zabił.

— Ale dlaczego zabrał?

— Do oczyszczenia.

— A widzisz, chciał zatrzeć ślady.

— Jeżeli, to nie swoje — mruknął Maciek.

— Co wy tu robicie?

W drzwiach stał rotmistrz.

— Już was tu nie ma!

Maciek pośpiesznie wyniósł się z biblioteki. A Iga za nim.

— Miałaś mnie ubezpieczać — powiedział z wyrzutem, gdy biegli przez jadalnię.

Na ganku zawahał się przez moment, po czym skoczył między krzaki bzu. Mimo że pozbawiane liści, dawały dobrą osłonę, trzeba było tylko głębiej się zaszyć. Usiadł w kucki i wskazał jej miejsce naprzeciw.

— Co sądzisz, Watsonie, o tym wszystkim?

— Jesteśmy na dobrym tropie, Sherlocku.

— Pozwolę sobie być odmiennego zdania.

— Czy mógłbyś je szerzej wyłożyć?

— Nie mam zwyczaju czynić tego, nim nadejdzie właściwa pora.

— To przynajmniej powiedz, kto według ciebie jest kłusownikiem. Obiecałeś!

— O ile się nie mylę, obiecał ci niejaki Maciek Kasicki, wielki nicpoń i ladaco. Bądź tak dobry, Watsonie, i zwróć się do niego.

— Jesteś wstrętny, wstrętny!

— Mieliśmy się nigdy nie gniewać. Siedziała obrażona i nie patrzyła na niego.

— No dobrze, już ci opowiem. Zacznę od tego, jak polowaliśmy z Leszkiem na głuszca...

— Czy to ma związek z kłusownikiem?



— Jak najbardziej. A więc słuchaj... Albo nie. Wiesz co? Opowiem ci, jak dyrektor Radziejewski polował na dzika. Chcesz?

— A czy to ma związek z kłusownikiem?

— Żadnego, ale... — zachichotał. Zerwała się i pobiegła ku domowi.

— Już ci opowiadam... Watsonie!... Drogi Watsonie! Zwróciła ku niemu zagniewaną twarz.

— Nie zostanę na święta. Wyjeżdżam... Nagle zamilkła i pociągnęła go za żywoplot.

Na ganek wybiegł rotmistrz. Pod pachą trzymał długi przedmiot zawinięty w koc. Rozejrzał się i spiesznie pomaszerował ścieżką.

Kryjąc się, pobiegli za nim.

Między drzewami czekał na linijce Skorupa. Rotmistrz siadł za nim. Przynaglona lejcem Bojarka ostro ruszyła z miejsca. Linijka przetoczyła się między zabudowaniami, kierując się na południe, drogą, która prowadziła przez Dołowatkę na Podzamcze.

Maciek zawrócił, jak bomba wpadł do biblioteki. W gablocie nie było sztucera!

— Do koni!

We wrotach stajni zderzyli się z panem Kasickim.

— Co się stało?

— Chcielibyśmy się przejechać konno — wyrzucił z siebie Maciek.

— Znowu? Nie, nie, na dziś dosyć!

— Tatusiu!

— Powiedziałem — uciął pan Kasicki i wrócił do rozmowy z Kazimierskim.

Biegli przez podwórze, rozglądając się bezradnie. Zatrzymał się przed spichlerzem.

— Poczekaj!

Skoczył do domu. Po chwili wrócił z lornetką.

— Stamtąd dobrze widać — pokazał dach spichlerza.

Spichlerz był dwupiętrowy. Drabina sięgała do otwartego dla przewiewu okna na drugim piętrze, pozostały fragment drogi, z okna na dach, trzeba

było pokonać sposobem. Maciek stanął na parapecie, chwycił za wystający okap, zawisł na moment w powietrzu, podciągnął się na rękach i już był na dachu.

— Właźże! — krzyknął na Ige.

Stała na parapecie okna, ale zabrakło jej odwagi.

— Maciek!

Uklęknął na skraju dachu.

— Z babami to zawsze.

Podał jej rękę, a gdy i to nie pomogło, drugą ręką chwycił ją za dzinsy.

— Za pludry babę — stęknął, podciągnął i jak worek puścił na dach.

Zerwała się na równe nogi, szczęśliwa, że już po wszystkim, otrzepała się, poprawiła włosy i dopiero wtedy zmierzyła go dumnym spojrzeniem.

— Tylko nie babę...

Ale on nie słuchał. Z lornetką w ręce skoczył na drugą stronę. Linijki już nie było widać. Iga stanęła obok. Podał jej lornetkę.

— Po co oni właściwie pojechali?

— Zapolować na kłusownika albo na zwierzynę.

— Jak to?

— A tak to. Jeśli są wrogami kłusownika, to zapolują na niego, jeśli są jego współnikami, to zapolują na zwierzynę.

— Przypuszczasz, że jest jeszcze ktoś trzeci?

— Daj mi spokój.

Ona pilnie lustrowała okolice, on siadł z brodą wspartą o kolana i tępo patrzył przed siebie. Obiegły go ponure myśli. Czy to możliwe, żeby rotmistrz i Skorupa też byli kłusownikami? Lubił ich prawie tak samo jak Leszka. I tak samo im ufał. Jeśli ci trzech ludzie oszukiwali, to komu w ogóle można ufać?

— Będzie się bronić, jak go dopadną?

— A co mnie to obchodzi! — zawołał.

Zerwał się, przebiegł kilka kroków i siadł w takiej samej pozycji jak przedtem. Podeszła i przycupnęła obok.

— Zależy ci na nim, prawda?

— Zostaw ty mnie w spokoju! Dobrze?! — krzyknął. — Przestań się mnie czepiać!

Tego było już za wiele. Odłożyła lornetkę, wstała i bez słowa odeszła na drugą stronę. Spojrzała w dół: drabina, niestety, nie urosła.

Siadła na skraju dachu. Wiedziała jedno: więcej się do niego nie odezwie. Żeby nie wiadomo jak przeproszał.

## CZY BYK ZNIKNAŁ JAK DWÓJKA TREFL?

Maciek zapatrzył się w mgiełki nad dołowackimi lasami. Nie umiał sobie poradzić z ponurymi myślami. Próbował je odpędzić, ale wciąż wracały.

Nie może czekać na spotkanie z Równiachą. Musi się przed kimś wywnętrzyć.

Wstał i niepewny przyjęcia — podszedł do Igi. Siedziała obrażona i bardzo nieprzystępna.

Trzeba udobruchać małą.

— Chciałem się ciebie poradzić. Milczała. Usiadł obok.

— Wszystko ci teraz opowiem, jak słowo.

— Już mi opowiedziałeś.

Dobra jest, naprawdę dobra. Lepsza, niż przypuszczał. Ale powinna go wysłuchać.

— Stara, nie wygłupiaj się.

— To ty się wygłupiasz. Strasznie czupurna.

— Sprawa jest ważna, wiesz? Chodzi o rozwiązanie zagadki.

— Już ją rozwiązałeś.

Wciąż była bardzo wyniosła. Ale nie zwracał już na to uwagi. Zaczął opowiadać. Nawet nie bardzo zmyślał. Trochę tylko, z początku, gdy dla wprowadzenia przyszło naszkicować własną karierę strzelecką. Zaczął od flinty. Powiedział: „flinta”, żeby nie precyzować. Bo tak naprawdę to był flower. Dziecinny i bardzo stary. Do kolby dobrały się już korniki, a do lufy rdza. Ale tylko z wierzchu, bo w środku lufa błyszczała jak nowa. Nikt nie umiał powiedzieć, skąd się wziął w Kasiczówce, dość że był, i to od dawna. Znalazł go pan Kasicki podczas przebudowy spiżarni na bibliotekę. Owinięty w przesycone tłuszczem szmaty leżał wetknięty w szparę między belkami. Kto go wetknął, nie wiadomo, ale to pewne, że ktoś musiał to zrobić w czasie okupacji, bo szmaty były z parcianych worków z niemieckimi napisami i pieczęcią Wehrmachtu.

Przy pierwszej Maćkowej próbie strzelania asystowali wszyscy: cała Kasiczówka z Leszkiem Kiczyłłą na dodatek. Maciek miał dziesięć lat i tremę jak nigdy. Pierwszy strzał zdołował. Pocisk utkwiał pomiędzy jedynką a dwójką. Przy strzale z odległości dziesięciu metrów było to haniebne pudło! Nie patrząc na nikogo, wyrzucił łuskę, wsunął nowy ładunek i bardzo starannie się złożył. Gdy muszka wypełniła szczerbinę, pociągnął za język spustowy. Rozległ się huk i tępe uderzenie ołowiu o deskę. Pocisk utkwiał tuż obok pierwszego. Nikt się nie odezwał. Zmienił ładunek i strzelił prawie bez celowania. Znowu dół. No, to cześć! Nie będzie się więcej kompromitował.

— Pafnucy — głos Leszka dochodził go jakby z bardzo daleka — masz oko Winnetou albo pana Muszalskiego, niezrównanego łucznika. Tylko że ta pukawka haniebnie dołuje. Pokaż no ją.

Najpierw wpakował dwa pociski w dół, ale trzeci już w sam środek tarczy. A potem wyłożył Maćkowi sztukę celowania ze strzelby, która dołuje.

Jeszcze tego samego dnia Maciek trafił w dziesiątkę. Celował w górną część tarczy, a pocisk trafił w środek.

Niedługo potem Leszek powiedział, że jak zacznie się sezon, to pójdą razem zapolować na zające. Czas dłużył się Maćkowi niemiłosiernie. Najpierw nie mógł się doczekać jesieni, a gdy przyszła, z jeszcze większą niecierpliwością czekał na 20 listopada. Jest to pierwszy dzień, w którym można zabić szaraka. Uzgodnili z Leszkiem, że właśnie tego dnia, zaraz po szkole, pójdą razem na polowanie. Na pierwsze w życiu polowanie Maćka.

Ale nie poszli. Leszek otrzymał list od przyjaciela, stale mieszkającego za granicą. Przyjaciel zaprosił go na polowanie ławą. Maciek nigdy nie słyszał o takim polowaniu. Wyjaśnienie znalazł u Ejsmonda. Polami posuwa, się ława myśliwych i naganiaczy. Początkowo zające pomykają przed ławą, ale potem, pragnąc wrócić w domowe pielesze, zawracają i pędzą wprost na myśliwych. Pędzą całymi stadami. Wtedy myśliwi strzelają. Każdy ma dwie flinty. Gdy z jednej strzela, drugą ładuje pomocnik. Na tym polowaniu u Ejsmonda zabito tysiąc pięćset zające, on sam zabił osiemdziesiąt dwa. Ciekawe, ile zabije Leszek?

Tym pytaniem powitał go na stacji. Kiczyłło nic nie odpowiedział, tylko

spojrzał, jakby czymś wystraszony. Zarzucił plecak na ramię, Maciek wziął flintę i w milczeniu poszli na Podzamcze.

Przy pożegnaniu Kiczyłło powiedział bardzo cicho:

— Pafnucy, to była rzeź.

Leszek wrócił w czwartek, a w sobotę pan Kasicki przyniósł wiadomość, że szwagier sprzedał nadleśniczemu swoją słynną dubeltówkę, a Czesiowi Rzepińskiemu swój słynny sztucer.

Zimą Maciek rzadko go widywał. Leszek wyjeżdżał często do Warszawy omawiać sprawy związane z wydaniem kolejnego swego albumu, tym razem o zwierzętach. Przy spotkaniach unikał rozmów na temat polowań. Jakież było zdumienie Maćka, gdy w kwietniu, przed samą Wielkanocą, wujek zaproponował mu polowanie na głuszca. Pani Kasicka bardzo się ucieszyła: na święta zapowiedzieli się zagraniczni goście, będzie miała dla nich królewski obiad.

Wieczorem poszli na dołowackie mokradła zasadzić głuszca. Gdy słońce zaszło, przyleciał z ogromnym łopotem i krakaniem. Poszli się do domu przespać i przed świtem wrócili na zapad. Leszek ze starym futerałem na sztucer. Zrobił oko do Maćka, otworzył futerał i wyjął swój wspaniały — nie mniej niż dubeltówka i sztucer słynny — pentacon z długim, półmetrowym obiektywem.

— Z takiej flinty będziemy, Pafnucy, strzelać. Przy śniadaniu Maciek oznajmił matce, że Leszek upolował wspaniałego głuszca i sam go upitراسi. Pani Kasicka, przywykła do kulinarnych wyczynów brata, przyjęła wiadomość bez zdziwienia.

Zjechali zagraniczni goście. Leszek słał do Pędzichówka meldunki przez Maćka, że głuszc kruszeje i że dostarczy go w terminie, w sosie śmietanowym. Na świąteczny obiad pani Kasicka podała barszcz, istne arcydzieło sztuki kulinarnej. Goście jedli, rozpywając się w pochwałach. Maciek czekał w napięciu na to, co za chwilę miało nastąpić. Pani Kasicka zbierała filiżanki, gdy w drzwiach stanął Leszek Kiczyłło z czarną aktówką w ręce.

— Gdzie głuszc? jęknęła pani Kasicka.

Na to on wyciągnął z aktówki sześć wielkich fotografii głuszca zrywającego się do lotu na tle jaśniejącego nad lasem nieba. Wręczył po jednym biesiadnikom.

— Szanowni goście z dalekich krajów i wy, roztomili rodacy. Cieszę się, że mogłem spełnić wasze najskrytsze pragnienia. Na pewno uraduje was myśl, że oto ten wspaniały ptak nie leży brutalnie poszarpany na waszych talerzach, lecz cieszy się życiem i nadobnymi głuszycami. Zamiast rozpychać sobie żołądki i zatruwać organizmy, ucieszcie wasze oczy i wasze serca

— On jest fantastyczny, ten Leszek! — zawołała Iga głosem, w którym brzmiał nieklamany entuzjazm.

Zagraniczni goście z uśmiechem wysłuchali przemówienia, z którego nie zrozumieli słowa. Najważniejszy gość — o obliczu nieco zaokrąglonym od nadmiernego gustowania w sarninie pod beszamelem i jarząbkach w sosie własnym — wyraźnie się radował, że oto za chwilę z głuszca, którego oglądał na zdjęciu, pożre kawał piersi (ani przez chwilę nie wątpił, że rozpozna pierś na półmisku). Otóż ten właśnie najważniejszy gość, znany kanadyjski handlarz końmi, zwrócił się do rotmistrza, aby przetłumaczył im słowa chudego fotografa o pobrużdżonej twarzy i ruchach dobrze wytrenowanego tyczkarza.

Rotmistrz tłumaczył powoli, z namysłem, niekiedy zwracał się do Leszka z prośbą o powtórzenie co celniejszych sformułowań. W miarę jak Leszkowe przemówienie przyoblekało się w słowa niezrozumiałe dla Maćka, ale doskonale zrozumiałe dla najważniejszego gościa, na szerokiej twarzy tamtego powoli zamierał wyraz radosnego oczekiwania. Na koniec zamarł zupełnie, ustępując miejsca innemu uczuciu, które swą gwałtownie wzrastającą temperaturę objawiło kolorem nasyconej czerwieni.

Najważniejszy gość wybuchnął gniewem, zagroził zerwaniem handlowych pertraktacji. Dopiero prastara żubrówka i jarząbek w sosie własnym — przyrządzony przez panią Kasicką ze szczególną starannością — załagodziły konflikt.

Tymczasem swawolny brat Dąbrówki szalał ze swoim pentaconem po lasach i polach. Tygodniami tropił zwierzynę i czatował na ptactwo, by

zrobić zdjęcie, jakiego nie było dotąd w albumach najwybitniejszych fotografików. Maciek uzbrojony w lornetkę towarzyszył mu w tych wyprawach. Już zgadzał się z Leszkiem, że dają one więcej wrażeń niż wyprawy ze strzelbą. Sprawdzała się prawda, którą bodaj pierwszy wygłosił Ejsmond: im mniej myśliwy zabija, tym więcej może powiedzieć o zwierzętach.

— Kiedy to było? — przerwała Iga.

— Polowanie z aparatem? — spytał, jakby chciał odwlec moment, kiedy trzeba będzie powiedzieć wszystko. — Trzy lata temu.

Z wyrazu oczu Igi poznał, że już nie trzeba stawiać kropki nad „i”, ale postawił:

— Wtedy, kiedy zaczął swą działalność tajemniczy kłusownik.

Zapadło milczenie.

— Czy jesteś pewien, że to on? — spytała po chwili. Wtedy zdał jej relację ze swojej wczorajszej wizyty na Podzamczu. Przypomniał strzał Bolka i powiedział o zabandażowanym ramieniu Leszka, o suszącym się nad kuchnią ubraniu, o zabłoconych gumiakach.

— Wystarczy?

— Nie chce mi się w głowie pomieścić.

— Znasz go?

— Był u nas w Warszawie. No i z Pędzichówka go pamiętam.

— Taki gość, nie?!

— Kapitalny.

— Pokazywał ci karciane sztuczki?

— Pamiętam dwójkę trefl. Ciągle znikająca. Nikt nie wiedział, jak on to robi.

— To samo było z bykiem.

— A właśnie, jak on go zabrał z Rojna?

— To musiał być jakiś lepszy numer.

— Wiesz jak?

— Wiem, to znaczy domyślam się.

— Powiedz.



— Powiem, ale nie mów nikomu.

— Nie powiem.

— Słowo?

— Słowo.

— Zabrał go na pokładzie latającego talerza.

— Czego? Latającego talerza?

— Nie słyszałaś o latających talerzach?

— Słyszałam, ale nie słyszałam, żeby ktoś używał latających talerzy do transportu mięsa.

— A Leszek użył.

— Ale skąd go tu wziął?

— Latają nad Ameryką, to mogą przylecieć nad Pędzichówek, nie?... Jada!

Z dołowackiego lasu wyjechała linijka. Bojarka szła wyciągniętym kłusem. Skorupa powoził, jak na pokazie zaprzęgów. Za nim siedział rotmistrz. Na kolanach trzymał ten długi przedmiot owinięty w koc. Ani chybi — sztucer! Linijka wjechała między zabudowania i zatrzymała się obok okólnika dla cieląt. Rotmistrz rozejrzał się, zeskoczył na ziemię i szybkim krokiem, z tłumokiem pod pachą, ruszył w stronę Kasieczówki.

Puścili się pędem, obiegli dom i zajęli stanowiska obserwacyjne na jabłoni. Widzieli przez okno, jak rotmistrz wszedł do biblioteki, odwinął z koca sztucer, złożył go, otworzył arsenał i postawił broń na miejsce.

— Rozumiesz coś z tego? — spytał Maciek.

— Nic a nic.

Gdy zjawili się w bibliotece, siedziało tam już całe towarzystwo. Nadleśniczy, który przyjechał razem z także zaproszonym Rzepińskim, znalazł się bardzo ładnie i jeszcze raz przeprosił Maćka. Dzieci podeszły do półek z książkami i udając, że czegoś szukają, przysłuchiwały się rozmowie. Pan Nowak opowiadał nadleśniczemu... O czym? Oczywiście, o powstaniu szkółki jazdy konnej w warszawskim zoo.

— Maciuś! — zawołała pani Kasicka zaglądając do biblioteki.

— Słucham.

— Czy ty na pewno powiedziałaś Leszkowi?

- Na pewno, mammo.
- I powiedział, że przyjdzie?
- Tak, mammo, przecież ci mówiłem.
- No, bo już trzeba szykować. Drzwi zamknęły się za panią Kasicką.
- O której miał przyjść? — spytała szeptem Iga.
- O szóstej.
- Zaraz szósta.
- On pewnie nie przyjdzie... Przecież jest ranny. A może już nie żyje?
- Co ty opowiadasz?
- Zmarł z odniesionych ran...

Urwał, stary zegar zazgrzytał, otworzyły się małe drzwiczki, wysunęła się kukułka i chrapliwie wykukała szóstą godzinę.

- Widzisz.
- Może się spóźni.
- On się nigdy nie spóźnia.
- Zobaczył przez okno nadleśniczego i boi się.
- On się niczego nie boi... To znaczy niczego się nie bał.

Maciek dopiero teraz pomyślał o tym, że zostawił Leszka bez pomocy. A jak to jest ciężka rana i Leszkowi coś się stało? Musi koniecznie zobaczyć, co się z nim dzieje!

Chcąc odpędzić złe myśli, brnął dalej.

— Przygotowałem mowę pogrzebową. Wiesz, jak się zaczyna? „Leszku, towarzyszu młodzieńczych wypraw...” Dobrze?

- Dobrze. A dalej? — podjęła od razu Iga.
- Jeszcze nie wiem. Ewka mi pomoże. Ona ma piątkę z polaka.
- Już ją prosiłeś?
- Jeszcze nie.
- To nie proś. Ja ci pomogę.
- A co masz z polaka?
- Piątkę.
- Dobra. Tylko to ma być mowa, wiesz...

Zegar ponownie zazgrzytał, drzwiczki otworzyły się, kukułka wyjrzała i.

zastygła w pół ruchu, potem jeszcze raz poruszyła skrzydłami i zegar stanął.

Zrobiło się dziwnie cicho.

Iga trąciła Maćka, ale Maciek z natężeniem wpatrywał się w drzwi.

Pobiegła spojrzeniem za jego wzrokiem.

Drzwi otwierały się powoli. W mroku zamajaczyło coś białego. Pałce Maćka wpiły się w ramię Igi.

Leszek Kiczyłło bezgłośnie przekroczył próg. Miał na sobie jasną wiatrówkę i lniane spodnie.

— Że chodził — powiedział z uśmiechem, wskazując na zegar — teraz dopiero jest szósta.

## **LESZEK KICZYŁŁO WIE, KTO JEST KŁUSOWNIKIEM**

— Dzień dobry.

Ile razy Maciek słyszał to Leszkowe „dzień dobry”, z wyraźnym akcentem na „dobry”, miał wrażenie, że brat jego matki obwieszcza światu doniosły fakt mało komu znany. Tym razem zabrzmiało to jak ironia, jak zapowiedź czegoś najgorszego.

Kiczyłło obchodził zebranych, ściskając im ręce. Na koniec podszedł do siostrzeńca.

— Pafnucy, szalenie szybko biegasz. Maciek wybełkotał coś niezrozumiale.

— Co mówisz?

Maciek znów zdobył się tylko na bełkot.

— Chłopcze, co się z tobą dzieje?

Siadł na najbliższym krześle i przyciągnął Maćka do siebie.

— Ile razy ci mówiłem, że w każdej sytuacji należy zachować zimną krew...

Oczy Maćka zrobiły się okrągłe.

— Nie wyobrażacie sobie państwo, ile radości przysparza mi mój Pafnucy. Coraz to odkrywam w nim jakieś nowe talenty. Wczoraj objawił mi się jako szybkobiegacz. W życiu nie widziałem, żeby ktoś tak szybko uciekał. Co cię spłoszyło, młody bohaterze?

— Dlaczego nazywa go pan Pafnucym? — spytała pani Nowakowa, która z wielkim zainteresowaniem przysłuchiwała się Kiczy Ile.

— Bo to jest Pafnucy.

— Ależ on ma w metryce Maciek.

— Podobno.

— Więc dlaczego nie nazywa go pan Maćkiem?

— Proszę łaskawej pani, to, co od pewnego czasu uprawiam, można by nazwać korekturą metryk. Nazywam ludzi tak, jak się nazywać powinni.

— Wszystkich pan chrzci według własnego uznania?

— Prawie wszystkich.

— Jakie znalazł pan imię dla swojej siostry?

— Oooo, to Dąbrówka, Dąbrówka od stóp do głów. W każdym calu Dąbrówka.

— A pan nadleśniczy?

— Jaś Chudoga? Czasami bywa władcą kniei. Ale rzadko. Ostatnio wcale.

— No, no! — nadleśniczy pogroził mu palcem.

— A mnie jak by pan nazwał? — spytała pani Nowakowa, przechylając na bok kunsztownie uczesaną główkę.

— Szanowna pani jest panią Nowakową z Warszawy. W każdym calu panią Nowakową z Warszawy.

— A pan rotmistrz?

— Aaa, to Walgierz Wdały.

— Nigdy nie słyszałam o Walgierzu.

— Nie słyszała pani o Walgierzu Wdałym? Ooo? usłyszysz pani, na pewno. I to niebawem.

Kiczyłło posłał rotmistrzowi filuterny uśmiech i jął wyjmować książki z myśliwskiej torby.

— Dziękuję, Pafnucy... Zwracam wszystkie. „Skórzaną Pończochę”

obłożyłem, jak widzisz, z należnym arcydziełom szacunkiem, w piękny papier. Czyż nie piękny? Tę książeczkę też obłożyłem, choć nie wzbudziła mego entuzjazmu. Ale przyznaję, partie poświęcone odczytywaniu tropów napisane są ze znajomością przedmiotu.

— Nareszcie znalazłeś odpowiednią pożywkę dla swego intelektu — powiedział zjadliwie nadleśniczy.

— Masz rację, Jasiu Chudogo. To znakomita pożywka. Mogę ci ją polecić z czystym sumieniem. Ustrzeże cię przed znajdowaniem tropów, które prowadzą donikąd.

Wszyscy się roześmieli, nadleśniczy zmieszał się, ale tylko na moment.

— Wezmę się do tej lektury, gdy również będę miał sklerozę.

Do biblioteki weszła pani Kasicka.

— No, jesteś nareszcie — powiedziała, całując brata — chodź, chodź do kuchni.

— A więc to była zasadzka! Widzicie, państwo, do czego tu mnie używają? — uzalił się.

— Nikt takich blinów nie robi jak on — stwierdziła pani Kasicka.

— Bliny? — skrzywił się Kiczyłło. — To strasznie dużo roboty.

— Iga nigdy nie jadła. Na pewno zechce spróbować.

— Chyba że tak. Co prawda myślałem, że wzywasz mnie do kuchni po to, abym przyrządził comber jeleni. Co? Na pewno nie chodzi o comber jeleni?

Skierował kpiące spojrzenie na gospodarzy. Maciek gotów byłby przysiąc, że ojciec zmieszał się.

— Jaki comber? Co ty wygadujesz? — oburzyła się pani Kasicka. — On zawsze musi coś takiego powiedzieć. No, chodź, chodź.

— Chwileczkę! Dąbrówko, gdzie insygnia władzy?

— Czekają na ciebie w kuchni.

— Nie, nie, ja muszę przy wszystkich. Kapłan ubiera się na oczach wiernych. Przynieś! Przynieś! Koniecznie przynieś.

Pani Kasicka wzruszyła ramionami i wyszła do kuchni.

W bibliotece zapadło milczenie. Kiczyłło z uśmiechem wodził wzrokiem po twarzach.

— Gotów byłbym przysiąc — podjął swój taniec na linie — że gdy wszedłem, rozmawiali państwo o sposobach przyrządzania jeleniego combra.

— Nie rozmawialiśmy — rzekł zimno pan Kasicki.

— Nie rozmawialiście? Duży błąd, mężu mej siostry, to bardzo interesujący temat.

Wróciła pani Kasicka.

— No, ubieraj się.

Podawała bratu biały fartuch i wysoką kucharską czapkę.

— Jak pięknie wyprasowane — zachwycił się wkładając fartuch. — Dąbrówko, coś mi szepce do ucha, że bliny będą palce lizać. Pafnucy, zawiąż, chłopcze, bo nie sięgam.

Maciek podskoczył i zawiązał mu na plecach tasiemki fartucha.

— Ja sam, ja sam! — zawołał Kiczylło, odbierając czapę z rąk siostry. — Napoleon nie pozwolił się nikomu koronować, pozwól, że i ja sam się ukoronuję.

Z zabawnym namaszczeniem włożył sobie na głowę wielką nakrochmaloną czapę. Jego lisia twarz zmaląła jeszcze bardziej.

— Idziemy, zacna Dąbrówko.

Odwrócił się ruchem pontyfikalnym i wyszedł z pokoju. Pani Kasicka, jak zawsze bardzo ubawiona tym obrzędem, podreptała za bratem.

— Mamo, ja chciałabym zobaczyć, jak się robi bliny — odezwała się Iga.

— To idź, tylko żebyś nie przeszkadzała. W sieni Iga złapała Maćka za rękaw.

— On jest fantastyczny! Fantastyczny!

— Prawda?

— Jeśli nawet jest kłusownikiem, to każdy sąd go zwolni.

— Dlaczego?

— Dlatego, że jest fantastyczny.

— Sąd nie bierze takich rzeczy pod uwagę.

— Tym razem weźmie.

— On nie może stanąć przed sądem.

— Dlaczego?

— Ty wiesz, co by to była za obsuwa dla mnie? Kłusownik w rodzinie! Co za wstyd!

— Ale ty jesteś!... Tylko o to ci chodzi? A poza tym on nie jest kłusownikiem.

— Skąd wiesz?

— Intuicja mi to mówi.

— Intuicja... — przeciągnął ironicznie Maciek.

— A zresztą, mówiłeś, że on jest ranny. Jeszcze nie widziałam zdrowszego człowieka.

Kiczyłło krzątał się w kuchni, rzeczywiście nie zdradzając ani śladu osłabienia czy choroby.

— Nie przeszkadzamy? — spytała Iga.

— Ależ skąd. Wasza obecność podniesie moje zabiegi do rangi widowiska.

— Chciałabym się nauczyć robić bliny.

— Odślonię przed tobą wszelkie tajemnice.

— Dziękuję — dygnęła wdzięcznie.

— A może oni będą robić, a ty będziesz dyrygował — zaproponowała pani Kasicka.

— Co wy na to? — spytał Kiczyłło.

— Ja bardzo chętnie! — zawołała Iga.

— Ja też — zgłosił gotowość Maciek.

— Świetnie się składa — powiedział Kiczyłło. — Bo mnie lewe ramię mocno dokucza.

Maciek rzucił Idze znaczące spojrzenie.

— Wkładać fartuchy — komenderował Kiczyłło. — Dąbrówko, daj im coś na głowy.

Ostrożnie usiadł w fotelu na biegunach, wyciągnął przed siebie nogi i, nie czekając, aż dzieci skończą się ubierać, rozpoczął wykład:

— Bliny! Rodzina: potrawy mączne, rodzaj: naleśniki, gatunek: drożdżowe, pochodzenie nie ustalone; od tysiącleci toczy się spór między

gospodyniami Litwy i Białorusi o autorstwo. Ingrediencje... Mleko?

— Jest mleko! — zawołał Maciek.

Nieraz uczestniczył w kulinarnych obrzędach wuja i dobrze wiedział, co należy do obowiązków kuchcika.

— Drożdże? — huknął Kiczyłło, wprawiając w ruch fotel.

— Są drożdże!

— Mąka pszenna i hreczana? — Pszenna i hreczana!

— Jajka?

— Są jajka!

— Ścierki? — skrzypiał fotel na biegunach.

— Są!

— Lniane?

— Lniane!

— Uwaga wyostrzona?

— Wyostrzona!

— Dzieci drogie! Najpierw zrobimy ciasto-rodzicielkę, zaczyn życia, matkę pulchności, rozkoszy podniebienia i niestrawności.

— Co ty za banialuki wygadujesz!

— Cicho, Dąbrówko, bo zaczynamy. Zbiórka przy stole! Maciek za kopyść, Iga sypie. Najpierw mąkę. Pszenną...

I tak, posługując się ich rękami, kucharz doskonały, a gadatliwy, robił ciasto, z którego powstać miały delikatne naleśniki o nieco mdłym smaku. Napełniając rękami dzieci glinianą misę, drżał o proporcje ingrediencji, liczył każde ziarnko soli, każde wbite jajko. Świętym oburzeniem spłonął, gdy Iga powiedziała, że nie wie, co to „ociupinka” pieprzu, surowo napomniał Maćka, gdy ten wprawił kopyść w ruch gestem nie dość łagodnym.

— Ciasto nie wyrośnie, jeśli je zgwałcisz obejściem barbarzyńcy.

Na koniec, gdy ciasto było już dobrze wyrobione, kazał misę postawić w ciepłe pieca i starannie nakryć lnianymi ścierkami. Dzieci uczyniły tak, jak kazał, posprzątały na stole i przysiadły na stołeczkach wedle fotela, a on cicho, żeby, jak powiadał, wzrostu ciasta decybelami nie zakłócić, jął głośić



chwałę kucharzenia i pod niebiosa wynosić zasługi rozmiłowanych w swoim zawodzie gospodyń, którym życie schodzi na karmieniu najbliższych. Pouczał też, że potrawy należy spożywać w wielkim skupieniu i ze świadomością, że przy stole biesiadnym dokonuje się cud podtrzymania życia. Swoje nauki zakończył przypomnieniem, że jadło trzeba przyrządzać z miłością dla tych, którzy je będą spożywać, i ostro przywołał Maćka do porządku, gdy ten wyrwał się z niewczesnym oświadczeniem, że nie miałby nic naprzeciwno, aby się nadleśniczy „ociupinkę udławił blinami”.

Wreszcie Kiczyłło zwrócił się do Igi:

— Obserwowałem twoje ruchy przy pracy. Były to ładne ruchy. Tak trzeba zachowywać się w kuchni i przy stole. Pafnucy, wzniesiemy okrzyk: brawo, Iga!

— Brawo, Iguś! — zawołał Maciek.

— Prosiłam, żebyś nie mówił do mnie: Iguś.

— Brawo, Iguś!

— Maciek, przestań.

— Pafnucy, mnie się wydaje, że zainteresowana ma rację. Iguś to zbyt słodkie. Ja bym nie chciał, żeby ktoś do mnie mówił, Leszuniu.

— Pan jest fantastyczny — powiedziała Iga.

— Nie mów mi pan.

— Wujaszek jest fantastyczny.

— Nie mów mi wujaszek.

— Leszku, jesteś fantastyczny!

— Teraz dobrze. Mimo pewnych danych metrykalnych, których niestety nie da się anulować, należę do was.

— Taki kumpel, nie? — zawołał Maciek.

Iga zamilkła, a oni patrzyli na nią, czekając, co powie.

— Leszek? — odezwała się po chwili. — Słucham cię.

— Czy nie mógłbyś mnie przechrzcić?

— Kiedy Iga to ładne imię. Zwłaszcza dla panienki z miasta.

— Ale ja nie chcę być panienką z miasta. Kiczyłło roześmiał się, a Maciek powiedział:

— Z niej jeszcze mogą być ludzie.

— Wymyśl mi jaką fajną nazwę — prosiła Iga. Kiczyłło zamyslił się.

— Ja nie wymyślam nazw — rzekł po chwili. — Zjawiają się same. Ktoś coś zrobi, coś powie albo okaże się innym, nie takim, za jakiego go uważano, i zjawia się nazwa. Czasami aż dziw bierze — taka trafna. Znasz indiańskie imiona? Często nas śmieją, ale są to imiona dobrze charakteryzujące tych, którzy je noszą. Imię jest dla Indian sprawą wielkiej wagi. Wierzą, że kryje magiczną moc. Jeśli raz zasłużyłeś na miano orła, to przez całe życie będziesz się starał postępować jak orzeł. Mówię o imionach pozytywnych. Bo są i imiona ironiczne, przekorne, ośmieszające...

— A Pafnucy? Jakie to imię? Ośmieszające? — spytała Iga.

— Hm, dlaczego ja tego wariata nazwałem Pafnucym?

Maciek parsknął śmiechem. Lubił, gdy nazywano go wariatem.

— Uważasz, że ja nie zasługuję na żadne imię? — spytała Iga.

— Ależ przeciwnie. Jak najbardziej zasługujesz. Tylko nie miałaś jeszcze okazji ujawnić się... Ale czekaj...

Zastanowił się. Widać bardzo chciał zrobić przyjemność tej czupurnej warszawiance.

— Co byś powiedziała na Cwierciakiewiczową?

— Jak? — zawołała przerażona.

— Cwierciakiewiczową?! — ucieszył się Maciek. — Fantastyczne! Pafnucy i Cwierciakiewiczową.

— Nie, nie.

— Nie wiesz nawet, kto to był — perswadował Leszek. — To była autorka słynnej książki kucharskiej. Ponieważ ty dałaś się tu poznać jako...

— Nie, nie, błagam, nie.

— A więc dobrze, będziemy cię wołać: Rzepicha, choć miano to raczej leciwym białogłowom przystoi.

— Ciasto już wyrosło! — zawołała pani Kasicka, zaglądając pod ściereczki, którymi nakryta była misa.

Wkrótce, świeżutkie, gorące bliny znalazły się na biesiadnym stole. Z ostatnią porcją zjawiała się w komplecie trójka kucharzy i zasiadła do

zasłużonego posiłku. Powitano ich owacyjnie, nie szczędząc słów uznania.

W czasie tej kucharskiej przygody Maciek zupełnie, zapomniał o groźnych chmurach wiszących nad głową nieobliczalnego wujaszka. Toteż omal się nie udławił, gdy usłyszał pytanie pani Nowakowej.

— Panie Leszku, a pańskim zdaniem, kto jest kłusownikiem?

Kiczyłło nie wydawał się zaskoczony. Przestał jeść, chwilę się zastanowił, po czym rzekł:

— Bardzo dobrze, że łaskawa pani o to mnie pyta.

— Domyśla się pan?

— Ja się nie domyślam. Ja wiem.

— Żartuje pan.

— Ja nie żartuję.

— Więc proszę powiedzieć. Zrobił dramatyczną przerwę.

— Dobry strzelec. Wszyscy się roześmieli.

— Naliczyliśmy w okolicy dwunastu gości z wojskowym patentem strzelca wyborowego — powiedział nadleśniczy.

— Dobry strzelec, to raz — ciągnął Kiczyłło — miejscowy, dwa...

— Druga rewelacja.

— ...znający dobrze teren, obyczaje zwierzyny, zwyczaje ludzi...

— Leszek, bliny ci stygną — powiedział pan Kasicki.

— ...ktoś bardzo młody, komu śni się sława...

— Więc jednak młody — zainteresował się nadleśniczy.

— ...albo stary, który nie przestał śnić o sławie i zapragnął zdobyć ją u kresu żywota...

— W tym coś jest.

— ...ktoś, kto kocha się w niebezpieczeństwie, w ryzyku, w wodzeniu innych za nos.

— Powiedz od razu, że to ty.

— Sami musicie na to wpaść.

Zapanowała ogólna wesołość. Tylko Maćkowi i Idze nie bardzo było do śmiechu.

Kiczyłło poczekał, aż się uspokoją.

— Jasiu, wychodząc z domu, patrz pod nogi, żebyś nie nadepnął na drugą dewizową sztukę.

— Nie strasz mnie.

— Pan kłusownik bardzo się rozzuchwalił. Następnego byka zabije ci przed progiem nadleśnictwa albo w miasteczku, na środku rynku.

— Czy może pan również określić termin? — spytała śmiejąc się pani Nowakowa.

— Z łatwością: następny byk padnie jeszcze podczas pobytu państwa.

— To znaczy w ciągu tygodnia?

— Nie inaczej. On poluje dubletami. Pierwszym zabójstwem rozbudza czujność, a gdy wszystkim się wydaje, że depczą mu po piętach, zabija drugą sztukę.

— Ostatnim razem nie było dubletu — wtrącił Rzepiński, który zdawał się chłonać każde słowo Kiczyłły.

— Ale tym razem będzie — rzucił lekko niebieskooki wujaszek. — Są święta, zjechało się wszędzie mnóstwo gości, jest się przed kim popisać. A jak powiadam: pan kłusownik lubi się popisować.

— Zdajemy sobie z tego sprawę — powiedział poważnie nadleśniczy. — Postawiłem cały personel na nogi, członkowie kółka łowieckiego pomagają. Las jest stale pod obserwacją. Bardzo bym chciał, Leszku, żebyś się i ty włączył...

„On mu jeszcze prowadzenie śledztwa gotów powierzyć” — pomyślał w panice Maciek.

— Naprawdę byś chciał? — spytał Kiczyłło, obejmując potężną postać nadleśniczego rozbawionym spojrzeniem.

— Mógłbyś wiele wnieść.

— Wniosę, co tylko zdołam udźwignąć. Nadleśniczy udał, że nie słyszy ironii w głosie Kiczyłły.

— Ustaliłem dokładny chronometraż wydarzeń. Może ci się przyda. — Wyciągnął z kieszeni kartkę, rozłożył i zerkając do niej mówił dalej: — Godzina piąta trzydzieści: strzał kłusownika. Piąta czterdzieści pięć: Bolek Kubasiewicz widzi zabitego jelenia i strzela do kłusownika...

— A ty przez cały ten czas siedzisz na drzewie i łapiesz czasy na stoper — przerwał Leszek.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem; nadleśniczy bardzo się zmieszał.

— Ustaliłem to na podstawie zeznań...

— Nie gniewaj się, władco kniei, to tylko żarty. Powiedz mi lepiej, w jaki sposób, twoim zdaniem, kłusownik wymknął się z lasu.

— Nie wiem. Na skraju stało siedmiu ludzi. Nikt nie mógł wyjść z lasu nie zauważony.

— A jak byk wyfrunął?

— Obejrzelśmy beton w miejscu, gdzie leżał. Nie widać, żeby go przesuwano. Zupełnie jakby go jakiś wielki ptak uniósł do góry. Przeszukaliśmy wszystkie poniemieckie schrony, kryjówki, wszystko. I nic. Żadnego śladu, znaku, wskazówki. Nic.

— Jak w poprzednich przypadkach — wtrącił rotmistrz.

— Nie, nie, nie ma żadnego porównania — zaprzeczył nadleśniczy gorąco. — Tym razem okoliczności zniknięcia, zarówno człowieka jak i zabitej zwierzyny, są zupełnie niezwykle, przechodzące zdolność ludzkiego pojmowania. Przecież on działał dosłownie pod lufami obławy. Mało tego, pod ogniem — Bolek do niego strzela, goni go. A ten w jakiś nieprawdopodobny sposób ulatnia się wraz z bykiem.

— I podobno był ranny — wtrącił Rzepiński patrząc na Leszka.

— Właśnie!

— Czy panowie również odrzucają możliwość wywiezienia byka na furmance? — spytał pan Nowak.

— To nie wchodzi w rachubę.

— A rower?

— Też nie.

— A więc co? Helikopter? Wyrzutnia? Balon?... Maciek nadstawił ciekawie ucha: ciepło, ciepło...

— Czapka niewidka — roześmiał się rotmistrz.

I stop. Skończyło się na czapce niewidce. O latającym talerzu żadne nie wspomniało. Maciek z politowaniem pokiwał głową. Tacy są właśnie dorośli.

Gdy przyjdzie snuć śmiałe przypuszczenia, zawsze zabraknie im odwagi.

— Czy już stwierdzono, że Bartka nie ma w chmarze? — sprowadził sprawę na ziemię pan Kasicki.

— Jeszcze nie, ale Kalepa i Bolek chodzą za chmarą. Niedługo powinno być potwierdzenie.

Leszek Kiczyłło podniósł się.

— Muszę już państwa pożegnać.

— Przyjdź na obiad w niedzielę — powiedziała pani Kasicka.

— Może przyjdę, Dąbrówko. Na wszelki wypadek gdybym nie przyszedł, wesołych świąt...

Był już przy drzwiach.

— Jak moja pukawka? — rzucił od niechcienia Rzepiński.

Kiczyłło powoli odwrócił się.

—~ Twoja pukawka? — spytał przeciągle. — Dostrajam, Czesiu, dostrajam...

Jeszcze raz objął wszystkich spojrzeniem swoich bardzo niebieskich oczu.

— Nie ma więcej pytań? Nikt się nie odezwał.

Kiczyłło wyszedł. Zapadło milczenie. Przerwał je nadleśniczy.

— Nic nie mówiłeś, że dałeś mu sztucer do naprawy.

Rzepiński wzruszył ramionami.

— Czy to takie ważne?

— Dlaczego nie dałeś Kuciarze?

— Miał za dużo roboty.

— No, dzieci, pomóżcie sprzątać — powiedziała pani Kasicka wstając od stołu.

— Co robimy? — spytała szeptem Iga idąc do kuchni z naręczem talerzy.

— Rozbroimy go.

— Jak?

— Zobaczysz — powiedział i zabrał się do zmywania naczyń.

# GOTOWIŚCIE NA ŚMIERĆ?

Rozległ się dzwonek. Dopiero po dłuższej chwili Maciek uświadomił sobie, że to budzik. Śniło mu się, że jest na lekcji Równiachy i że zaraz po dzwonku ma iść do gabinetu dyrektora na rozmowę w sprawie wujakłusownika.

Wciąż mając oczy zamknięte, odrzucił kołdrę, wstał, po omacku odnalazł spodnie i zaczął się ubierać. Ojciec twierdził, że Maciek rano z zamkniętymi oczami dochodzi do przystanku autobusowego. Było to oczywistą przesadą, ale do stajni, kto wie, mogło się kiedyś zdarzyć.

Tym razem otworzył oczy już w łazience. Musi się obejrzeć w lustrze, nim zobaczy go Iga. Dłuższą chwilę poświęcił na przymiarki rozmaitych wyrazów twarzy. Zdecydował się na wyniosłą obojętność. I taki wyniosły i obojętny zaczął się wspinać po schodach. Nagle stanął jak wryty. Na najwyższym stopniu siedziała Iga, już gotowa do drogi.

— Siedzisz w łazience długo jak baba — szepnęła.

— Musiałem się chyba ogolić.

Wyszli przez kuchnię, cicho zamykając za sobą drzwi. Na wschodzie niebo już pojaśniało. Przemknęli nie zauważeni przez podwórze. W stajni nie było nikogo. Stary Kazimierski zawsze w tym czasie obchodził gospodarstwo. Słyszeli, jak pogwizdywał na psy.

Maciek zabrał się do siodłania Bumeranga, Iga zakrzętnęła się przy Roksanie. Tym razem szło jej zupełnie dobrze, nawet z dociąganiem popręgów dała sobie radę. Gorzej było z kielznaniem, Roksana umiała uciekać z pyskiem. Maciek na wszelki wypadek napelnił dwa karmiaki owsem i przytroczył do siodła, Iga przywiązała coś do swojego.

Wyprowadzili konie, Maciek zamknął wierzeje. Nikt ich nie widział, nikt nie usłyszał.

Gdy minęli zabudowania, Maciek ruszył w skok.

Idąc za przykładem Bumeranga, dzielna kłaczka natychmiast zagalopowała. Iga była przerażona, nie mogła pojąć, co się pod nią dzieje.

Wczorajsze kłopoty z klusem wydały jej się błahostką. Galop był czymś nieskoordynowanym i dzikim. Omal nie wyleciała z siodła.

Była już zdecydowana wołać o pomoc, gdy nagle spostrzegła, że ta gwałtowność ma swój rytm i wystarczy mu się poddać, aby nie odczuwać wstrząsów. Naśladując Maćka pochyliła ciało do przodu i ugięła kolana.

Lecieli przez las z chrzęstem i tętentem. Bumerang ani na centymetr nie zboczył ze ścieżki, którą setki razy przemierzał ze swym panem. Wpadli w szeroką duknę wychodzącą prosto na zagrodę Leszka. Wtedy Roksana zrównała się z Maćkowym wierzchowcem i oba konie szły łeb w łeb, jednym krokiem, chrapiąc z wysilenia.

Nagle Iga głośno krzyknęła, a w sekundę potem Maciek poczuł na twarzy muśnięcie i ogromne ptaszysko przeleciało przez duknę.

— Puchacz! — zawołał Maciek, ściągając wodze. — Słabo widzi, dzień już się robi.

Rzucił okiem na swoją towarzyszkę. Chustka przekręciła się jej na głowie, kosmyki włosów sterczały na wszystkie strony, z oczu wyzierał strach.





Parsknął śmiechem. — Ale ty wyglądasz.

Boleśnie odczuła ten śmiech. Spodziewała się pochwały, a on nawet nie zauważył, że tak wspaniale galopowała.

Nie panując już nad sobą, rozplakała się.

— Co się stało? Iga! — zawołał przerażony.

— Ja... ja galop o... ja galopo...wałam — wychlipała. Prawda! Galopowała! Wczoraj ledwie sobie dawała radę z kłusem, a dzisiaj kilometr galopowała. Maciek był zły na siebie. Jakoś tak mu się zapomniało, że Iga przecież... Dobrze, że nic się jej nie stało.

— Nawet nie spojrzalesz — łkała.

— Patrzyłem, jak słowo. Świetnie się trzymałaś. Miałem ci to powiedzieć. Chcesz, to jeszcze zagalopujemy?

— Nie chcę.

— To zakłusujemy.

— Nie będę kłusować.

Ale wreszcie zgodziła się. Starła się, jak mogła, bo cały czas na nią

patrzył.

— Dobrze. Bliżej łąki, dobrze. Dojechali na skraj lasu i wstrzymali konie.

U wylotu dukty, w odległości około pięćdziesięciu kroków, widać było dworek Kiczylły.

— Z koni!

Wprowadził wierzchowce między drzewa.

— Zostaniesz przy koniach — szepnął.

— Pójdę z tobą.

— Zostaniesz. Psy poczują obcego i będą szczekać. Kryjąc się za krzakami, puścił się ku zagrodzie.

Chciał uprzedzić psy, więc zagwizdał. Cisza. Chwilę nasłuchiwał. Skoczył ku drzwiom. Zamknięte, Leszek nie miał zwyczaju zamykać drzwi na noc.

Czyżby wyszedł? Oby tylko wyszedł bez broni! Wspiął się na rozłożysty wiąz, dostał się na dach i przez okienko wśliznął się na strych. Iga, która bezszelestnie dotarła pod sam dom, usłyszała nagle jakiś trzask i głuchy łomot.

Potem nastąpiła grobowa cisza.

Odczekała chwilę, podbiegła do drzwi i jęła w nie walić pięściami.

— Maciek! Maciek!

Otworzyło się najbliższe okno i Maciek wystawił głowę.

— Czego się drzesz?

— Co ci się stało?

— Drabina się pode mną zawaliła.

— Nie potłukłeś się?

— Co się miałem potłuc.

— Nie ma Leszka?

— Ani Leszka, ani psów, ani sztucera.

— Sztucera nie ma? Poszukaj dobrze.

— Nie ma go w skrytce, a tylko tam mógłby być. Popatrzyl w las.

— Zabrał psy i pojechał ustrzelić drugą sztukę — powiedział głosem ponurym jak noc.

Wyskoczył, przymknął okno i ruszył ku koniom.

W chwilę później galopowali na północ.

Tym razem nie wysforował się, lecz jadąc obok Igi, wspierał ją radą i dodawał otuchy. Przed Pędzichówkiem zwolnił, żeby dać odetchnąć dziewczynie i koniom. W stadninie zaczynał się już ruch, widzieli, jak masztalerze wyprowadzają ogiery na poranną przejażdżkę.

Maciek wstrzymał konia.

— Wracaj do domu.

— Ani myślę.

Minęli pusty jeszcze okólnik i sosnowym młodniakiem ruszyli w stronę ludyńskiej szosy.

— Zwolnij — poprosiła. Zaczęła sobie masować uda.

— Wracasz? — spytał.

— Nie — odpowiedziała.

Maciek skręcił w lewo, przejechali szosą z pół kilometra i obok figury Matki Boskiej Bolesnej znów wjechali w las, tym razem na prawo od szosy. Las był bardzo stary, nie ruszony siekierą, zrazu sosnowy, z wolna przechodzący w mieszany z przewagą dębów i buków, majestatyczny, z pięknym, choć jeszcze szarym po zimie poszyciem. Dumnie noszący miano dąbrowy był oczkiem w głowie nadleśniczego Jasia Chudogi, który przyprowadzał tu gości, aby im pokazać dęby pamiętające ponoć czasy insurekcji kościuszkowskiej.

Teren wznosił się łagodnie w górę, potem zaczął opadać. Droga skręciła w lewo i nagle znaleźli się na skraju rozległego trzęsawiska płowego od starych liści turzycy ściętych przez mrozy. Było to Wraże Uroczyszcze.

Nazwę tę wymyślił Maciek. Przed wielu laty biegło tędy stare koryto rzeki. Pozostała po nim niewielka strużyna, która wysychała w upalne lata. Liście morzewicy zwijały się wtedy w jeszcze ciaśniejsze trąbki, ptactwo odlatywało na okoliczne stawy. Ale na wiosnę i jesienią płynęła tu woda ciemna, lecz czysta, pachnąca korzeniami i bagnem, i Wraże Uroczyszcze pełne było życia i głosów ptasich. Przylatywały brązowe wodniki i bekas kszyc, a nawet bojowy rycyk, śmieszny ptaszek bardzo zazdrosny o władanie nad mokradłem. Przylatywały tu czasem także krzykliwe żurawie, czyniąc

spustoszenie wśród zab.

Nad uroczyszczem unosiła się mgła. Sosnowy las po drugiej stronie wyglądał jak pozbawiony pni, bliżej mgła zaczynała już rzednąć i oczom Igi ukazały się małe wysepki porośnięte uschniętą turzycą i pióropusznikiem.

Przywiązali konie do drzew.

Maciek, położywszy prawą dłoń na głównej szabli, spytał groźnie:

— „Gotowiście na śmierć?”

Tym zawołaniem z „Potopu” zaczynali w budzie, każdą drakę, obojętne, co by to nie było: bójka z ósmakami czy przesunięcie wskazówek na szkolnym zegarze. Nadawało się ono do podniesienia ducha. Umieili tę scenę z „Potopu” na pamięć.

— Stój — rzekł nagle Kmicic.

Żołnierze stanęli, a on zwrócił się ku nim.

— Gotowiście na śmierć? — spytał krótko.

— Gotowi — odpowiedzieli chórem orszańscy zabijakowie.

Iga popatrzyła na niego, szeroko otwierając oczy. Jej szczęście, że były zielone.

— „Gotowi”! — odpowiedział za nią.

Grunt był zrazu suchy, ale po kilkunastu krokach pod stopami zachlupotała woda. Skakali z kępy na kępę, z wysepki na wysepkę. Gdy skończyło się sitowie, Maciek uznał, że dalej trzeba się czołgać. Chorąży orszański musiał ustąpić miejsca wodzowi Apaczów.

Iga naśladowała go, ale niejedno miał jej do zarzucenia.

— Nie wypinaj się!

Byli na środku mokradła, gdy z pobliskiej kępy leszczyny doszedł ich cichy głos:

— Witaj, wodzu!

Maciek odruchowo przywarł do ziemi. Kiedy pod niósł wzrok, ujrzał Bolka Kubasiewicza. Siedział, trzymając dubeltówkę na skrzyżowanych nogach, z czapką nasuniętą na oczy, i przyglądał im się z żywym zainteresowaniem.

Zrobił im miejsce obok siebie na plandece. Usiedli. Maciek w milczeniu

przeżuwał gorycz porażki. Dał się zaskoczyć jak dziecko.

— Dobrze się ukryłeś — odezwał się wreszcie.

— Jak Siuks u źródeł Czerwonej Rzeki.

— Długo tu siedzisz?

— Od szóstej.

— W nocy nikt nie pilnował?

— W nocy siedział Kalepa.

— Widział pan jelenie? — spytała Iga.

— Kalepa widział. O świcie przyszedł do wodopoju. Maćkowi serce zabiło żywiej.

— Bez Bartka?

— Bartka nie widział, ale tylko trzy sztuki były. — Przyjdą jeszcze? — dopytywała Iga.

— Może wieczorem.

— Nikogo więcej nie widziałeś? — spytał Maciek. Młody gajowy zwrócił na niego senny wzrok.

— A kogo miałem widzieć?

— Tak się pytam.

Słońce weszło nad lasem i grzało ich w plecy. Maciek patrzył, jak znikają resztki mgły, odsłaniając mokradła. Kępa, na której siedzieli, stanowiła teraz idealny punkt obserwacyjny. Maciek zerknął podejrzliwie na Kubasiewicza. Nie podobał mu się wyraz jego oczu. Ta senność była udana. Bolek przyszedł rozprawić się z kłusownikiem. To jasne.

— Tylko znowu do niego nie wygarnij — powiedział nienaturalnie grubym głosem.

— Do kogo?

— Do kłusownika.

— Myślisz, że przyjdzie?

— Nawet gdyby przyszedł, to nie strzelaj. Bolek powiódł wzrokiem po skraju lasu.

— Powiadasz, żeby nie strzelać?

— Nie masz prawa. Bolek milczał.

— No, to idziemy — powiedział Maciek.

— Wiesz, że nadleśniczy nie pozwala wam łązić po lesie?

— Wiem.

— No, więc?

— Nie powiesz mu?

— Nie.

— Dziękuję.

Bolek spojrzał na Maćka.

— Po co tu przyszliście?

— Tak sobie.

— Tak sobie — powtórzył przeciągle Bolek i znów skierował wzrok na las.

— Iga chciała zobaczyć jelenie.

— Przyjdźcie przed wieczorem, to może zobaczycie.

— Może przyjdziemy. Cześć!

— Cześć!

Maciek zsunął się z kępy i jął się czołgać z powrotem w kierunku dąbrowy. Musiał utwierdzić Bolka w mniemaniu, że bawią się z Igą w Indian. Dziewczynka naśladowała każdy jego ruch.

— Maciek!... — zawołał cicho Kubasiewicz. Maciek zatrzymał się.

— Nie strzelę — powiedział Kubasiewicz. Po czym dorzucił: — I nie musicie się czołgać.

Maciek podniósł się niechętnie i ruszył ku dąbrowie. Pomógł Idze wejść na skarpe.

— Aleś się upaprała. Cała jesteś w błocie.

— Myślisz, że ty nie? Spojrzał po sobie. Jego dzinsy i sweter oblepione były błotem, które zaczęło już schnąć.

# JEDZ, WAĆPAN, PROSZĘ

Konie powitały ich rzeniem,

— Trzeba je nakarmić.

Ściągnął karmiaki i przywiązał koniom przy pyskach. Zabrały się ochoczo do jedzenia.

Iga zajęła się swoją torbą. Gdy ją otworzyła, we wnętrzu zobaczył termos i dwie paczuszki starannie zawinięte w żółte serwetki. Ona też przewidywała, że ich wyprawa może potrwać dłużej.

Większą paczuszkę podała Maćkowi.

— Pomyślałaś o żarciu — powiedział z uznaniem oglądając złożone kromki.

— To obowiązek kobiety.

Zabrał się do jedzenia.

— „Wyborny półgęsek” — zacytował chorążego orszańskiego.

A ona na to:

— „Jedz, waćpan, proszę”. Otworzył szeroko oczy.

— Ty, to jest odzywka Oleńki Billewiczówny.

— No to co?

— Skąd wiesz? Przecież nie czytałaś „Trylogii”?

— A może...

— To po co mówiłaś...

— „Jedz, waćpan, proszę”.

— „Ja bym dla waćpanny i truciznę zjadł”. Otworzyła termos i naląła mu do kubka herbaty-

— „Pij no, waćpan”.

— „Ja bym dla waćpanny i truciznę wypił” — recytował-

Roześmieli się bardzo z siebie zadowoleni. Gdy zjedli, Maciek udał, że wyciera sumiastego wąsa, i powiedział:

— Jesteś cholernie równa... I „Trylogię” czytałaś, i w ogóle.

Poszedł do koni. Oparły karmiaki o ziemię i, uginając kolana, wyjadały z dna resztki owsa. Poklepał Bumeranga po szyi.

— Dlaczego nie podtrzymujesz rozmowy? — spytał patrząc na ucho Bumeranga.

— Do mnie mówisz? — spytała Iga. — Do ciebie, do ciebie.

— Myślałam, że do Bumeranga.

— Ty wiesz, co ja chciałem ci powiedzieć? Ze jesteś inna niż wszystkie. To ci chciałem powiedzieć.

Wciąż patrzył na ucho Bumeranga,

— Słyszałaś?

— Słyszałam.

— No i co?

— Każdej to mówisz.

— Tobie pierwszej, jak słowo.

— Prawda była.

— Jak słowo... To znaczy raz tylko powiedziałem.

— A widzisz!

— Ale nie wiesz komu.

— Wcale nie jestem ciekawa. — Naburmuszona podeszła do Roksany, aby przywiązać zrolowaną torbę.

— Ewce powiedziałem,

— To leć sobie do niej.

— Ewka, to wiesz. No, co ci będę mówił. Kumpel. Teraz wiesz?

Milczała.

— Ona nie ma zielonych oczu — bąknął. Bumerang wyciągnął łeb z dyndającym u pyska pustym karmiakiem. Iga pogłaskała konia.

— Zauważyłeś?

Stali obok koni nie patrząc na siebie.

— Takie rzeczy każdy zauważy.

— Nie każdy — powiedziała smutnie. Spojrzył na nią do głębi poruszony.



— Kto nie zauważył?

— Nie ma o czym mówić.

„Kto to może być” — myślał gorączkowo. Na pewno jakiś facet, na którym jej zależy. Albo nauczycielka od polskiego. Czytał, że dziewczyny nieraz kochają się w nauczycielkach od polskiego. Ale chyba facet. Tylko kto?

A mała kokietka, jakby wyczuwając, co się dzieje w jego sercu, spytała przechylając główkę:

— Podobają ci się?

— Co ma mi się podobać? — spytał opryskliwie, bo mu się nagle wydało, że przedtem za dużo powiedział.

— No, wiesz...

— Musimy już jechać! — burknął, zabierając się do podciągania poprzęgów.

— Cieszę się, że ci się podobają — podsumowała zupełnie nie zmieszana.

Pojechali z powrotem ku szosie. Maciek skierował konie nad strugę huczącą w upuście. Zanurzyły pyski tuż przy brzegu, gdzie woda nie płynęła tak wartko. Piły długo, potem podniosły łby, ale Maciek czekał, bo wiedział, że jeszcze będą pić. Rzeczywiście, znów schyliły po chwili łby i pociągnęły jeszcze kilka głośnych łyków.

— Co robimy? — spytała Iga.

— Będziemy go szukać, aż znajdziemy.

— Gdzie?

— A ja wiem... Trzeba młodniak objechać. Objechali młodniak, zapuścili się pod Marzysz, a gdy i tam nie natrafili na ślady Leszka, zwrócili konie na południe i — jadąc drogą, którą przypuszczalnie przebyła chmara tuż-tuż przed fatalnym strzałem kłusownika — dotarli do Rojna. Myszkowali tam ze dwie godziny, zaglądali do podziemi, obeszlili lasek i drogą, przy której nadleśniczy odszukał Maćkowe ślady, ruszyli do Krzyska.

Na podwórzu wały się zardzewiałe części ciągników, magazyn zamknięty był na kłódkę. Maciek wdrapał się na stary ciągnik, aby przez kilka minut udawać traktorzystę.

Potem” dojechali do rzeki i jej brzegiem pokłusowali w stronę miasta. Maciek z daleka pokazał Idze budynek szkolny i skierował konia na Podzamcze.

Dworek Kiczyłły stał cichy jak przedtem. Gdy jednak podjechali bliżej, za drzwiami rozległo się ujadanie psów. Basowi Ralfa towarzyszył zdarty dyszkancik Tarki. Maciek spojrział porozumiewawczo na Igę. Leszek był w domu! Wjechali w podwórze. Psy ujadały coraz zajadlej.

Maciek zeskoczył z konia i podał dziewczynie wodze.

— Poczekaj tu.

Ruszył ku dworkowi. Na pukanie, prócz psów, nikt nie odpowiedział. Widocznie Kiczyłło wpadł tylko na chwilę, zostawił psy i znów się ulotnił. Maciek wlaź przez okno do środka. Sztucera w schowku nadal nie było. Nie pozostawało nic innego, jak jechać śladem Leszka.

Obszedł wszystkie dróżki i ścieżki wokół zagrody, ale nie znalazł najmniejszej wskazówki, w którą stronę udał się tajemniczy wujaszek. Zaczęli więc od trząsania pobliskiego lasu. Spłoszyli drzemiącą na gałęzi bazancicę, przepędzili dzieci, które przyszły po borowinę i będące pod ochroną wilcze łyko, ale Kiczyłły nie znaleźli.

Na Dołowatce orał stary Marchwicki. Siedział na traktorze skrzywiony, wiosną zawsze narzekał na krzyże” i ciągnął prościutką skibę pod samym lasem. Od niego dowiedzieli się, że Kiczyłło już dwa razy był na Dołowatce. Chodził za pługiem, zbierał dżdżownice i pędraki Po co — nie mówił. Drugi raz przyszedł, postął, popatrzył i poszedł. Nie wiadomo, skąd mu się nagie wzięło takie zainteresowanie orką.

Odjeżdżali już, gdy stary zawołał, że rotmistrz pytał Klich.

— Od rana was szukają.

Maciek spojrział na słońce. Przetoczyło się już nad miastem. Południe minęło — nie było ich w domu przeszło pół dnia!

Już z daleka zobaczył ojca. Stał przed stajnią z panią Nowakową i patrzył w ich kierunku. Opodał Skorupa zaprzęgał do linijki Bojarkę. Gdy zobaczył nadjeżdżających, zdjął postronki z orczyka i odprowadził klacz do stajni. Maciek zatrzymał konia.

— Boże, jak ona wygląda! — wykrzyknęła pani Nowakowa.

Zerknął na Igę. To fakt, nie wyglądała najlepiej. Nieco się przybrudziła.

— Gdzieś ty była?! Tyle czasu! — wołała pani Nowakowa. — Jak mogłaś!  
Ja tu od zmysłów odchodzę.

Maciek zanotował w pamięci ostatnie zdanie. Dobrze!

— Gdzie byliście? — spytał ojciec.

— Na spacerze.

— Na spacerze! Słyszał pan? Na spacerze!

Pani Nowakowa chciała podejść do Igi, ale Roksana rzuciła łbem i pani Nowakowa zatrzymała się przestraszona.

— Zejdź z tego konia! — rozkazała.

— Pomóż jej — powiedział pan Kasicki.

Iga zeskoczyła, nim zdążył ją pochwycić. Nogi odmówiły jej posłuszeństwa i siadła na ziemi.

Pani Nowakowa krzyknęła. Chciała podbiec do córki, ale Roksana wciąż rzucała łbem.

— Weźcie tego konia! Weźcie tego konia!

Maciek postawił Igę na nogi i zaprowadził do matki. Pani Nowakowa porwała córkę w ramiona.

— Wyczyścisz konie i za pół godziny zgłosisz się w kantorku — powiedział pan Kasicki.

Przed wizytą w kantorku Maciek wpadł do kuchni zasięgnąć u matki języka. Wieści nie były dobre. Pani Nowakowa położyła Igę do łóżka. Stwierdziła, że Iga ma rozpalone czoło i że na pewno ciężko się rozchoruje. Pani Kasicka próbowała ją pocieszać, ale pani Nowakowa powiedziała, że dobrze zna organizm swej córki, i stanowczo zażądała sprowadzenia lekarza. Pani Kasicka zadzwoniła do doktora Kowalskiego, ale żona lekarza powiedziała, że mąż pojechał od Kołowody, do chorego, i nie wiadomo kiedy wróci.

Maciek przestraszył się nie na żarty. Poszedł do kantorka, gotów w pokorze przyjąć każdą karę. Była jednak cięższa, niż oczekiwał. Ojciec zabronił mu przez tydzień siadać na konia. Maciek oczywiście ani słówkiem

nie wspomniał o szczytnych celach przyświecających wyprawie.

Po upływie dwóch godzin Iga obudziła się zupełnie zdrowa, ale jeszcze bardziej obolała. Pani Nowakowa nie domagała się już lekarza, zadowolając się zwołaniem domowego konsylium. Konsylium — złożone z pani Kasickiej i rotmistrza — było zgodne co do tego, że dolegliwości Igi zostały spowodowane długotrwałym przebywaniem w siodle. Jednakże jeśli chodzi o terapię, zarysowała się różnica zdań. Pani Kasicka radziła kąpiel w ciepłej wodzie z rumiankiem, natomiast rotmistrz był zdania, że Igę należy natychmiast wsadzić na Kluskę (Roksanie należy się wypoczynek) i popędzić ćwiczebnym galopem, to znaczy bez strzemion. Dopiero potem dać gorącą kąpiel, ale nie z rumianku, lecz z soli kuchennej. Na poparcie swej propozycji rotmistrz przytoczył kilka przykładów cudownego uzdrowienia tą metodą rekrutów w Pułku Ułanów Krechowieckich. Pani Nowakowa grzecznie podziękowała rotmistrzowi i wyraziła zgodę na kąpiel z rumianku o temperaturze pokojowej.

## **ZIELONE KŁOPOTY Z ZIELONYMI OCZAMI**

Kolacja upłynęła w ponurym nastroju. Rozmawiano na jakieś obojętne tematy. Iga w ogóle nie pokazała się przy stole. Maciek jadł w milczeniu. Dwa razy podniósł wzrok znad talerza i dwa razy napotkał spojrzenie pani Nowakowej. Żadne z tych spojrzeń nie mówiło o przebaczeniu.

Dopił herbatę, podziękował i wymknął się do biblioteki. Chciał się pokrzepić lekturą „Trylogii”. Z doświadczenia wiedział, że na stan ducha, w jakim się znajdował, najlepiej nadaje się bitwa pod Prostkami, zwłaszcza pojedynk Kmicica z księciem Bogusławem. Ale drugiego tomu „Potopu” nie znalazł na półce. Miał więc do wyboru albo wyprawę pana Nowowiejskiego po Azję, albo bitwę pod Machnówką. Zdecydował się na bitwę pod Machnówką.

Ze spuszczonego wzrokiem, uosobienie potulności, przemknął przez jadalnię. Cichego „dobranoc” nikt nie usłyszał.

Pokoik Maćka był mały, z trudem mieściły się w nim łóżko i stolik. Chłopiec zapalił światło i z gorączkowym pośpiechem jął szukać opisu bitwy. Znalazł i od razu zagłębił się w lekturze. Zaczął od miejsca, w którym do kwatery Jeremiego schodzą się „oficerowie książęcy — czarni, wychudli, z pozapadanymi oczyma, ze śladami niewypowiedzianych trudów na twarzy”.

Nie odrywając wzroku od książki, rozbierał się powoli. Nie zdążył ściągnąć jeszcze butów, gdy nagle zawołał go ojciec.

W kuchni zastał matkę, ojca i panią Nowakową.

— Upierzesz to — powiedział pan Kasicki, wręczając Maćkowi dzinsy Igi.

— Ależ on nie potrafi — zaprotestowała pani Nowakowa. — Ja upiorę.

— Potrafi, potrafi — powiedział pan Kasicki. — Tak upierzesz, żeby nie było jednej plamki.

— Na pewno będą — westchnęła matka Igi. Maciek pomyślał, że plamy to największa ozdoba dzinsów, ale nic nie powiedział, włożył dzinsy do miski z gorącą wodą, nasypał proszku i z wielką wprawą zaczął wygniatać. Woda przybrała barwę Wrażego Uroczyszczu. Umiejętność prania posiadał w czasach, gdy pani Kasicka łudziła się, że karząc go przepierkami własnej garderoby, zmusi do szanowania takowej. Ale Maciek prał i brudził, brudził i prał. Aż do momentu, gdy matka wypowiedziała słowa, które spodziewał się usłyszeć: „a rób sobie, co chcesz”. Od tego dnia pranie skończyło się i Maciek na szeroką skalę zastosował metodę wykruszania. A ponieważ nie wszystko dało się wykruszyć, więc jego spodnie nosiły ślady czołgania się po wielu ścieżkach wojennych Ameryki Północnej i po wielu polach bitewnych Rzeczypospolitej. Oczywiście mowa tu o polach bitewnych z czasów Chmielnickiego, najazdu Szwedów i zmagania z turecką potęgą.

Po czwartej wodzie dzinsy Igi przedstawiały się jako tako, więc je wyplukał, fachowo wyciągnął i powiesił na sznurku.

Wrócił do siebie. Książka leżała na stoliku, tak jak ją zostawił. Oparł łokcie na stoliku i na stojąco, pochylony, jeszcze raz z najwyższym zainteresowaniem przeczytał to, co czytał przed kwadransem.

Życie jednak wzięło tym razem górę nad literaturą, nawet Machnówka

nie pomogła — Maciek, mimo że dwukrotnie przeczytał, słowo po słowie, opis bitwy straszliwego Jaremy z młodym Krzywonosem, poszedł do matki na rozmowę. Chodził zawsze, gdy się zdarzyło coś niezwykłego, o czym musiał szczerze z kimś pogadać. Najlepiej gadało mu się z matką. Nikomu nie wspominał o tych rozmowach. Nawet ojcu, nawet Leszkowi, nie mówiąc o kolegach. Im powiedzieć! Oho! Zaraz ochrzciłiby go maminsynkiem. Tylko czekają na taką gratkę, Zastanawiał się nieraz, czy któryś z nich chodzi do matki na wieczorne rozmowy? Dżony z Kołowody może i chodzi, ale taki Dżokej? Na pewno nie! Chociaż może i Dżokej chodzi? Może wszyscy chodzą, tylko żaden się nie przyznaje?

Pani Kasicka jak zwykle czytała do poduszki. Przycupnął w końcu łóżka, podciągnął kolana pod brodę, otulając kołdrą nagie stopy. Chwilę trwało milczenie. Pani Kasicka doczytała zdanie do końca.

— No, co powiesz, synku? — spytała zdejmując okulary.

— Mamo... — zaczął i zamyślił się głęboko.

— Co, synku?

— Czy jak ja się ożenię, to ty będziesz teściową? — Oczywiście, dla twojej żony będę teściową. A dlaczego pytasz?

— Wolalbym, żebyś nie była teściową.

— Dlaczego?

— Bo z teściowej wszyscy się śmieją.

— Postaram się być taką teściową, żeby nikt się ze mnie nie śmiał. Zapadło milczenie.

— Czy coś jeszcze, synku?

— Nic.

Pani Kasicka przyglądała mu się z uśmiechem.

— Mamo...

— Tak synku?

— Czy można się ożenić i nie mieć teściowej?

— Co ty się tak dzisiaj uwzięłaś na teściową?

— Bo wiesz, mamo, ja tobym się nawet ożenił, ale bez teściowej.

Pani Kasicka zaczęła się śmiać.

— Masz jeszcze czas, żeby tym się martwić.

— Czas szybko płynie — powiedział sentencjonalnie.

Znowu nastąpiło milczenie. Pierwsza odezwała się matka:

— Widzę, że Iga bardzo ci się podoba.

— Czy ty zauważyłaś, że ona ma zielone oczy?

— Zauważyłam.

— Wiesz co, mamó? Ja dopiero teraz zacząłem zauważać, jakie kto ma oczy. Gdy zobaczyłem, że ona ma zielone. Jak to jest możliwe, żebym przed trzema laty nie zauważył, że ona ma zielone oczy.

— Wtedy może cię to nie interesowało.

— Nie rozumiem, jak mogłem nie zauważyć.

— No, ale teraz zauważyłeś.

— Mamó, czy ty wiesz, że w całym miasteczku nie ma dziewczyny z zielonymi oczami?

— I podobają ci się tylko zielone?

— Można powiedzieć, że dostałem „fijola” na punkcie zielonych oczu, jak słowo.

Spojrzał na matkę z niepokojem.

— Mamó, a ty wiesz, jakie tata ma oczy?

— Oczywiście, synku, że wiem — niebieskie.

— Wiesz jednak — odetchnął z ulgą. — Rzeczywiście niebieskie. Takie jak ja.

— Tata ma jaśniejsze. Gdy był młodszy, miał takie jak ty, ale potem mu zjaśniały.

Maciek nie odpowiedział, bo właśnie przypomniał sobie fotografię chłopca w przyciasnej bluzie, w śmiesznych, wąskich spodenkach sięgających do połowy gołych kolan. To był jego tata. I gdy tak siedział przycupnięty w nogach matczynego łóżka, zdał sobie nagle sprawę, chyba po raz pierwszy w życiu, że jego starzy też byli kiedyś młodzi. Bez bujdy! Są na to dowody. Na przykład te fotografie w starym albumie.

Fotografie z dzieciństwa jego starych były zaraz po fotografiach ich starych. Ten pierwszy rozdział albumu zamykało zdjęcie Maćkowego

dziadka, Anzelma Kiczylły. Lubił to zdjęcie, bo dziadek Anzelm trzymał na kolanach prababkę Tarki, słynną jamniczkę, miała przy obroży medal, do dziś pieczołowicie przechowywany przez Leszka. Potem następowały zdjęcia rodziców Maćka. Pierwsze były nawet dość draczone. Tata leżał w pieluszkach, jak to się mówi, rozkopany i widać było, że już wtedy miał krzywe nogi, stworzone do konnej jazdy. Mama też leżała w pieluszkach, ale grzecznie.

Na tych fotografiach z wczesnego dzieciństwa jego starzy nigdy nie byli razem i nic nie wskazywało na to, że się kiedyś pobiorą. Tak samo i na następnych. Bawili się zabawkami, siedzieli na kolanach starszych, chodzili do pierwszej komunii, mieli na rękawach szkolne tarcze, tata skakał na koniu, marna obcięta warkocze, ale zawsze byli osobno. Dopiero gdy się przerzuciło kilka środkowych kart albumu, na jednej takiej fotografii, gdzie było dużo uczennic i uczniów, starzy po raz pierwszy byli razem. Ale nie stali obok siebie, mama stała po lewej stronie — z dziewczynkami, a tata po prawej — z chłopakami. Potem było jeszcze kilka podobnych fotografii, robionych przy różnych okazjach w Pędzichówku-mieście i w Pędzichówku-wsi, jego starzy byli coraz doroślejsi, mieli coraz to innych przyjaciół i nosili ubrania z coraz bardziej wywatowanymi ramionami. No i wreszcie była fotografia pod Kolumną Zygmunta w Warszawie. Na tej fotografii widać było kawałek Kolumny i całą kupę młodzieży z Pędzichówka-miasta. Mamy w ogóle tu nie było, a tata stał obok pani Targowskiej (która wtedy jeszcze nie była panią Targowską i nosiła gruby warkocz) i zamiast patrzeć w obiektyw, patrzył na nią, co dość głupio wyglądało i o co Maciek miał do ojca pretensję.

Następne fotografie taty były z wojska, potem znów z Pędzichówka. Te z Pędzichówka były różne: albo tylko z końmi, albo tylko z ludźmi, albo mieszane: z końmi i ludźmi. Na tych z ludźmi — znów zjawiała się mama. Tata też był, ale zawsze przedzielali ich jacyś ludzie. Potem ludzi było coraz mniej, a tata i mama stali coraz bliżej siebie. I wreszcie była taka jedna fotografia, na której stali obok siebie, sami. Mama mówiła, że to jest zdjęcie z okresu narzeczeństwa. I to zdjęcie Maciek lubił najwięcej. Nawet więcej



niż fotografię ślubną.

— Mamo, czy jak ty wychodziłaś za tatę, miałaś fijoła na punkcie niebieskich oczu?

— Oj, Maciuś, idź spać, późno już — powiedziała pani Kasicka sięgając po książkę.

— Co z tego, że pójde, i tak nie zasnę.

— Zaśniesz, zaśniesz.

Był już przy drzwiach, gdy nagle coś sobie przypomniał.

— Mamo, czy ty wiesz, jakie oczy ma Ewka? Pani Kasicka ożywiła się.

— Oczywiście, że wiem. Piwne, bardzo ładne.

— Podobają ci się piwne?

— Bardzo mi się podobają.

— A jakie wolisz: piwne czy zielone?

— I jedno, i drugie są ładne — odrzekła dyplomatycznie.

— Maćka nie zadowolilo to orzeczenie, ale już nic na ten temat nie powiedział.

— Dobranoc, mamo.

— Dobranoc, synku.

Mimo uprzednich obaw — zasnął. I to prawie zaraz, gdy tylko przyłożył głowę do poduszki. Nawet światło zapomniał zgasić.

## **IGA PRZESZŁA SAMEGO PANA ZAGŁOBĘ**

Nazajutrz przed śniadaniem Maciek przechadzał się po ogrodzie, nie bardzo wiedząc, co ze sobą począć. Bez porannej przejażdżki konnej świat wydawał mu się dziwnie smutny. Doszedł do altanki, zawrócił i włókł się z powrotem, patrząc w okno na poddaszu. Firanki

wciąż były zaciągnięte. Pan Nowak przed godziną poszedł do stajni, pani Nowakowa i Iga pewnie jeszcze śpią. Miał już zawrócić, gdy nagle firanki rozsunęły się i w oknie ukazała się głowa pani Nowakowej. Uskoczył za jabłoń. Kiedy po chwili wyjrzał, pani Nowakowej już nie było.

Cichutko zagwizdał. W oknie ukazał się but Igi nasadzony na kij — chwiał się, potem zaczął podskakiwać jak w teatrze kukielkowym, uklonił się i znikł.

Maciek nie spuszczał oczu z okna. Ma smarkata pomysły, trzeba przyznać. Czekał na następny występ, ale zamiast buta ukazała się Iga, a jednocześnie dały się słyszeć kroki na schodach — pani Nowakowa schodziła do kuchni.

Maciek wspiał się na jabłoń i siadł na gałęzi. Iga otworzyła okno.

— Co jest? — spytał.

— Normalka.

— Eee, tam.

— Puszczą cię?

— Chyba nie.

— Mogę cię wykraść — ofiarował się.

— Jak?

— Spokojna głowa.

— Spodnie suche?

— Prawie suche.

— No, to wykradaj...

Na schodach rozległy się kroki, głowa Igi znikła. Usłyszał rozmowę i brzęk naczyń. Oho, śniadanie do Rzeczką. „Taka to pożyje” — pomyślał sadowiąc się wygodniej. Po pewnym czasie z okna wyleciała kulka białego papieru. Zeskoczył, odnalazł kulkę, rozwinął i przeczytał:

Co z Leszkiem?

Zrobiło mu się głupio. Zapomniał o Leszku. Ładny z niego przyjaciel! Gdzieś tam w kniei Leszek walczy z pokusą zabicia drugiego jelenia, a on tu odstawia zakochanego.

W minutę później pedałowal szosą do Podzamcza. Rzadko jeździł na rowerze, ale gdy już jechał, to jak Ryszard Szurkowski. Trzymał się w ogonie, oszczędzając siły na końcówkę. Potem zaczął przesuwać się do przodu. Wyprzedzał rywali, jednego po drugim. Rył już na czele. „Przy upuście

skoczę do przodu” — postanowił. Ale nagle przyszło mu zupełnie co innego do głowy i skręcił z szosy na beton.

Przejechał obok miejsca, gdzie, wedle relacji Bolka Kubasiewicza, leżał zabity Bartek; rozglądając się zrobił dwa ciasne kółka i wjechał w las.

Wąska, zarośnięta ścieżyna prowadziła do podziemnych magazynów Luftwaffe. Dziś było to rumowisko porośnięte krzakami dzikich malin. Przy ruinach schodów wiodących do głównego magazynu ścieżyna urywała się. Zszedł z roweru i, prowadząc go, zagłębił się w gąszcz. Wolno przedzierał się między krzewami, potykając o cegły i kawałki betonu. Gdy dotarł do niewielkiego wzgórza, gęsto zarośniętego paprocią i zetlałym po zimie mchem, rozejrzał się uważnie. Nie mógł się pozbyć wrażenia, że jest obserwowany.

Oparł rower o pień karłowatej sosny i przyklękawszy, zabrał się do odwalania kamieni. Po chwili ukazał się ciemny otwór. Jeszcze raz rozejrzał się, potem — chwytając za żelazny uchwyt — spuścił się na dół. Zapalił zapalną. Wysoko sklepiona piwnica, częściowo zasypana gruzem, była zupełnie pusta.

Tę piwnicę odkryli z Leszkiem przypadkowo, zapuściwszy się w las za pięknym motylem żałobnikiem. Kiedy jechał na rowerze, przyszło mu nagle na myśl, że Leszek właśnie tu ukrył byka.

Ale już przy trzeciej zapalce z całą pewnością mógł stwierdzić, że byka tu nigdy nie było.

Zapalka dopaliła się. Rzucił ją na ziemię i ruszył ku wyjściu. Zobacz! nad sobą zachmurzone niebo, namacał stopą duży głaz, wspiął się nań i, chwytając znów za żelazne uchwyty, wydzwignął się w górę. Wynurzony do pasa, mrużąc oczy, rozejrzał się wokoło. Wzrok jego padł na sosnę, przy której zostawił rower.

Roweru nie było!

Poczuł, jak włosy jeżą mu się na głowie.

Usłyszał z tyłu szelest, obejrzał się, w odległości dwóch kroków zobaczył czyjeś nogi w gumowych butach. Błyskawicznie spuścił się z powrotem do piwnicy. Nie zdążył jeszcze uczynić kroku, gdy ktoś, zsuwając się tuż za nim,

zasłonił otwór. Uskoczył w ostatniej chwili. Widział przed sobą ogromną sylwetkę nieznanego, słyszał jego oddech i bicie własnego serca. Sylwetka stawała się coraz wyraźniejsza.

— Masz zapalniczki? — spytał znajomy głos.

— Czesiek! — ucieszył się.

— Masz zapalniczki? — powtórzył twardo Rzepiński, Wyciągnął pudełko. Rzepa odnalazł w ciemnościach jego rękę. Płomyk zapalniczki rozświetlił jego głęboko osadzone oczy i rondo myśliwskiego kapelusza. Rzepiński ruszył w głąb piwnicy.

— Nie próbuj uciekać — rzucił za siebie.

— A dlaczego miałbym uciekać?

Rzepa obszedł piwnicę, po czym wrócił i zapaliwszy jeszcze jedną zapalniczkę, oświetlił twarz chłopca.

— Co tu robisz?

— Byka szukam.

— Chyba go tu nie schował.

— No i co?

— Chyba nie — zgodził się Czesiek. Zapalniczka zgasła. Rzepiński nie zapalił nowej.

— Myślałem, że szukasz kłusownika — powiedział.

— Kłusownika też szukam.

— No i jak ci idzie?

— Jak krew z nosa.

— Trafiłeś na ślady?

— Nie.

Rzepiński zwrócił mu zapalniczki.

— Dawno znasz tę dziurę?

— W zeszłym roku odkryliśmy ją z Leszkiem — pochwalił się Maciek i zaraz pomyślał: „Niepotrzebnie wspomniałem o Leszku”.

— Współdziałał z nim?

— Z kim?

— Z Leszkiem. Wie, że tu jesteś?

— Nie.

— Na pewno?

— Na pewno.

— Nikt nie wie?

— Nie.

Nastało milczenie. Maćkowi zrobiło się niewyraźnie.

— To niedobrze — powiedział po chwili Rzepiński.

— Dlaczego?

— Gdyby ci się coś stało, nie wiedzieliby, gdzie cię szukać.

Maciek nie odpowiedział. Mierzył wzrokiem odległość do wyjścia. Odbije się od tego głazu, chwyci za pręty i już jest na wierzchu.

— Musimy ze sobą współdziałać — powiedział Rzepiński.

Maciek odetchnął.

— Inaczej będziemy się dublować. Tak jak dzisiaj.

— Leśniczy zabronił nam łązić po lesie.

— Bzdura — rozstrzygnął kwestię Rzepa. — Zresztą wyjechał.

— Wyjechał? Niemożliwe?

— Dziś rano. Miał telefon z Warszawy Podobno na Mika dni... No co?

Zgoda?

— Zgoda. To co mam robić?

— Porozum się ze mną zawsze wieczorem, to rozdzielimy zadania.

— Fajno — powiedział ochoczo Maciek, bo pomyślał, że współdziałając z Cześkiem, będzie trzymał rękę na pulsie śledztwa.

— Myślę, że nie będziemy długo szukać — powiedział Rzepa.

Maciek zamarł.

— Wiesz coś? — wyjąkał.

— Trzeba będzie przypilnować Bolka.

— Zwariowałeś?

— Jest u mnie na liście podejrzanych.

— Bolek? To niemożliwe.

— W jego zeznaniach wiele się nie zgadza.

— On lubi nawijać, ale...

— Mówił, że widział kłusownika na rowerze. Przeszukaliśmy teren: nigdzie śladu po rowerze. Mówił, że widział zabitego Bartka: nigdzie śladu po Bartku.

— Ale był.

— A może go nie było?

— Przecież leżał na betonie.

— A może nie leżał?

— Myślisz, że kłusownik postrzelił go tylko? — Myślę, że w ogóle do niego nie strzelał. Maćkowi odebrało mowę. Ale tylko na chwilę.

— Przecież posoka mu poszła — przypomniał — z litr posoki było na betonie.

— Czyjej?

— Jak to: czyjej?

— A jeśli z wieprzka?

— Jakiego wieprzka?

— Mało wieprzków bili przed świętami?

— Sądzisz, że Bolek...

— Tak trudno przynieść w garnku?

— Ale po co miałby...

— Po to, żeby narobić szumu wokół siebie. Przecież teraz o nikim innym się nie mówi tylko o Bolku Kubasiewicz. Moim zdaniem nie strzelał do żadnego kłusownika. A wiesz dlaczego? Dlatego, że tam nie było żadnego kłusownika. Wszystko to być może jedna wielka bujda. Bolek strzelał w powietrze, a potem nałgał, ile wlaźło.

Maćkowi przypomniał się bandaż na ramieniu Leszka. Niestety, Czesiek myli się, Bolek strzelał do kłusownika. I trafił. Niegroźnie, ale trafił.

— To są tylko moje przypuszczenia — mówił dalej Rzepiński. — Zresztą niedługo stwierdzimy, czy Bartek żyje, czy nie.

— A jeśli nie żyje?

— Jeśli nie żyje, to znajdziemy tego, kto go zabił. Na mojej liście podejrzanych mam jeszcze parę nazwisk.

— Na przykład?

— Za dużo chciałbyś wiedzieć.

— Powiedz tylko, kto jest na pierwszym miejscu.

— Nie ty.

Rzepiński odwrócił się i zręcznie wydostał się z podziemia. Maciek wylazł za nim. Oślepiło ich światło dnia.

— Tam masz swój rower.

Maciek ruszył we wskazanym kierunku.

— Dokąd teraz jedziesz? Maciek zatrzymał się.

— Nie wiem jeszcze... — powiedział z wahaniem.

— Jak spotkasz Leszka, to powiedz, żeby się ze mną porozumiał. )

— Dobra. Zostajesz tu?

— Jeszcze się trochę rozejrzę.

— Cześć.

— Cześć. Bądź ze mną w kontakcie!

— Dobra.

Wyprowadził rower na ścieżkę.

Skręcając na szosę, obejrzał się — między drzewami mignęła sylwetka Rzepińskiego. A więc Czesiek jechał za nim! To, co mówił o współdziałaniu, to była mowa-trawa. Siedzi Maćka, myśli, że smarkacz naprowadzi go na jakiś ślad, podejrzewa widać, że Maciek coś wie. A może Rzepa się domyśla, kto jest kłusownikiem? Trzeba wykombinować jakiś fortel i wyprowadzić Czeška w pole.

Na Podzamczu Leszka nie było. Sztucera także nie. Maciek wracał do domu na skróty. Jechał wolno pogrążony w myślach. Nagle spostrzegł klucz żurawi. W jednej chwili zapomniał o wszystkim. Zaprzętało go tylko jedno: usiądą czy nie usiądą? Od lat czekała na to cała okolica. Gdy pod koniec marca rozlegał się w górze krzyk żurawi, ludzie wybiegali z domów i patrzyli, jak klucz zatacza koło nad Wrażym Uroczysszczem, jak się rozprasza i spiralnie schodzi do lądowania. Wtedy wszystkich ogarniała radość, ale nie wolna od niepokoju. Żurawie przecież prawie każdej wiosny nocowały na Uroczysszczu, a skoro świt, odlatywały dalej na północ.

I teraz odleciały. Zatoczyły koło i skierowały się na północ. Nawet nie

siadły. Może zobaczyły Kubasiewicza albo Kalepę? Żuraw wszystko zobaczy z góry, najmniejszy przedmiot, a cóż dopiero gajowego na czatach. Gdyby zostały, dopiero by się Leszek ucieszył. Wierzył, że się osiedlą. „Nadejdzie dzień — mówił — że siądą na Uroczyszczu i zostaną do jesieni. Następnego roku przylecą ponownie i odtąd już zawsze będą przylatywać”.

Gdy Maciek dojeżdżał do zabudowań pegeeru, usłyszał strzały. Ktoś walił ze sztucera. Mocniej nacisnął pedały.

Już z daleka ujrzał szkółkę na maneżu. Najspokojniej kłusowali w kółko. Rotmistrz siedział na barierze i przyglądał się jeźdźcom. Czasami coś pokrzykiwał.

Maciek podjechał do niego.

— Co weźmiesz, Bumeranga czy Trepaka? — spytał rotmistrz.



— To pan nie wie? Ojciec spieszył mnie na tydzień.

— Leszek wszystko odkręcił.

— Leszek? Co powiedział?



— A spytaj go. Uczy tam Igę.

Maciek z ociąganiem ruszył we wskazanym kierunku. Za szopą ujrzał Leszka ze sztucerem przewieszonym przez plecy. Był zwrócony tyłem do Maćka i musztrował Igę kłusującą w kółko na Roksanie.

Maciek zrobił jeszcze kilka kroków i wtedy zobaczył Rzepińskiego, który stał pod szopą wsparty na siodełku roweru.

— Kto strzelał? — spytał Maciek.

— Leszek. Wypróbowywał moją pukawkę — odparł Rzepa.

— No i jak?

— Jeszcze niedobra. Maciek zastanowił się chwilę.

— Zostawiasz mu?

— Musi podszykować.

— Jeszcze zgubi...

Rzepiński zwrócił wzrok na Maćka.

— O co ci chodzi?

— Mnie? O nic.

Rzepiński przyjrzał mu się uważnie, po czym bez pośpiechu wsiadł na rower i odjechał w kierunku szosy.

— Trzymaj ją w łydkach! — wołał Kiczyłło do Igi. — Niech wie, że idzie pod jeźdźcem. Wodze skrót! Cały czas jedź na kontakcie.

Kiedy Maciek podszedł, Leszek, nie przerywając instruktażu, położył mu rękę na ramieniu. Kolba sztucera dotknęła Maćkowego łokcia. Łakomie zerknął na broń. Znał ją dobrze. Gdy zachodził do Ewki, Rzepa nieraz dawał mu sztucer do ręki.

A może poprosić Leszka, żeby dał potrzymać? I zwiać? Alę co z tego? Daleko nie ucieknie.

— Hej! — zawołała Iga podjeżdżając.

— Hej! — odpowiedział. Pokazał oczami na sztucer.

— Leszek zupełnie zawojował mamę — mówiła jakby nigdy nic. — Pozwoliła mi jeździć. Ty też możesz. Podziękuj mu.

— Dziękuję, Leszku.

— Nie ma za co. Widzisz, jak ona jeździ?

— Moja szkoła — stwierdził Maciek i zwrócił się do Igi: — Jak się czujesz?

— Kapitalnie.

— Nie boli?

— Coś ty!

— Iga, dosyć na dzisiaj — powiedział Leszek. — Do stajni maaarsz!

— Jeszcze chwilę. Miałeś mi pokazać, jak zagalopować.

— No, to z konia.

Iga zręcznie zeskoczyła na ziemię. Podała wodze Leszkowi. Miał już dosiąść Roksany, gdy powiedziała:

— Ze sztucer em będzie ci niewygodnie.

— Racja. — Podał sztucer Idze. — Nie bój się, nie nabity.

— Nie boję się.

„Co ona teraz zrobi? — zastanawiał się gorączkowo Maciek. — Na pewno zwieje, wariatka!”

— Czy mogę go postawić pod szopą? — spytała Iga. „Beznadziejna” — pomyślał Maciek zniechęcony.

— Oczywiście — przyzwolił Leszek i lekko wskoczył na siodło. — Tylko żeby nie upadł.

— Nie upadnie — powiedziała Iga i oparła sztucer o ścianę szopy.

Ale nie tam, gdzie miała najbliżej, tylko o parę metrów dalej, tuż przy samym węgle. A za węglem ściana była niewidoczna dla kogoś, kto robił kółka przed szopą. O rany, ale cwaniara!

— No, na co czekasz?! — usłyszał szept Igi. Ocknął się.

— To ja lecę po Bumeranga! — zawołał. — Leszek, jeszcze raz dziękuję, żeś odkręcił u taty.

— Myślę, że się odwdzięczysz!

— Możesz na mnie liczyć! — powiedział Maciek, wskoczył na rower i ruszył w stronę stajni.

Obejrzał się. Leszek stracił go już z pola widzenia. Pchnął rower w krzaki i biegiem puścił się z powrotem wokół szopy. Przywarł do ściany.

Od drugiego końca szopy dochodził podniesiony głos Igi:

— Ja się nigdy tego nie nauczę. Pokaż jeszcze raz.

Słyszał tętent Roksany zataczającej w galopie kółko przed szopą. Gdy tylko tętent zaczął się oddalać, wyciągnął rękę i porwał sztucer. Biegł schylony, kuląc się pod ścianami budynków. Wpadł do stajni, chwycił kawał szmaty, owinał nią zamek i wsunął sztucer pod żłób Kory. Tu nie będą szukać!

Gdy podjechał na Bumerangu pod szopę, Kiczyłło stał we wrotach i rozglądał się bezradnie.

— Maciek, nie widziałeś, kto zabrał sztucer?

## **PANI KASICKA NIEPOKOI SIĘ STANEM SYNOWSKIEGO SERCA**

Jako osoba nie pozbawiona cennego daru dostrzegania własnych słabostek, pani Kasicka wnet się zorientowała, że — po wieczornej rozmowie z Maćkiem na temat zielonych oczu — jej stosunek do Igi nieco się zmienił. Powiedzieć, że stał się niechętny, byłoby przesadą, ale na pewno można było się w nim doszukać owej czujności i odrobiny podejrzliwości, z jaką niektóre matki spoglądają na zalotne osóbkę zdradzające chęć zawładnięcia sercami ich synów. I to bez względu na wiek zdobywającej i zdobywanego.

Pani Kasicka w skrytości ducha, śmiejąc się trochę z samej siebie, upatrzyła już kandydatkę na dziewczynę Maćka. Tą kandydatką była Ewka Rzepińska.

Pani Kasicka uważała Ewkę za bardzo dobre dziecko. W jej mniemaniu było to pojęcie bardzo rozległe, „Dobroć” Ewki polegała nie tylko na prawdomówności i uczynności, ale również na umiejętności przyrządzania potraw, za którymi przepadał Maciek. W tym ostatnim można się było doszukać niemałego, aczkolwiek dyskretnego udziału samej pani Kasickiej. Za jej to chyba inspiracją w małym domku przy ulicy Miłej 17 w

Pędzichówku, gdzie mieszkała Ewka ze swoją niedołęzną babką i bratem Czesławem, zaczęły się pojawiać potrawy, od lat będące podstawą menu w domu państwa Kasickich, jako to: bliny, barszcz ukraiński oraz ulubiony deser Maćka — kruche ciasto z rabarborem. O jagodach z kremem pani Kasicka też nie zapomniała.

— Ewciu — mówiła — gdy będziesz podawała Czesiowi na deser jagody, to koniecznie z waniliowym kremem. Zobaczysz, jak mu będzie smakowało.

Niezależnie od tej kulinarnej suflerki pani Kasicka nie mogła nadziwić się praktyczności małej gospodyni Ewka, której rodzice zginęli tragicznie w wypadku samochodowym, samodzielnie prowadziła gospodarstwo, godząc zajęcia domowe ze szkołą i jazdą konną, „Ze świecą szukać drugiej takiej dziewczyny” — mawiała pani Kasicka i serce jej rosło na widok przyjaźni syna z owym ideałem. Aż tu nagle zjawia się Iga i Maciek traci głowę.

Sposobności do obserwowania Igi, i to także przy czynnościach gospodarskich, do których przykładała tak wielką wagę, miała pani Kasicka sporo. Dzieci od chwili wykradzenia sztucera prawie nie opuszczały domu, pilnie jej pomagając.

W czysto wyszorowanej kuchni smakowicie bulgotał na małym ogniu ogromny sagan bigosu. Po całym domu rozchodził się zapach angielskiego ziela, bobkowych liści i kapuścianego kwasu. Tradycyjna potrawa, bez której nikt w Pędzichówku nie wyobrażał sobie świąt, była już od kilku dni gotowa, dziś bigos należało znów podgotować i wkroić doń wędzoną na jałowcu kiełbasę.

Przy kuchennym stole w skupieniu pracowali Maciek i Iga. Krajanie mięsa do bigosu, na wielkiej dębowej desce, stanowiło ulubione zajęcie Maćka. Pokazał Idze, jak się trzyma długi rzeźnicki nóż, jak się kraje kiełbasę, najpierw wzdłuż, potem w poprzek, pilnował, żeby krajała w zgrabną kostkę. W ogóle grał rolę kuchmistrza i rządził się niczym Leszek przy blinach. Iga posłusznie spełniała polecenia, ale gdy przyszło do wrzucenia pierwszej partii pokrajanego mięsiwa, uparła się, że sama to zrobi.

Pani Kasicka, krążąca między kuchnią a jadalnią, dokąd cały

Pędzichówek znosił swoje święcone, była świadkiem tej sceny i od razu pomyślała sobie, że Ewka na pewno nie upierałaby się przy wrzucaniu mięsiwa do bigosu, wiedząc, jak to lubi robić Maciek. Nic jednak nie powiedziała, tylko wymieszawszy bigos ogromną chochlą, pobiegła do jadalni, bo właśnie przyszła pani Kaczmarczykowa z córką Zosią, koleżanką Maćka z klasy i ze szkółki jeździeckiej. Przyniosły one ogromną donicę tak pięknie udekorowanego święconego, że pani Kasicka, wróciwszy do kuchni, posłała Maćka i Igę, aby zobaczyli arcydzieło sąsiadki.

Jadalnia przedstawiała niezwykle widok. Na stole stało święcone państwa Kasickich, na których przypadła kolej udzielania gościny obrządkowi poświęcenia. Jak na gospodarzy przystało, wyłożyli na stół wszystko, co mówiło o rozmachu wielkanocnych przygotowań i zasobności spiżarni. W środku stał baranek z nieco wyblakłą chorągiewką, tuż za barankiem, na wielkim półmisku, brązowało pieczone prosię z pisanką przemyślnie umieszczoną w pysku, pięknie przyozdobione jarzynami i barwinkiem. Wokół prosięcia stały wszelakie ciasta: mazurki polane czekoladą i szamerowane generalskim wężykiem z lukru, strucle z makiem i powidłami, babki różnych wielkości i kształtów, a wszystkie pięknie wydarzone. Na pobrzeżach stołu ciągnął się pas mięsów. Kilka bukietów świeżych fiołków odcinało się od śnieżnej bieli obrusa. Wokół stołu, na ławach, taboretach i krzesłach, leżało święcone sąsiadów, pięknie ułożone w misach, koszykach i donicach. Mimo że okna były otwarte, bo dzień zrobił się ciepły, w nozdrza bił zapach czosnku.

Pan Kasicki nie lubił zaglądać do rondli, ale dla bigosu, tej prawdziwie męskiej zakąski, niezastąpionej pod domowe nalewki, robił wyjątek i własnoręcznie go przyprawiał, bądź to wlewając szklaneczkę porzeczkowego wina, bądź też dorzucając parę łyżek śliwkowych powideł. I teraz posmakowawszy, orzekł, że czegoś brak, ale za wcześnie na ostateczną diagnozę, bowiem wędzona kiełbasa, dająca smak jałowca, jeszcze się nie wygotowała.

— W każdym razie trzeba i to wkrajać — powiedział wskazując na resztę kiełbasy.

Ale pani Kasicka miała głowę zaprzątniętą czym innym.

— Zauważyłeś, jakie Iga ma ładne oczy?

— Iga?

— Iga.

Pan Kasicki jął szukać w pamięci czworonoga o imieniu Iga, a nie znalazłszy spojrzał surowo na małżonkę.

— Chodzi ci zapewne o Ignisa, podpalanego dwulatka?

— Nie o Ignisa, lecz o Igę, Igę Nowakównę. Zauważyłeś, jakie ma ładne, zielone oczy?

Pan Kasicki uśmiechnął się.

— Matka, rzeknij no, o co ci chodzi.

— Maciek powiedział, że dostał fijoła na punkcie zielonych oczu.

— Co dostał? Fijoła?

— To znaczy, że się zakochał.

— E tam, dzisiaj zakochał się w Idze, a jutro zakocha się w dwulatku Ignisie — machnął ręką pan Kasicki i ruszył ku wyjściu.

W drzwiach zderzył się z Igą. Po raz pierwszy przyjrzał się jej uważnie.

— No, jak Roksana niesie? — zagadnął.

— Doskonale.

— Lepiej niż Kluska?

— O niebo lepiej. Uśmiechnęli się do siebie.

Pan Kasicki miał już odejść, gdy nagle Iga zatrzymała go.

— Proszę pana, chciałabym o coś spytać.

— Słucham.

— Czy są jakieś nowiny o kłusowniku?

— Nie ma nic nowego.

— A podobno w Pędzichówku był dzisiaj milicjant.

— A był, komendant Rajewski.

— Pewno szukał sztucera, który wczoraj zginął Leszkowi?

— Nie, nie. Chciał się dowiedzieć, jak się przycina róże.

— I nie pytał o sztucer?

— O ile wiem, Leszek nie składał meldunku na milicji.

— A dlaczego?

— Uważa, że ktoś mu zrobił kawał i prędzej czy później sam odda.

— Dziękuję panu — dygnęła.

Jeszcze raz uśmiechnęli się do siebie i pan Kasicki pośpiesznie zrejterował do stajni, gdzie mimo całej złożoności problematyki końskiej nie czekały go tak skomplikowane zadania, jak ustalenie przyczynowego związku między zielonymi oczami miłej panienki z Warszawy a sercem syna.

# O TYM, JAK MACIEK WYPOWIEDZIAŁ WOJNĘ MYŚLIWYM

Pierwsze wybuchy rozległy się o świcie. Przed szóstą kanonada wzmogła się, aby z rozpoczęciem rezurekcji osiągnąć szczyt. Panią Kasicką ogromnie denerwowały te huki. Ze zgrozą wspominała wypadek sprzed kilku lat: wybuch kalichlorku urwał rękę synowi Kazimierskiego. W ubiegłym roku też niewiele brakowało, aby kogoś poraniło. Maciek przysłuchiwał się tym hukom z pewnym rozrzewnieniem, chwalił sobie bowiem lata, gdy był za pierwszego kanoniera. Ale teraz już nie wypadało. Strzelać z kalichlorku — to dobre dla dzieci!

Nieobecność Leszka Kiczyły, który nie pokazywał się od piątku, zwarzyła nieco humory. Spodziewano się, że jego dziwaczenia podniosą atrakcyjność świątecznego obiadu. Ale gdy pani Kasicka poprosiła gości do stołu, humory poprawiły się od razu. Apetytu nie odebrała im nawet opowieść Skorupy o tragikomicznym pojedynku, jaki w Wielką Sobotę stoczyli marzyszański kowal i jego szwagier. Skuszeni widokiem święconego, wyposzczeni po Wielkim Piątku, założyli się, który zje więcej jaj na twardo, i to bez popijania! Szwagier, doszedłszy do dwudziestu siedmiu, musiał wycofać się z konkurencji na skutek dokuczliwej czkawki, natomiast kowal osiągnął imponujący wynik — trzydziestu czterech jaj! Skutki szlachetnej rywalizacji były dla obu oplakane. W nocy musiano wzywać pogotowie. Rywale są w tej chwili na ścisłej diecie i pewnie z wielką i zrozumiałą zazdrością spoglądają na rodzinę z zapalem pałaszującą świąteczne przysmaki. Maciek pochylił się ku Idze.

— Najpierw będzie o żarciu, a potem o polowaniu.

I rzeczywiście, gdy panie wymieniły między sobą poglądy na temat przyrządzania rzadkich potraw, przyszła kolej na opowieści myśliwskie. Maciek słuchał ich z pewnym zniecierpliwieniem, bowiem i on miał w



zanadrzu parę perełek i tylko czekał sposobności, aby nimi błysnąć. Chociażby tą historią o kuzynku.

Zdarzyło się to cztery lata temu. Przyjechał na Boże Narodzenie daleki kuzyn pani Kasickiej. Kuzyn miał myśliwskie ambicje. W dzień Wigilii, jakoś tak zaraz po śniadaniu, do jadalni wpadł Maciek wdając: „Zając w ogrodzie!” Kuzynek za dubeltówkę i na ganek. „Gdzie?” „Tam”. Rzeczywiście! Zając stoi słupka i ani drgnie. Nie namyślając się, kuzynek wygarnął z jednej lufy, poprawił z drugiej. Zając fajt! Maciek przezornie wycofał się do sieni, a kuzynek, tonąc w głębokim śniegu, skoczył po zdobycz. Podnosi w triumfie... Ale co to? Zając lekki jak piórko i już sztywny. Kuzynek przygląda się uważniej i cóż widzi? Z rozerwanej śruciną skóry wygląda wiecheć słomy. Śmiechu było co niemiara. Wypchany szarak był niezbyt udanym dziełem Maćka, który nie miał nawet ambicji, aby dorównać Skorupie, mistrzowi w sztuce wypychania niezrównanemu.

Po Maćku głos zabrała pani Nowakowa. Kto by się spodziewał? I ona miała przygodę łowiecką. Przed kilku laty, gdy Iga była jeszcze malutka, pan Nowak pojechał na zające we Włoszczowskie, do nadleśnictwa Przygradów. Towarzyszyła mu młoda żona. Pan nadleśniczy, adorator płci pięknej, zaprosił panią Nowakową na swoje stanowisko, pragnąc popisać się celnością strzałów. Jakże przyszło mu żałować swej kurtuazji. Rozległy się głosy kołatek, pędzone zające pognały na linię strzałów, ale pan nadleśniczy nie strzelił ani razu, bo piękna pani uwiesiła się u jego ramienia, błagając o litość dla szaraków.

— Bo one takie były biedne — tłumaczyła teraz rozbrajająco.

— Brawo, mama! — zawołała Iga i zaczęła klaskać. Klaskał i Maciek, bo on także miał podobną historię na sumieniu.

Gdy Leszek Kiczyłło definitywnie zamienił flintę na aparat fotograficzny i lornetkę, jego adiutant i uczeń, Maciek Kasicki, postanowił zlikwidować polowania w całej okolicy. Zaczął od umieszczania na drzewach odezwywających do zaprzestania zabijania ptaków i zwierząt. Ale słowo nie poskutkowało. Trzeba było znaleźć inny sposób.

Nadszedł czas polowań na dzikie kaczki. Ulubionym miejscem

myśliwych był południowy brzeg Wiszowa tego Stawu. Kryli się tam w trzcinie, a Skorupa z północnego brzegu płoszył kaczory. Zrywały się z głośnym łomotem i dążąc stałym ciągiem na Porohy (tak Maciek ochrzcił południową odnogę stawu), przelatywały nad głowami myśliwych, stanowiąc łatwy cel. Na środku stawu, mniej więcej naprzeciwko stanowisk myśliwych, było kilka zarośniętych trzcinami wysepek nazwanych przez Maćka archipelagiem Boa-Boa.

Któregoś dnia Maciek długo przyglądał się polowaniu. Popatrywał w stronę wysepek, potem przenosił wzrok na stanowiska myśliwych i wreszcie, mrużąc oczy, spoglądał na słońce. Skorupa płoszył, myśliwi strzelali, a kaczki spadały na wodę jak groch. Zebrali całe ich pęczki i poszli do domu.

Wtedy Maciek zwrócił się do kolegów razem z nim obserwujących tę masakrę: „Ma który lusterko?” Dżony miał. Maciek posłał ich na południowy brzeg. Poszedł Dżony, Zbynio Mucha i Bolek Ciećwierz, wszyscy trzej z kółka miłośników przyrody. Odnaleźli w trzcinach ślady po gumiakach nasiąkłe wodą. Zaczaili się w tych samych miejscach, co myśliwi. Maciek z lusterkiem w zębach przepłynął na jedną z wysepek. Po chwili świetlny zajaczek zaczął wędrować po trzcinach, szukając „myśliwych”. Odnalazł Dżonego i tak go oślepił, że łzy zakręciły się chłopcu pod powiekami.

Przez kilka następnych dni ćwiczyli na trzy lusterka równocześnie. Sztukę oślepiania doprowadzili do perfekcji. Zajaczki trzymali utajone nisko na ścianie trzcin, a potem błyskawicznie zwiększali kąt lusterek.

Nadszedł Ważny Dzień.

W trzcinach zaczęła się znakomita trójka myśliwych: rotmistrz, Czesio Rzepiński i sam nadleśniczy, po wycofaniu się Kiczyły — trzy najlepsze strzelby w okolicy. Przyszli po południu, gdy słońce zaczęło się przetaczać na zachodnią część nieba.

Trzej oślepiacze przepłynęli cicho na wysepkę. Za sobą słyszeli człapiącego po bagnach Skorupę, przed nimi wśród trzcin majaczyły twarze myśliwych. Ustawili lusterka — zajaczki zadygotały na trzcinie. Skorupa hałasował coraz bliżej. Z ciężkim łopotem zerwał się kaczor. Z trzcin błyskawicznie uniosła się lufa dubeltówki — prawie w tej samej chwili

Maciek zwiększył kąt. Zajączek błysnął i rotmistrz (on to był bowiem) dostał pod powiekę nieoczekiwany zastrzyk z ultrafioletu. Strzał nie padł. Lufa zniknęła w trzcinie. Kaczor przeleciał nisko nad stanowiskami myśliwych i bezpiecznie zapadł na Porohach. Chłopcom chciało się tańczyć z uciechy.

Podrywają się trzy kaczki. Z trzciny wyskakują trzy lufy! Trzy zajączki biją w oczy myśliwym. Trzy pudła! Znów kaczory. Znów pudła. Czesio ma dosyć. Pospiesznie wynosi się z trzciny. Rotmistrz i nadleśniczy zostają. Walą do każdej kaczki. Same pudła. Pudła! Pudła! I nadleśniczy daje za wygraną. Rejteruje przed zajączkami. Jeden rotmistrz został. Wziął się na sposób. Po każdym strzale zmienia pozycję. Chce ich zaskoczyć: w ostatnim momencie wychyla się i łup do kaczora. Zajączki biegają po trzcinie jak zwariowane. Walka staje się coraz bardziej zacięta. Rotmistrz wali, śrucina leci chłopcom na głowy...

Tu Maciek przerwał swoją opowieść i zerknął na rotmistrza. Bo naprawdę to było trochę inaczej — myśliwi od razu się zorientowali, kto i skąd ich oślepia, i żeby nie razić chłopców śrutem, strzelali w bok. Ponieważ i tym razem rotmistrz przemilczał ten szczegół, więc Maciek podjął opowiadanie.

Rotmistrz wali, śrucina leci im na głowy, a oni oślepiają. Kaczka — zajączek — pudło. Kaczka — zajączek — pudło! Zabawa nie z tej ziemi! Maciek tak się w niej zatracił, że nie zauważył, jak na wysepkę wylazł Czesiek Rzepiński. Dopiero gdy tamten uchwycił za kark Dżonego i Ciećwierza, porwał się Maciek do ucieczki. Rzucił się w bok, prosto w otwarte ramiona nadleśniczego. W ostatnim momencie zdołał nieco zmienić kierunek i nadleśniczy zdążył tylko przyłożyć mu w goły pośladek. Maciek dał nura do wody i tyle go widzieli.

Wieczorem całą klasę poprowadził na nadleśnictwo. Nadleśniczy drożył się i stawiał warunki, ale wreszcie wypuścił więźniów, Dżonego i Bolka. Na tym jednak nie koniec.

Na drugi dzień nadleśniczy przyszedł ze skargą do szkoły. Powiadomiony już o zajściu Tuhajbej cały w uśmiechach poprowadził gościa do klasy: „Powiedz im, Jasiu, co masz na sercu”. Grzecznie słuchali

nadleśniczego, ale gdy powiedział, że odstrzał kaczek ma na względzie dobro kaczego rodu, wybuchnęli gromkim śmiechem. Nadleśniczy śmiertelnie się obraził. Sytuację uratował Tuhajbej. Objął „naszego kochanego gościa” i, ściskając w niedźwiedzim uścisku, aż nadleśniczemu oczy wyszły na wierzch, powiedział: „Wiem ci ja, że to miłość każe wam strzelać do kaczek, ale jako że różne bywają rodzaje miłości, miejże więc wyrozumienie dla naiwnych afektów naszych chłopaków. I niech będzie zgoda!” I była zgoda z wielką korzyścią dla kaczego rodu, który w ciągu jednego roku ogromnie się rozmnożył na Wiszowatym Stawie łącznie z archipelagiem Boa-Boa i Porohami. Myśliwi wynieśli się bowiem na ukryte w lasach stawy marzyszańskie.

Ta opowieść to był rodzynek. W każde święto się nią popisował. Na Boże Narodzenie, na Wielkanoc, na imieniny taty. Chciał ją przytoczyć i na stypie po pogrzebie stryja Józefa, ale mama nie pozwoliła. Szkoda, na pewno by się spodobało. Zawsze bardzo się podobało. Teraz też. Pani Nowakowa to nawet uśmiechnęła się do niego, na znak, że wybacza mu tamtą plamę na dżinsach, co nie zesła, chociaż prał je w czterech wodach.

Po deserze poszli oglądać jednolatki. Goście karmili żrebce cukrem, a pan Kasicki z dumą spoglądał na swoich ulubieńców. Potem całą gromadą ruszyli w pole. Co pewien czas przystawali, żeby ocenić urodę ozimin. Pan Kasicki objaśniał, co gdzie posiane, gdzie pszenica, gdzie żyto, goście z miasta próbowali zgadywać, mylili się, on cierpliwie objaśniał.

W topolowej alei Maciek i Iga pożegnali się i wyruszyli na Wraże Uroczyszcze. Iga koniecznie chciała zobaczyć jelenie przy wieczornym wodopoju. Maćkowi nie zamykały się usta. Kiedy człowiek raz zacznie opowiadać, toby opowiadał i opowiadał. Zupełnie jak ze słonecznikiem: zaczniesz jeść, to nie możesz skończyć.

Prowadził Ige nad strużyną, co ciekła od Uroczyszcza, i pokazywał ślady po puszczy. To jest puszczańskie runo, a to puszczański wrzos, a to kłącza owadożernej rosiczki rosnącej na mokradłach, a to zwapniała korzenie sosny, a to znów mchy, torfowce, na wiosnę wydzielają ostrą woń.

Kiedyś wszędzie tu była puszcza. Wykarczował ją człowiek. Wycinał

drzewo po drzewie, korzenie wypalał ogniem. Całe wieki trwała walka. Leszek mówi, że była to walka bratobójcza. Leszek jest za puszcą. Maciek też jest za puszcą. Ma nadzieję, że ostatecznie puszcza zwycięży. Gdyby to od niego zależało, już dziś wszędzie rosłyby drzewa, a ludzie — zamiast w domach — mieszkaliby w dziuplach i żywili się jagoda mi. Oczywiście jagodami z kremem waniliowym. W puszczy trzeba by tylko zostawić trochę miejsca na boisko piłkarskie i uprawę owsa, bo jagodami koni nie wykarmisz. I ewentualnie na saradelę (Bumerang był wielkim amatorem saradeli). Ale poza tym niechby sobie wszędzie rosła gęsta puszcza. A zwłaszcza tam, gdzie dziś wznosi się budynek Szkoły Podstawowej numer jeden.

Doszli na skraj Uroczyszczka i ukryli się za drzewami. Z tego miejsca Maciek z Leszkiem często fotografowali jelenie. Niekiedy brali ze sobą Skorupę. Stary przynosił im szczęście. Ile razy przyłączył się do wyprawy, tyle razy jelenie przychodziły. Maciek pokazał Idze miejsce, gdzie najczęściej piły wodę. Było odległe o niecałe sto kroków. Sprawdził kierunek wiatru.

— Nie poczują. Siedzimy pod wiatr.

— Myślisz, że przyjdą?

— Nie wiem, są teraz ostrożniejsze. Gajowi od wtorku depczą im po piętach, jeleni tego nie lubi.

Jakiś czas czekali w milczeniu, ale gdy jelenie długo nie przychodziły, Maciek zaczął opowiadać, jak przywieziono chmarę z olsztyńskiego. Było to pięć lat temu, w marcu. Ojciec zabrał go, choć był już późny wieczór. Chwytał mróz, śniegu było po kolana. Na poboczach szosy czekało kilkadziesiąt sanek. Ludzie stali na skraju lasu. Gdy nadjechała ciężarówka ze skrzyniami i kierowca wyłączył motor, zrobiło się zupełnie cicho, bo nadleśniczy zabronił prowadzenia rozmów. Wtedy Maciek usłyszał stuk kopyt o drewnianą podłogę, a gdy podszedł, owiał go zapach dzikiej zwierzyny. Po chwili kierowca włączył motor i ciężarówka wolno wjechała do lasu.

Ludzie wracali do domów wzruszeni. W ich życiu zdarzyło się coś ważnego — przybył im nowy sąsiad. Nie mieli go często widywać, ale

wystarczyła świadomość, że w dąbrowie żyje chmara jeleni. Gajowi urosiło w znaczenie. Przynosili wieści z lasu: jak jelenie znoszą zimę, co im się daje w paśnikach, że przepadają za solą w lizawkach. W maju rozeszło się po okolicy, że pięć łani szczęśliwie urodziło siedem małych. A na jesieni w lasach marzyszańskich od zmroku aż do świtu rozlegały się ryki tak potężne, że słycać je było w Pędzichówku-wsi.

I wtedy, podczas tego pierwszego rykowiska, padło imię Bartka, młodego stadnego byka, który rozpoczął władanie nad chmarą.

Tego wieczoru jelenie nie przyszły do wodopoju. Dzieci wracały zawiedzione. W domu zastały Skorupę. Przyniósł smutną wiadomość. Gajowi stwierdzili ponad wszelką wątpliwość, że Bartek nie żyje.

## **KNIAZIÓWNA CHCĄ SIĘ WYDAĆ ZA... BOHUNA**

Bładym świtkiem schodami wiodącymi na strych przekradał się Maciek z dwoma skopkami wody. Mniejszy przeznaczył dla Igi, większy dla pani Nowakowej. Bardzo mu się spodobało, że pani Nowakowa broniła tych zajęcy. W dowód uznania zrobi jej porządny dyngus. Szedł na palcach, żeby babek nie pobudzić. Na tym cały numer polegał, aby oblać śpiące. No i woda musi być zimna. Inaczej nie ma pożądanego efektu. Jak w zeszłym roku na Wielkanoc oblali Hanke Kazimierską, to do czerwca miała czkawkę. Była im nawet za to wdzięczna, bo nie mogła odpowiadać i do szóstej przepuścili ją na słowo honoru.

Te skopki to właściwie tylko taki dyngusik na dzień dobry. Prawdziwy dyngus jest wtedy, gdy już wszyscy wbijają się w odświętne ubrania. Jak oblejesz, to śmiechu jest na cały dzień. Na ten prawdziwy dyngus też był już przygotowany. Wczoraj wieczorem pod Kasiczówkę przytoczył z chłopakami duży beczkowóz. Ze szlauchu też się dobrze oblewa. O ile oczywiście w beczkowiezie ciśnienie jest tak jak należy. W tym jest. Beczkowóz nowy, jak

nalejesz do pełna, woda bije na kilkanaście metrów. Wczoraj wszystko sprawdzili. Jeśli robić, to robić porządnie. W takich sprawach trzeba być dokładnym. Pokropisz trochę i potem ludzie mają pretensje. Dwa lata temu Baśka Ciećwierzówna przyleciała do matki z płaczem, że wszystkie dziewczyny oblali, a ona cały dzień chodziła suchuteńka. Te parę kropel, co na nią spadło, to przecież nie był dyngus.

— Dokąd?

Maciek stanął jak wryty.

Przed pokojem państwa Nowaków czekał na niego ojciec.

— Chciałem podlać... petunie — wyjąkał.

— Petunie chciałeś podlać? Marsz do kuchni! W kuchni siedziała matka.

— Miałaś rację — powiedział ojciec. — Złapałem go na schodach. Zobacz: dwa skopki. Dwa skopki wody na jedną rodzinę! Przecież to zupełny dzikus.

Maciek ostrożnie postawił skopki na ziemi. Nie stracił jeszcze nadziei. Może uda się przekonać starych, że trzeba dochować tradycji. Dwa skopki! Co to jest dwa skopki? Dziadek Anzelm swą przyszlą wsadził do beczki i trzymał pod wodą, aż się bańki pokazały. To był dyngus! A teraz? Szkoda gadać! Babcia miała rację: „fantazja ginie w narodzie”. Chciał to wszystko powiedzieć, ale ojciec nie dał mu dojść do słowa. Kazał wylać wodę, a matce polecił sprawdzić, czy są wszystkie wiadra i konewki, bo z tym wariatem nigdy nic nie wiadomo. Maciek wylał wodę i poszedł z ojcem odciągnąć beczkowóz. Skąd ojciec wiedział o beczkowiezie?

Przed śniadaniem pan Kasicki wręczył synowi buteleczkę wody kolońskiej z rozpylaczem.

— Możesz opryskać, ale tylko Igę. I pamiętaj: nie za dekolci.

— To gdzie? — spytał Maciek załamującym się głosem.

— Raz psikniesz na sukienkę i dosyć. W Warszawie nie uznają dyngusów z beczkowiezów.

Zaraz wypróbował ten rozpylacz. Ludzie, toż to czyste kpiny! Pachnieć, owszem pachnie, ale nie oblewa. To ma być śmingus dyngus?! Skoczył do warsztatu i stalowym szpikulcem roztrajbował otwór. Było trochę lepiej. Z jadalni doszły go głośne śmiechy. Jeszcze raz zakręcił szpikulcem i poleciał.

Trafił właśnie na moment, gdy ojciec w postawie pełnej szacunku spryskiwał panią Nowakową.

Maciek podszedł do Igi, uklonił się i nacisnął pompkę rozpylacza. Cienka strużka „Moskiewskich wieczorów” trafiła panią Nowakową prosto w oko. Widocznie krzywo roztrajbował. Zrobiła się nieziemską awantura. Pani Nowakowa krzyczała, mama zaczęła ją ratować, a ojciec wziął Maćka za kołnierz i zaprowadził do kantorka.

Jak tylko co, to ojciec zamykał go w kantorku. Była to nawet, dość przytulna meta. Oczywiście musiał ją odpowiednio zaadaptować. Na półce, za rocznikami „Konia Polskiego”, miał ukryte pół kilograma cukierków miętowych i parę tomów Karola Maya. Trzeba być przygotowanym na zmienne koleje losu. Nie pamiętał tygodnia, w którym by nie miał co najmniej jednej odsiadki w kantorku. Tym razem groziło mu nie więcej niż cztery godziny. Ojciec będzie go musiał wypuścić przed drugą, żeby zdążył na wyswobodzenie kniaziówny. Cała okolica czekała na widowisko. Urządzali je przy różnych okazjach, a obowiązkowo — na Wielkanoc. Wszyscy znali już na pamięć wszystkie role, ale nikomu się jeszcze ten spektakl nie znudził, w rozgrywce z telewizją — zawsze zwyciężali oni.

Zabawa zaczynała się od momentu, gdy Wołodyjowski, Zagłoba i Rzędzian, przebrani w kozackie świty, wyruszyli po Helenę ze Zbaraża. Zbarażem był zazwyczaj Pędzichówek. Czortowy Jar, gdzie wiedźma Horpyna i okrutnie szpetny Czeremis, jak oka w głowie strzegli Heleny, leżał aż za Piaskami, na Ludyńskich Dołach. Olbrzymią Horpyną z reguły był Tadek Kiczylło, który miał metr osiemdziesiąt wzrostu, Czeremisem — przeważnie Dżony. Gdy się buntował, mówiąc, że nie chce być „potwornym karłem”, pocieszano go, że Czeremis, mimo szpetoty, „z rusznicy okrutnie strzelał”. Były to role podrzędne, jak mówił Leszek: epizodyczne, głównymi postaciami byli oczywiście dwaj rycerze oraz pacholik pana Skrzetuskiego. O te role toczyły się homeryckie boje, każdy chciał być „ukochanym panem Michałem” albo przynajmniej Zagłobą. Rola Rzędziana też miała gorących zwolenników, podobała się jego rezolucja i niespieszny sposób mówienia, wdzięczne pole dla aktorskiego popisu.



Najwięcej było kłopotu z obsadzeniem roli Heleny Kurcewiczówny. Nikt nie miał przeciwko ślicznej kniaziównie, ale też i nikt nie chciał jej grać; nawet dziewczynki. Danka Ławicka tłumaczyła wykrętnie, że jej włosy nie rozsypią się „jakby kwiat hiacyntowy, po plecach i ramionach”, Ewka Rzepińska wręcz oświadczała, że ani jej w głowie „ze wstydu płonąć i spuszczać oczy” i jeśli chcą, aby wzięła udział w zabawie, to może być albo małym rycerzem, albo Zagłobą, a w ostateczności starym dzielnym pułkownikiem Burlajem, który w Jampolu, gdzie z wojskiem niżowym stacjonował, uczte na cześć mniemanych wysłanników Bohuna wyprawił. Cóż było robić? Bez Heleny nie mogło być wyswobodzenia kniaziówny, ciągnęli więc losy. I to wszyscy, bez wyjątku, zarówno dziewczęta, jak i chłopcy, a nieraz nawet i rotmistrz. Kto wyciągnął zapałkę z główką, ten wkładał suknie kniaziówny i ku uciechu dzieciarni udawał się z Horpyną i Czeremisem na Ludyńskie Doły, gdzie w starej gajówce czekał na wyzwolenie.

Tak było i tym razem. Ojciec wypuścił Maćka z kantorka, kiedy wszyscy się już zebrali, żeby ciągnąć zapałki. W sobie tylko wiadomy sposób Maciek dotąd wykręcał się losowi. A tu dziś, gdy widowisko miała oglądać Iga, pech zdarzył, że on wyciągnął zapałkę z główką!

— Nareszcie będę miała córkę — powiedziała pani Kasicka.

Chłopaki zaczęli mu strugać pietruszkę przed nosem i wołać: — Helena, Helena, Helena!

Maciek nie był skory do płaczu, ale łzy zakręciły mu się w oczach. Takie upokorzenie. On, siedmiokrotny mały rycerz, ma przywdziać niewieście szatki?! A niedoczekanie wasze! I dał nura w sad. Odkryli go na jabłoni. Chcieli ściągnąć na ziemię, ale uzbrojony w żerdź skutecznie odpierał ataki z dołu. I byliby pewnie musieli założyć regularne oblężenie, gdyby im pani Kasicka w sukurs nie przyszła.

— Zejdź, synku, z drzewa. Nie można tak. Wyciągnąłeś los, to musisz się przebrać. Zejdź.

— Nie.

— Maćku, wszyscy czekają tylko na ciebie. Zejdź!

— Nie zejdem.

— Synku, nie zrobisz tego matce. Proszę cię.

— Nie.

— Jak ci nie wstyd? Taki duży chłopiec i boi się włożyć sukienkę. W tej chwili schodź!

— Nie.

— Schodzisz czy nie?

— Nie.

— Wyciągnąłeś zapalną i musisz być kniaziówną!

— Nie będę.

Wówczas pani Kasicka wypowiedziała słynne słowa:

— Albo będziesz kniaziówną, albo nigdy nie dostaniesz deseru!

Okrzyk ten obiegił potem okolicę i ugruntował sławę pani Kasickiej jako zręcznego pedagoga. Usłyszawszy groźbę, Maciek zszedł z drzewa i dał się zaprowadzić do domu. Tu jednak ubłagał prześladowców, aby nie kazali mu w kobiecym przebraniu odbywać podróży do Czarciego Jaru. Ułożono więc, że pani Kasicka pojedzie z Maćkiem do sadyby wiedźmy i dopilnuje, aby przebrał się przed przybyciem wybawców.

Gdy Maciek eskortowany przez matkę wjeżdżał do Czarciego Jaru, przed gajówką czekało już mnóstwo osób, które pragnęły zobaczyć uwolnienie Heleny. Widok Maćka w męskim stroju do korniej jazdy wywołał niepokój, ale pani Kasicka pokazała zebrany zieloną spódnicę i białą bluzkę obramowaną czerwoną tasiemką, które trzymała na ręce, żeby się nie pomięły. W drugiej ręce dzierżyła perukę Wandy, co nie chciała Niemca, wypożyczoną z amatorskiego teatru. Maciek wchodził po schodach ganku jak na szafot.

W izbie czekał już reżyser widowiska, Leszek Kiczyłło.

— Rozchmurz się, Pafnucy — powiedział podnosząc się z zydlu — albowiem czeka cię wielkie przeżycie: przeistoczenie w białogłowę...

Otworzył drugi tom „Ogniem i mieczem”.

— Zanim go ustroisz w szatki niewieście — powiedział zwracając się do pani Kasickiej — zrobimy próbę. Słuchaj uważnie, Pafnucy. Nie wątpię, że

dobrze znasz ten uroczy passus, ale chciałbym, żebyś tym razem ujrzał go oczyma aktora.

To rzekłszy wujek Leszek na swój długi, cienki nos założył okulary, podniósł do oczu książkę i jął czytać głosem, w którym tkliwość szła o lepsze z kpina.

— ...na lewo drzwi były zamknięte.

„Tam ona musi być” — pomyślał pan Wołodyjowski i skoczył ku nim.

Szarpnął, otworzył — wpadł na próg i w progu stanął jak wryty.

W głębi izby, ręką oparta o krawędź łoża, stała Helena Kurcewiczówna, blada, z rozpuszczonym na plecach i ramionach włosom, a przerażone jej oczy utkwione w Wołodyjowskiego pytały: ktoś ty jest? czego tu chcesz? — bo nigdy przedtem nie widziała małego rycerza. On zaś zdumiał się na widok tej piękności i tej komnaty pokrytej aksamitami i złotogłowiem. Na koniec przyszedł do słowa i rzekł pośpiesznie:

— Nie bój się waćpanna: my Skrzetuskiego przyjaciele.

Wówczas kniaziówną rzuciła się na kolana. — Tu Leszek przerwał na chwilę czytanie i podniósł wzrok na Maćka, po czym ciągnął dalej:

— Ratujcie mnie — wołała składając ręce.

Ale w tej samej chwili wpadł pan Zagłoba trzęsący się, czerwony, zdyszany.

— To my! — krzyczał — to my z pomocą! Usłyszawszy te słowa i ujrawszy znajomą twarz kniaziówną przechyliła się jak kwiat podcięty...

Leszek ponownie zrobił krótką przerwę i spojrzał na Maćka.

— ...ręce jej opadły, oczy pokryły się frędzlistymi zasłonami...

— Hm — chrząknął lektor-przekora.

— ...i zemdląca.

Nastąpiła długa chwila milczenia. Leszek położył książkę na stole, wstał i przeszedł się po izbie. Na koniec zatrzymał się przed Maćkiem.

— Wszystko jasne, Pafnucy? Maciek unikał jego wzroku.

— No, widzisz. W takim razie przystępujemy do próby. Może najpierw rzucisz się na kolana?

Maciek przełknął ślinę.

— Nie, to to będę wiedział — ozwał się nienaturalnie grubym głosem.

— Jak chcesz. Tylko żeby mi to porządnie wypadło. A teraz złóż ręce i zawołaj: „Ratujcie mnie!”

— Kiedy naprawdę ja wiem. Tyle razy widziałem.

— Nie można się, Pafnucy, zdawać na żywioł. Powinieneś przeciwiczyć chociaż końcowy fragment.

— Nie zawiodę, możesz mi wierzyć.

— Nie, nie, końcówki ci nie daruję, uważaj, ja wołam: „to my z pomocą”, a ty przechylasz się jak kwiat podcięty i pokrywasz oczy frędzlistymi zasłonami.

Cofnął się ku drzwiom i zawołał grubym głosem, naśladując pana Zagłobę:

— „To my, to my z pomocą”.

Ale w tej chwili w drzwiach ukazała się głowa gajowiny.

— Jada! Jada!

— Jezus Maria! — jęknęła pani Kasicka. — Przebieraj się!

I dalejże ściągać z Maćka kurtkę i koszulę.

— Spodnie!

Maciek zrzucił ubranie i w największym pośpiechu jął przywdziewać strój Heleny Kurcewiczówny. Leszek wyjrzał przez otwarte drzwi.

— Pan Wołodyjowski już w bramie!

— Prędejj, Maciek, prędejj! — wołała pani Kasicka. W pośpiechu zarzuciła mu na ramiona barwny szal, a na głowę wsadziła perukę o długich czarnych włosach.

— Pan Wołodyjowski już przed gankiem! — zawołał Leszek i jął popychać Maćka na ganek, gdzie miała rozegrać się cała scena.

Pani Kasicka podsunęła synowi lusterko.

— Przejrzyj się — powiedziała. — Prawda, Leszku, jak mu dobrze?!

Maciek spojrział w lusterko i nagle zaparł się nogami. Usiłował zedrzeć perukę, ale Leszek z szybkością o którą nikt by go nie posądzał, obezwładnił siostrzeńcowi obie dłonie, równocześnie wypychając go na ganek. Pani Kasicka pomagała bratu z całego serca.

I tak oto na oczach widzów rozegrała się scena, której nawet geniusz Henryka Sienkiewicza nie był w stanie przewidzieć: zbuntowana Helena nie chciała wyjść naprzeciw swoich wybawców. Widzowie gubili się w domysłach.

Pani Ciećwierzowa pochyliła się do ucha pani Tarkowskiej.

— Nic, tylko kniaziówną chce się wydać za Bohuna. A na to pani Targowska:

— Nie ma się co dziwić, Bohun oczy rwie, panu Skrzetuskiemu, choć przystojny, daleko do niego.

Wreszcie Leszek zręcznie podbił Maćkowi nogę i wypchnął go na ganek. Wzburzona kniaziówną, z przekręconą peruką na głowie, potoczyła się na pana Wołodyjowskiego, a ten z kolei na pana Zagłobę. Cała trójka patrzyła na siebie, jakby za chwilę miała się wziąć za czuby.

— „Nie bój się”... — odpowiedział półgłosem Kiczyłło.

Pan Wołodyjowski odzyskał przytomność.

— „Nie bój się, waćpanna, my Skrzetuskiego przyjaciele”.

Kniaziówną łypała złym okiem, milcząc zawzięcie.

— „To my — ratując sytuację zawołał Zagłoba, który stał dwa stopnie niżej — to my z pomocą”.

— Maciek, mdlejesz — szepnął Leszek.

Kilka osób podniosło aparaty do oczu, aby uwiecznić zemdlenie kniaziówny, ale kniaziówną nawet nie drgnęła.

Aż wreszcie Skorupa, wielki amator i znawca wszelkich zapustów i przebieranek, huknął zniecierpliwiony:

— No, mglijże!..

— A guzik! — wrzasnęła śliczna kniaziówną, pochyliła głowę, uderzyła bykiem pana Wołodyjowskiego, który jej drogę zagraadzał, runęła z ganku, w dwóch susach dopadła Bumeranga, wskoczyła na siodło i z miejsca ruszyła galopem. Jak długi, czarny płaszcz powiewały za nią rozpuszczone włosy Wandy, co nie chciała Niemca.

# CZESIEK RZEPIŃSKI UZUPEŁNIA LISTĘ PODEJRZANYCH

Wszyscy mieli pretensję do Maćka.

— Aleś, bracie, zagrał! — powtarzał co chwila Dżony z Kołowody.

Aż się Maciek zdenerwował:

— Ty byś zagrał!

— Ja? Stary! Ja? Mało to razy byłem kniaziówną?! I to jaką! — Dżony złożył buzię w ciup i jał się przechadzać przed stajnią kroczeniem skromnej panienki.

— Nie rozumiem, dlaczego nie chcecie jej grać? — odezwała się Iga.

— Ja jestem baba — powiedziała Ewka — a szlag mnie trafia, gdy muszę pokryć oczy frędzlistymi zasłonami.

Maćkowi już trochę przeszło.

— Stara, ja bym nawet padł jak kwiat podcięty, ale jak mi mama założyła, perukę Wandy, co nie chciała Niemca, to wiesz...

— Fajnie wyglądałeś! — parsknęła Danka Cieciewiczówna.

— W japońskim teatrze, jeszcze całkiem niedawno, mężczyźni grali wszystkie kobiece role — nauczyła Iga.

— A ty byś zagrała kniaziównę? — spytała nagle Ewka.

Iga wzruszyła ramionami.

— Wszystko można zagrać. Nie ja pisałam, nie ja ponoszę odpowiedzialność. Ja tylko gram.

— Frędzliste zasłony też zagrasz?

— A podcięty kwiat?

W odpowiedzi Iga zatrzepotała powiekami, pochyliła głowę i bezwładnie osunęła się na ziemię.

— Brawo!

— Ty, ona jest dobra!

— Dziewczyny, patrzcie, jak pada podcięty kwiat!

— Macie kółko teatralne? Iga podniosła się z ziemi.

— Cztery lata już gram.

— Ty, mam dla ciebie angaż — powiedział Boguś Chodakowski z ósmej a, na którego wołali: Inteligent.

— Jaki?

— Zagrasz jutro Oleńkę. Wszyscy się ożywili.

— To jest myśl! — Ona zagra!

— Ja miałam grać Oleńkę — powiedziała Danka Ciećwierzówna z pretensją w głosie.

— Gość ma pierwszeństwo.

— Słuchajcie, nareszcie mamy Oleńkę jak trza.

— Ona to fantastycznie zagra!

— W jakiej scenie? — spytała ostrożnie Iga. Skończyła dopiero pierwszy tom „Potopu”.

— W końcowej.

— Cholernie romantyczna historia.

— Dajcie jej spokój — powiedziała Ewka — ona nie czytała „Trylogii”.

— Co to znaczy: nie czytała! — zawołał Maciek. — Zna rolę! Nie, Iga? — zrobił do niej oko.

— Iga gra Oleńkę, postuluję raz jeszcze — powiedział Inteligent. Chciał w przyszłości zostać ambasadorem w Paryżu albo naczelnikiem gminy Pędzichówek, jeszcze nie dokonał wyboru.

— No, jak?

— Nie wiem...

— Panienska, która gra Oleńkę, sama wybiera Kmicica — powiedział Dżony z Kołowody.

Inteligent złożył przed Igą dworski ukłon.

— Jaśnie wielmożna podkomorzanko! — Ostatecznie mogę zagrać.

— Brawo!

— Ale szczęściara, będzie Oleńką!

— A kto będzie Kmicicem? Oleńka, kogo wybierasz na Kmicica?

— Kmicica wybiorę jutro — rzuciła przez ramię Iga.

Wieczorem, gdy wszyscy poszli spać, wśliznęła się do biblioteki. Wzięła z półki ostatni tom „Potopu”.

Czytała wtulona w kątek fotela. Oleńka spotyka sanie z nieprzytomnym Kmicicem — Iga roni pierwszą łezkę; Kmicic woła Sorokę. *Soroka!... miłosierdzie boże jest nade mną! Czuję, iż nie umrę!* — Iga roni drugą łezkę; Oleńka obsuwa się do kolan Kmicica: *Jędrus! ran twoich niegodnam całować!* — oczy Igi zamieniają się w dwie fontanny.

Nazajutrz — śmiertelnie zakochana w Kmicicu — kłusowała w pierwszej trójce.

Dzień był słoneczny, ranne mgły kładły się na polach. Gdy dojechali na hipodrom, rotmistrz, kłusujący na czele oddziału, ruszył w koło krótkim galopem. Pojechali za nim. Kiedy konie się rozgrzały, ustawił oddział w szereg i stanął przed frontem.

— No, kto dziś jest Oleńką?

— Iga! Iga!

— Oleńka wystąp.

Iga wyjechała przed szereg. Rotmistrz przyglądał się jej z uśmiechem.

— Kogo wybierasz na Kmicica?

— Maćka Kasickiego — powiedziała śmiało Iga.

— A niechże cię kule biją! — jęknął Maciek. Wszyscy się roześmieli.

— No, wystąp, wystąp! — popędził rotmistrz, Maciek podjechał do Igi. Chciała coś powiedzieć, ale rozległa się komenda, więc tylko zgromiła go wzrokiem.

— Oleńka i Kmicic z koni. Zeskoczyli na ziemię.

— Przywiązać konie i... do roboty. Iga rozejrzała się bezradnie.

— Nabrali cię, co? — śmiał się rotmistrz. — Nie ciebie pierwszą...

Wciąż nie rozumiała, o co chodzi. Przywiązała Roksanę do drzewa i, naśladując Maćka, stanęła przy pierwszej przeszkodzie.

Rozpoczął się trening — skoki przez płot. Konie skakały czysto, dopiero jadący na samym końcu Xeres Chodakowskiego pociągnął zadem i zrzucił drąg. Wtedy zrozumiała rolę Oleńki. Maciek skinął na nią, podbiegli i z powrotem położyli drąg na płocie. Byli po prostu dyżurnymi.



Początkowo nie było wiele roboty, ale gdy rotmistrz zarządził treningowy parcours na sześciu przeszkodach, części muru i drągi leciały na ziemię jak gruszki. Trzeba się było dobrze zwijać, żeby wszystko na powrót poustawiać. Cały czas przynaglali ją okrzykami. Nie Maćka, lecz ją.

— Ruszaj się, Oleńka!

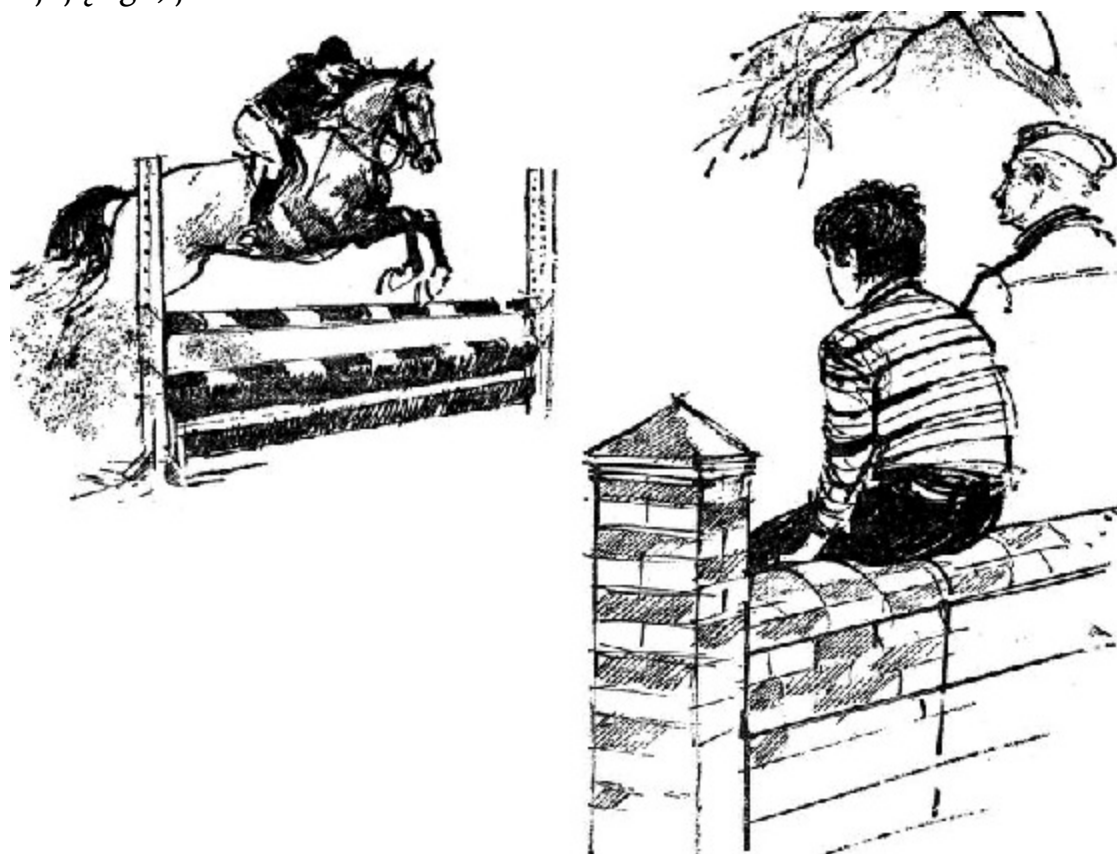
— Ustaw ten mur!

— Oleńka, okser!

— Podnieś mi czapkę!

— Oleńka, palcat! Tam leży.

— Oleńka, drąg krzywo na płocie. Ślepa jesteś? Biegała, podnosiła, poprawiała, uczyła się rozróżniać płoty od okserów i hyrdy od triplbarów, uśmiechała, zdawać by się mogło — zachwycona kawałem, jaki jej zrobili. Załamała się dopiero wtedy, gdy Xeres wpakował się piersią w mur, rozbijając go, jak domek z kart.



Wolno szła w stronę resztek muru. Przechodziła obok rowu z wodą; Boguś właśnie kończył ten swój nieszczęsny przejazd. Naprowadził Xeresa,

ale zbyt późno poderwał i leniwe konisko czterema nogami wskoczyło do rowu.

Brudna maź opryskała Igę od stóp do głów. Wtedy rozplakała się. Na nic już nie zważając, puściła się biegiem w stronę domu.

— Wróć! — zagrzemiał rotmistrz. — Iga, wróć! Biegła dalej.

— Iga, jesteś na służbie! — grzmiał rotmistrz. Przebiegła jeszcze kilka kroków i zatrzymała się. Podjechał do niej.

— Musisz wytrwać — powiedział łagodnie — zaraz kończymy.

Wróciła i pomogła Maćkowi ustawić mur. Po treningu rotmistrz zarządził zbiórkę.

— Ty możesz przejechać się w pole — rzucił w stronę Igi. — Dajesz już sobie radę z koniem. Chcesz?

Skinęła głową. Nie była jeszcze pewna swego głosu.

— Kto z nią pojedzie?

— Mogę jechać — ofiarowała się Ewka. Ruszyły w stronę miasteczka.

— Wpadniemy na chwilę do mnie, dobrze? — rzekła Ewka. — Muszę zajrzeć do babci.

Iga nic nie odpowiedziała. Skrycie podziwiała niewymuszoną swobodę, z jaką Ewka siedziała w siodle. Jechały kłusem, ale czasami Ewka — w sposób niezauważalny — przymuszała swego Perkoza do galopu, przesadzała jakiś krzew i natychmiast zwalniała.

Dopiero gdy dojeżdżały, Ewka powiedziała:

— Nie masz się o co gniewać. Każda nowa zaczyna od Oleńki.

— Nie mogliście powiedzieć jak ludzie: „masz być dyżurną”?

— Nie byłoby ubawu.

— Co to za ubaw?!

— Wyobraź sobie, że każda nowa chce być Oleńką i każda na Kmicica wybiera Maćka.

— Powiedziałam: Maciek, bo nawet nie wiem, jak się inni nazywają.

Ewka uśmiechnęła się.

— Nie ma się czego wstydzić.

— Czego mam się nie wstydzić?

— Kochasz się w nim.

— Oszalała!

— Wszystkie przez to przeszły.

— Ty też?

— Ja?... — zastanowiła się Ewka. — My jesteśmy przyjaciółmi.

Iga wzruszyła ramionami.

— Nie wierzę w przyjaźń między mężczyzną i kobietą — przypomniała sobie przeczytane gdzieś zdanie.

— Nie jesteśmy jeszcze całkiem dorośli — powiedziała Ewka.

Chatka Rzepińskich stała na skraju miasteczka. Podwórko było czysto wymiecione, wewnątrz schludne, pełno kwiatów i papierowych wycinanek. W pierwszym pokoju, w głębokim fotelu, siedział Czesiek. Wyciągnął przed siebie nogi w wełnianych skarpetach i czytał „Motor”.

— Znacie się? Mój brat Czesiek. Iga z Warszawy, Rzepiński podniósł się ociężale.

— Znamy się. Podali sobie ręce.

— Co nowego, Czesiu? — spytała Ewka.

— Po staremu. Wrócił do lektury.

Ewka poszła do babci, a Iga została i dyskretnie obserwowała Cześka. Wiedziała od Maćka, że jest to najwytrwalszy tropiciel kłusownika. Wyglądał na wytrwałego. Taki, jak coś postanowi, to osiągnie. Czytał ze zmarszczonymi brwiami, na nią nie zwracał uwagi.

Wróciła Ewka. Pociągnęła Igę do sieni.

— Pokażę ci moje dzieci.

Dopiero teraz Iga zauważyła trzy kwoki siedzące w kącie. Miały szeroko rozpostarte skrzydła i złe spojrzenie. Nie zwracając uwagi na protesty popielatej czubutki, Ewka wyciągnęła jej spod skrzydeł żółte kurczątko.

— Śliczne — zawołała Iga. — Jak się nazywa?

— Kurcząt się nie nazywa.

— Cip, cip, cip.

— Ma dopiero trzy dni. No, idź do mamy. Wsunęła kurczątko z powrotem pod skrzydło.

— A teraz pokażę ci moją cieplarnię.

Na parapecie kuchennego okna stały dwie skrzynki z flancami pomidorów. Iga udała zainteresowanie.

— Co to jest?

— Pomidory. Zobacz jakie ładne.

— Bardzo ładne.

— One mnie poznają.

— Żartujesz?!

— Słowo daję. Tylko ja je podlewam i na pewno kojarzą sobie mnie z zaspokajaniem pragnienia.

Iga uważniej przyjrzała się maleńkim krzewom pomidorów.

— Pewnie cię uwielbiają — zażartowała.

— Żebyś wiedziała. Rośliny, a zwłaszcza kwiaty? które się pielęgnuje, lubią swego opiekuna. Trzeba tylko być dla nich dobrym.

— Jak można być dobrym dla pelargonii?

— Wystarczy, że ją regularnie podlewasz.

Iga podeszła do fotografii wiszącej nad stołem. Było to zdjęcie Cześka w stroju myśliwego. Stał ze sztuce™, rem w rękę

— Masz przystojnego brata — powiedziała Iga.

— Tak bym chciała, aby wreszcie znaleźli tego kłusownika. Czesiek zamartwia się.

Iga nadal przyglądała się zdjęciu.

— A złapią go? — spytała niby obojętnie.

— Nie mam pojęcia. To jakaś tajemnicza historia.

— Ewka! — rozległ się za ścianą głos Rzepińskiego.

— Słucham.

— Chodźcie tu. Weszły do pokoju.

W drugim fotelu, naprzeciwko Rzepińskiego, siedział Maciek.

— Hej! — zawołał.

Iga odwróciła zagniewaną twarz. Maciek uśmiechnął się i wziął ze stolika numer „Motoru”. Leżały ich tam całe sterty. Rzepiński prenumerował „Motor” i „Przegląd Techniczny”. Interesował się silnikami spalinowymi. Po

robocie, jeśli nie szedł do lasu, czytał lub dłubał przy swojej jawie. Maciek lubił mu pomagać. Starał się pracować precyzyjnie i milczeć, bo Rzepa nie znosił rozmów przy robocie. Gdy miał przed sobą kawałek motoru, wszystko inne przestawało dla niego istnieć. Teraz też — czytał artykuł o automatycznych sprzęgłach i nie zwracał uwagi na obecnych.

— Pokazała ci już swoje przemile pomidorki? — spytał Maciek, zwracając się do Igi.

Zrobiła nieprzystępną minę.

— Przemawiają do niej srebrzystymi głosikami — ciągnął Maciek.

— Tak jak Bumerang do ciebie — odcięła się Ewka.

— Już ci powiedziała, że rośliny mają dusze? Wszystkie, bez wyjątku: rzodkiewka, cebula, bób, pietruszka. Pory i selery również.

Ewka puściła kpiny mimo uszu.

— Czesiu, Iga pyta, czy znajdą tego kłusownika. Rzepiński odłożył „Motor”.

— Niedługo będę wiedział coś pewnego.

— Co?

Za całą odpowiedź Rzepiński uśmiechnął się.

— Od zabicia pierwszego byka minęły trzy lata i co o tym wiesz? — prowokował Maciek.

Rzepiński nie przestawał się uśmiechać.

— Może i o pierwszym czegoś się dowiem — wycedził.

— Facet robi z wami, co chce.

— Bo nikt się tym nie przejmuje! — powiedział Czesiek. — Ty też dobry jesteś, miałeś się ze mną porozumiewać i co?

— Odechciało mi się.

— Odechciało ci się?

— No pewno. Próbować go nakryć to strata czasu.. Wszystkich przerasta o głowę.

Czesiek roześmiał się głośno. Podobały mu się prowokacje Maćka.

— Przyznasz, że to jednak fantastyczny facet?! — zapytał Maciek.

— Przyznaję.

— O nim można film nakręcić, wiesz?

— Można.

— Ty, ja już mam tytuł: „Tajemniczy kłusownik grasuje pod Pędzichówkiem”.

— Mam lepszy: „Był tu Billy Kid”.

— „Czarny dzień w Pędzichówku” — licytował Maciek.

— „Mściciel z Ludyni” — odparł od razu Czesiek.

— „Dzień złowrogiej strzelby”. — „Rio Bravo”

Maciek ogromnie się podniecił.

— Nie przebijesz! — zawołał i wyrecytował jednym tchem: — „Godzina strzałów”, „Grom prerii”, „Ostatni ślad”, „Pułapka”, „Ranczo śmierci”, „Waleczna krew”, „Winchester 73”, „Zły człowiek z Teksasu”.

Podniósł splecione dłonie do góry, jakby dziękował za oklaski. Znał jeszcze więcej tytułów filmów o kowbojach i Indianach, ale te były najlepsze. Tytuły — bo filmów nie widział, to były stare filmy, czytał tylko o nich. Z historii westernu nikt go nie zagnie. Nawet Czesio, chociaż i on wiedział sporo.

Rzepiński dobrze się bawił. Zupełnie zapomniał o automatycznych sprzęgłach. Może teraz coś powie o śledztwie.

— Masz z tym roboty, nie? — spytał Maciek. Czesiek odął wargi boksera.

— Starczy.

— Nadleśniczy nie powinien tego tak zostawić.

— Nie mów mi o Chudodze.

Nie powiedział: nadleśniczy, tylko Chudoga, z lekceważeniem. Maciek dorzucił dREW do ognia.

— Wszystko na twojej głowie, Rzepa siadł prosto w fotelu.

— Jak tu dalej prowadzić śledztwo po tym, co on zrobił. On myśli, że na frajerów trafił...

— A co zrobił?

— Pchnął śledztwo w ślepią uliczkę.

— W ślepią uliczkę?

— Pamiętasz ten jego chronometraż? Podzielił przebieg wydarzeń ze

stoperem w rękę. Godzina ta i ta: kłusownik zabija Bartka, godzina ta i ta: Kubasiewicz widzi zabitego Bartka. Poszufladkował, usystematyzował i odebrał nam swobodę myśli. Założył okulary jak koniom. Tylko w jednym kierunku patrzeć! Wiesz, w jakim?

— Nie — wyjąkał Maciek.

W życiu nie widział Czesia tak podnieconego.

— Chudoga mówi tak: o godzinie piątej czterdzieści pięć Kubasiewicz widział zabitego Bartka. Pamiętasz? A o godzinie szóstej dziesięć betonem przejechał Rzepiński i Bartka już nie było. Co z tego wynika? Że kłusownik miał dwadzieścia pięć minut na zabranie Bartka i ulotnienie się. Tak?

— Tak.

— I to w sytuacji, w której wywiezienie Bartka czy wydostanie się z Rojna było niepodobieństwem. Mysz by się nie przedostała. Ale pan leśniczy obstaje przy swoim. „Tylko tu drążcie. Tylko w tych dwudziestu pięciu minutach. I nie wolno przesuwając moich słupów milowych. Wytyczyłem wam właściwy kierunek poszukiwań. Tego się trzymajcie”. Rozumiesz?

— Rozumiem.

— A wiesz, co ja zrobię? Przesunę słup milowy pana Chudogi. O całe dwanaście godzin. Do tyłu! Na całą noc i wieczór poprzedniego dnia.

— Jak to?

— Bartek nie został zabity o tej wydumanej godzinie, lecz dużo wcześniej. Albo w nocy, bo była księżycowa, albo wieczorem poprzedniego dnia.

— Wtedy nikt nie słyszał strzału.

— Mógł go zagłuszyć przejeżdżający wóz czy samochód. Tak, mój drogi. Na to, żeby zabić, wywieźć i samemu zniknąć, kłusownik miał nie dwadzieścia pięć minut, lecz parę albo nawet paręnaście godzin.

— Fantastyczne to, co mówisz — powiedział niepewnym głosem Maciek. Rzepiński z powagą skinał głową.

— Przeszukasz Rojno jeszcze raz?

— Na Rojno w ogóle nie zajrzę.

— Dlaczego?

— Na Rojnie odbyła się farsa dla zamydlenia oczu. Bartek został zabity gdzie indziej.

— Gdzie?

— I tego się dowiem.,. Pamiętasz, co ci mówiłem o Bolku? To on zrobił farsę! Pomyliłem się tylko w jednym: myślałem, że farsa niczemu nie służy, że Bartek w ogóle nie został zabity. Okazuje się, że farsa miała skierować śledztwo na fałszywy trop. Powiedziałem to Bolkowi w oczy.

— Pewnie chciał się z tobą bić? Czesiek przeciągnął się: pod trykotową koszulką zagrały mięśnie.

— Rozmyślił się — powiedział z uśmiechem.

— Dlaczego?

— Na kogo byś postawił? — Na ciebie.

— On też tak postawił.

Maciek zachichotał: Rzepa miał odzywki.

— Nie skreśliłeś go z listy podejrzanych?

— Jest na trzecim miejscu. Wiem, że zrobił farsę, . ale nie wiem, czy zabił.

— Aaaa... nadleśniczy też jest na liście?

— Chudoga? Na drugim miejscu.

— A kto jest na pierwszym?

Czesiek rzucił się do tyłu i zaczął się głośno śmiać.

Maćka ciarki przeszły. Ani chybi Rzepa domyśla się wszystkiego. Trzeba za wszelką cenę odwrócić podejrzenia od Leszka.

— Jak chcesz, to mogę ci pomagać — powiedział z niewinną miną. — Jutro jeszcze mam wolny dzień.

— Jutro już idę do roboty. Rozleciał się ten grat, na którym jeździ Kubiak. Muszę go wziąć na kanał. Kłusownik poczeka.

— To ja go będę pilnował.

— Hm, a chcesz go złapać? Maciek skwapliwie kiwnął głową.

— To go nie pilnuj. — Nie rozumiem.

— Popelniliśmy błąd. To jest ktoś, kto zna tu wszystkich i wie o każdym naszym kroku. My śledzimy jego, a on nas! On musi zobaczyć, że już go nie



szukamy. Niech myśli, że zrezygnowaliśmy, że teraz może bezpiecznie zabić.

— To zabije.

— O to mi chodzi, aby zabił. — Chcesz poświęcić zwierzynę? Rzepa westchnął.

— Nie ma innego wyjścia... Jeśli zabije, to może wreszcie zostawi jakiś ślad. Porozumiałem się już z gajowymi. Przyznali mi rację i niby przestaną trapić.

— On może choćby jutro zabić...

Czesiek popatrzył w oczy Maćkowi i uśmiechnął się.

— Na to liczę.

Maciek zaczął się żegnać.

— Żebyś się nie kręcił po lesie. Chcę uspić jego czujność — przykazał Czesiek.

— Dobra. Cześć.

— Ludzie, zabierzcie Perkoza — poprosiła Ewka.

— A kto go wytrze? Krasnoludki?

— Wytrzyj, stary. Ja jutro wytrę Bumeranga.

Ewka wyszła z nimi na ulicę, więc najpierw pojechali w stronę domu i dopiero za rogiem skręcili na Podzamcze.

— Nie wiem, czy Leszek zna już plan Rzepy. Trzeba go ostrzec — rzekł Maciek.

— Po co? — zdziwiła się Iga. — Przecież nie ma flinty.

Popatrzył na nią przeciągle.

— Jesteś tego pewna?

— Sprawdzalam dziś rano: leży pod żłobem.

— To Cześka... A skąd wiesz, czy Leszek nie ma już innej?

— Pożyczył?

— Wiesz, co mi przyszło do głowy? On sprzedał tamte dwie flinty i kupił sobie nową.

— Coś ty...

— A jak by strzelał jelenie przez te trzy lata? Z palca? Pomyśl sama.

Iga zamilkła.

— A tak się cieszyłam, gdy go rozbroiliśmy — powiedziała żałośnie.

— Ja też się cieszyłem. Zamyślił się ponuro.

— No nic, trzeba go odszukać i pilnować. Nie ma innej rady; A jeśli ma pukawę, to mu się ją odbierze — dokończył z nagłą determinacją.

Ruszyli kłusem, prowadząc luzem Perkoza. Przed Podzamczem zwolnili.

— Co mu powiesz? — spytała Iga mimo woli zniżając głos.

— Co mu powiem? Że Czesiek chce wywieść w pole kłusownika. To mu powiem. Poczekaj tu.

Zlazł z konia i ciężkim krokiem poszedł ku dworkowi.

Dworek zamknięty był na dziesięć spustów. Na próżno Maciek dobijał się do drzwi. Żeby choć pies się odezwał. Nic. Cicho jak w grobie.

Wrócili do domu w ponurych nastrojach. Pani Kasicka jakby coś przeczuwając zaczęła ich wypytywać o brata. Przyznali się, że byli na Podzamczu i że nie zastali Leszka.

— Skorupa też go szuka, mówi, że ma bardzo ważną sprawę — powiedziała pani Kasicka, niespokojnie spoglądając na dzieci. — Co się z nim dzieje? Nigdy się tak nie zachowywał.

Pocieszali panią Kasicką, jak umieli, ale im samym dziwnie ciężko było na sercu.

Na drugi dzień nic nikomu nie mówiąc, skoro świt wyruszyli na poszukiwanie Leszka.

## **JASTRZĄB ZAWISŁ NAD OFIARĄ**

Zaczęli od dołowackich lasów, zajrzeli na Rojno i na Podzamcze, po śniadaniu wpadli do miasteczka, Maciek pod jakimś pretekstem poszedł nawet na komendę MO, ale niczego się nie dowiedział. Wyruszyli więc na północ i zabrali się do gruntownego przetrząsania marzyszańskich lasów. Nigdzie nie natrafili na najmniejszy ślad. Kiczyło jakby się pod ziemię zapadł. Gubili się w domysłach, co się mogło z nim stać.

Przed jedenastą zawrócili do domu. Konie szły wolno, pospuszczały łby, bardzo widać już były zmęczone. No bo też i przegonili je zdrowo.

Przed gankiem pani Kasicka pielila rabatkę.

Przywiązali konie i poluzowali popręgi.

Na ich widok pani Kasicka podniosła się z klęczek.

— Wiecie już, że Leszek się odnalazł?

— Jest tu? — ucieszył się Maciek.

— Był, ale zapędziłam go do roboty.

— Do jakiej roboty?

— Jastrząb kręcił się nad kurczętami. Prosiłam Leszka, żeby go zastrzelił. Maciek zbladł.

— Miał broń?

— Dałam mu starą dubeltówkę ojca.

— Mamo, coś ty najlepszego zrobiła?

— Co takiego? Co się stało?

— Nic, nic.

Wymienili z Igą niespokojne spojrzenia.

— Na koń! — zawołał.

Zostawili oniemiałą matkę, skoczyli do koni i jęli pośpiesznie podciągać popręgi.

I właśnie w tym momencie usłyszeli strzał.

— O, masz.

— Gdzie to?

— W marzyszańskich lasach. Chyba koło rykowiska.

— Może to nie on?

— To stara dubeltówka taty tak bije. Pogalopowali w stronę Marzysza. Za szosą konie przeszły w stępa. Gdy nieco odpoczęły, Maciek znów ruszył kłusem. Przed rykowiskiem wstrzymali konie. Polana była pusta, buki stały nieruchome i ciche. Tylko ptaki wiecowały w koronach drzew. Objechali polanę i skierowali konie ku porębie.

Mijali właśnie pierwszy sąg, gdy usłyszeli rozbawiony głos:

— Witajcie, lube dziateczki.

Wysoko, na sągu, leżał Leszek Kiczyłło.

— Co on tam robi? — szepnął Maciek, gdy odzyskał mowę.

— Na pewno wypadł z latającego talerza. Rzucił jej złe spojrzenie i skierował Bumeranga ku sągowi.

Tarka powitała dzieci radosnym merdaniem.

— Jaki rezultat poszukiwań? — spytał Kiczyłło.

— Poszukiwań? My niczego nie szukamy... Leszek przyglądał im się ubawiony. Przywiązali konie, Maciek wspiął się na sąg i pomógł wejść Idze. Kiczyłło podsunął im połowę waciaka, bo drzewo było mokre. Usadowili się wygodnie. Maciek zerknął na dubeltówkę. Leżała między nimi a wujkiem.

— Wiosna — powiedział sennie Leszek i ułożył się wygodniej.

Słońce przygrzewało. Wokół pachniało żywicą i parującym drzewem. Przedwcześnie rozbudzona osa krążyła wokół długiego nosa Kiczyłły. Znosił to cierpliwie, zabawnie ku niej zezując. Maciek uśmiechnął się. Dziwna rzecz, w obecności niebieskookiego wujaszka wszelkie podejrzenia topniały jak śnieg na wiosnę.

— Oszpeci cię.

— Cóż znowu, jest bardzo przyjaźnie usposobiona — odparł Kiczyłło nie przestając obserwować zezem osy.

Maciek zachichotał przypochlebnie.

— Co to ja chciałem powiedzieć... — zastanawiał się głośno. — Aha, już wiem: czy nie słyszałeś strzału?

— Słyszałem.

— Nie wiesz, kto strzelał?

— Wiem.

— Kto?

— Ja — brzmiała senna odpowiedź. Maciek i Iga porozumieli się wzrokiem.

— Do czego strzelałeś?

— W niebo.

Mimo woli spojrzeli w górę.

— Widzicie go? — spytał po chwili Kiczyłło.

— Kogo?

— Nie kogo, lecz co, Rzepicho. Gramatycy nie przyznali ptakom osobowości. Ale chyba masz rację, w tym przypadku należałoby spytać: „kogo”.

— O kim mówisz?

— O panu jastrzębiu.

Maciek odetchnął: chyba Leszek jeszcze nie zabił tego drugiego jelenia.

— Strzelałeś do jastrzębia? — spytał chcąc się upewnić.

— Strzelałem, żeby go przestraszyć. No co, widzicie go?

Wysoko w błękicie dostrzegł Maciek ciemny punkt.

— Jest!

— Lata, lata! — zawołała Iga.

— Nie lata, lecz krąży — mruknął sennie Kiczylło. Maciek przyglądał mu się uważnie. Lada chwila zaśnie. Objął palcami lufę dubeltówki.

— Powiniennem wstać i dokonać mordu — mruknął Kiczylło.

A po chwili dodał:

— Dąbrówka prosiła, abym wypatroszył pana jastrzębia i, gwoli odstraszenia innych, powiesił nad kurnikiem.

— I co zrobisz? — spytała po chwili Iga.

— Co zrobię? Daruję mu życie.

— To drapieżnik — powiedziała.

Była po stronie bezbronnych kurcząt.

— Pożyteczny drapieżnik. Tępi wiele szkodników...

— Ale kurczęta też.

— Rozważyłem sprawę kurcząt. Wiecie, rodacy, do jakiego doszedłem wniosku? Ludzie nie mają prawa zabijać jastrzębia, tylko dlatego, że jada źle pilnowane zielononózki i karmazyny. Niechże Dąbrówka lepiej pilnuje kurcząt i nie wnosi pretensji do pana jastrzębia. Nie będą uwzględnione. Pafnucy!

— Wedle rozkazu...

— Stawisz się, waść, jutro u mnie. Zrobimy Dąbrówce stracha na jastrzębia. Zrozumiano?

— Tak jest — powiedział Maciek i mocniej zacisnął palce wokół lufy dubeltówki.

— Pafnucy!

— Wedle rozkazu.

— Nie przymierzaj się, jeżeli łaska, do flinty. Maciek pośpiesznie cofnął rękę.

— Ależ co znowu!

— Co ty na to, Rzepicho? Zdradziecki Pafnucy chce rozbroić ukochanego wujaszka.

— To straszne... — wyjąkała.

Od dawna zauważyła zabiegi Maćka i z całego serca życzyła mu powodzenia.

Kiczyłło usiadł i spojrzał na słońce. — No, dzieci, na mnie już pora.

Chwytał dubeltówkę i lekko zeskoczył z sągu. Zsunęli się pospiesznie, zdecydowani nie odstępować go na krok.

— Bywajcie.

Zarzucił broń na ramię i poszedł przez porębę, kierując się na Uroczyszczce.

Po chwili obejrzał się... Szli za nim.

— A wy dokąd?

— Do Pędzichówka.

— Do Pędzichówka idzie się w prawo.

Twarz Maćka wyrażała bezgraniczne zdumienie.

— W prawo?

— Tak, w prawo, tamtą drogą.

— Być może.

— Nawet na pewno. I o koniach nie zapomnijcie.

— Do widzenia.

Powiedzieli: „do widzenia”, ale nie ruszyli się z miejsca...

— No! — rzekł groźnie Leszek.

Z ociąganiem poszli w stronę koni.

Leszek stał i patrzył chwilę za nimi, po czym ruszył swoją drogą. Po

kilkudziesięciu krokach obejrzał się. Biegli za nim, co sił w nogach. Gdy spostrzegli, że na nich patrzy, zwolnili kroku.

— Mieliście jechać w prawo.

— Ojej, Iga, mieliśmy jechać w prawo.

— A rzeczywiście, mieliśmy jechać w prawo.

— To dlaczego nie pojechaliście? Maciek spojrział na Igę, Iga na Maćka.

— Zapomnieliśmy — stwierdzili chórem.

— Zapomnieli, moje biedactwa.

Pokiwał nad nimi głową. Nagle znów spojrział groźnie.

— Tą ścieżką — wskazał ręką — kierunek konie, odmaszerować!

Patrzyli mu po żołniersku w oczy.

— W tył zwrot!

Maciek wykonał w tył zwrot i dał znak Idze, żeby uczyniła to samo.

— Naprzód marsz! — skomenderował Kiczyłło. Zgodnie z regulaminem ruszyli lewą nogą. Gonił ich głos Leszka:

— Raz, dwa, raz, dwa... Lewa, lewa...

Dopiero gdy zniknęli mu z oczu, podjął wędrówkę. Droga była piaszczysta, szedł więc obok, wymijając drzewa i krzewy. Po chwili obejrzał się: małych prześladowców nigdzie nie było. Przyspieszył kroku, miał niewiele czasu. Nagle z prawej strony usłyszał trzask, coś mignęło między drzewami. Niewiele myśląc puścił się biegiem w tamtą stronę.

Za rosochatą sosną stał Maciek, tuż obok niego Iga. Udawali, że czegoś wypatrują między gałęziami.

— Dzień dobry — powiedział podchodząc.

— O, co za spotkanie. Dzień dobry! — zaszczębiotali.

— Dawno nie widzieliśmy się.

— Właśnie. Co u ciebie słyhać?

— Dziękuję, po staremu. Pewno zbłądziliście? Maciek skwapliwie przytaknął.

— Wcale nie! — zawołała nagle Iga. — Chcieliśmy ci zaproponować, abys oddał nam dubeltówkę.



Kiczyłło spojrział zaskoczony.

— Co?

— Nie masz zamiaru strzelać do jastrzębia, to ci już niepotrzebna. A my jedziemy do domu i możemy ją zabrać.

Maciek niespokojnie zerknął na Leszka. Myślał, że wujek spieszy się albo rozgniewa, ale nie, wcale się nie spieszył ani nie rozgniewał. Spojrzął na Igę i uśmiechnął się tym swoim kpiącym uśmieszkiem..

— Mam lepszy pomysł — powiedział — razem udamy się do Pędzichówka.

Teraz oni popatrzyli na niego zaskoczeni. A on, jakby nigdy nic, gwizdnął na Tarkę, poprawił flintę na ramieniu i ruszył w stronę poręby. Chwycili go za ręce i prowadzili w triumfie.

Konie stały spokojnie, tam gdzie je zostawili. Kiczyłło przywiązał swój duży chlebak do siodła Roksany i umieścił w nim Tarkę.

— Niech sobie odsapnie staruszka — powiedział. — Nie wiadomo, co ją



jeszcze dzisiaj czeka.

# ŚMIERTELNY STRACH

Rotmistrz kończył na maneżu swój samotny trening. Jeszcze trzy skoki przez niewielki płotek, kilka najprostszych elementów ujeżdżania, wolta i rozluźniający galop. Zarówno wolty, jak i posłania konia w galop mogliby mu pozazdrościć jeźdźcy ubiegający się na stadionie olimpijskim o najwyższe trofea. Ale maneż był pusty, nikt nie mógł się delektować doskonałością rotmistrzowskiej ekwitacji. Przepisowo wygięty w lędźwiach — okrążył zabudowania Pędzichówka i skierował Trepaka na drogę biegnącą między stawem a padokiem.

Nad pobliskie sitowie wystrzeliła z głośnym łopotem krzyżówka.

Rotmistrz zatrzymał Trepaka przed padokiem. Żrebce zbiły się przy ogrodzeniu. Bułanek o różowych chrapach, największy figlarz w stadninie, wetknął łeb między żerdzie i, wyciągając szyję, usiłował złapać za nogę Trepaka. Rotmistrz zeskoczył, przywiązał konia do sosenki i podszedł do swoich ulubieńców. Obwąchiwały go, wiedząc, że za chwilę z przepastnych kieszeni wyciągnie cukier. I nie zawiodły się.

Nagle Trepak podniósł głowę i zarżał.

Natychmiast odpowiedziały mu Roksana i Bumerang.

Leszek, Iga i Maciek, prowadząc konie, nadchodzili drogą od ludyńskiej szosy.

Rotmistrz stanął na środku drogi.

— Dlaczego nie byłeś na treningu? — zawołał.

— Zaraz się zamelduję, panie rotmistrzu — odpowiedział służbiście Maciek.

Przywiązał konie obok Trepaka i ruszył ku rotmistrzowi.

— Powinieneś udzielić mu urlopu — powiedział Kiczyłło — tropi kłusownika.

Maciek trwał w postawie zasadniczej.

— Panie rotmistrzu, proszę o przebaczenie.

— Przebacz mu, już go prawie wytropił.

— Niech mu pan przebaczy! — zawołała Iga, a Tarka zaczęła ujadać z wysokości siodła.

— Nawet Tarka wstawia się za nim — rzekł Kiczyłło. — Spokojnie, Tarczka, spokojnie.

Podszedł do koni, żeby uspokoić suczkę, która usiłowała się wygrzebać z chlebaka.

— Naprawdę nie mogłem, panie rotmistrzu — zapewnił Maciek.

— No dobrze, odrobisz przed wieczorem.

— Wedle rozkazu! — huknął Maciek uradowany, że mu się tym razem upiekło.

Nagle rozległ się tętent. Maciek obejrzał się.

Między groblą a padokiem umykał na Roksanie Leszek Kiczyłło!

Maciek rzucił się ku koniom. Iga pobiegła za nim.

— Zabierz mnie!

Konie rwały się, sosenka chodziła jak na wietrze.

— Na Bumeranga! — rzucił Maciek. Pomógł Idze wsiąść. Sam skoczył na Trepaka.

— Ju-hu! — zawołał dziko i na łeb, na szyję pognał za zbiegiem.

Za nim na Bumerangu pędziła Iga.

Galopy za ogrodzeniem wprawiły roczniaki w nadzwyczajne podniecenie. Już na widok Roksanę część stada porzuciła igraszki w piaskownicy i pognęła gryząc się i bijąc zadami. Odprowadziwszy Roksanę — wewnątrz ogrodzenia — aż do olch, rozbrykana gromadka zatoczyła duże półkole. Nagle ujrzała zrywające się do galopu Trepaka i Bumeranga. Ten widok poderwał i resztę stada. Ponad trzydzieści źrebców rwało skrajem okólnika ku olchom, wzbijając pacyny zbitej trawy. Te, które biegnęły na czele, wzięły pęd największy i nie zwalniały, mimo że północna część ogrodzenia była tuż, tuż. Dopiero w ostatniej chwili przodownicy rzucili się w prawo. Za późno! Galopujące z tyłu wpadły siłą rozpędu na przodowników, odrzuciły na ogrodzenie i gęsto w tym miejscu rosnące olchy. Trzy śmigłonogie źrebce,

które biegły na samym przodzie i zdążyły już skręcić, nie wytrzymały bocznego uderzenia i zwały się pod nogi rozpędzonego stada. Jakiś rosły gniadosz uniósł się niby do skoku i wbił przednimi nogami w gęstwinę olch. Żerdzie ogrodzenia trzeszczały i gięły się pod parciem końskich piersi.

Maciek był w siódmym niebie. Przypomniały mu się wyczyny sprzed lat. Gdy był małym chłopcem i jeszcze nie rozumiał, że pierwszym obowiązkiem jeźdźca wobec młodego konia jest łagodność i spokój, zakradał się czasem do okólnika, wskakiwał na pierwszego z brzegu źrebca i płoszył stado. Przepadał za taką dziką jazdą w tłumie stłoczonych koni, w tumanach kurzu, wśród gwałtownego tętentu, kwiku gryzących się zabijaków. Długo nie mógł się wyrzec tych szaleństw, choć przyłapany otrzymywał dwadzieścia razy egzekwowanych najbardziej ciętą szpicrutą z ojcowskiej kolekcji...

Obejrzał się na Igę.

Galopowała tuż za nim — z rozwianym włosom, z przerażeniem w oczach.

— Trzymaj się!

Minęli okólnik i rozszalałe stado. Szosa była już niedaleko.

Jechał teraz ze wzrokiem wbitym w ślad kopyt Roksany. Przed szosą ślad gwałtownie skręcał w prawo.

— Za mną! — zawołał i skierował Trepaka w prawo.

Szosa biegła łagodnym zakolem i Kiczylło wciąż był poza zasięgiem ich wzroku. Na szczęście ślady na poboczu nie budziły wątpliwości: przed chwilą Leszek galopował tędy w kierunku Ludyni. Czego on tam szuka, u licha?!

Nagle Maciek zdarł konia. Siad urywał się. Widać było, że w tym miejscu Leszek wjechał na asfalt. „Chcesz mnie wywieść w pole?” — pomyślał Maciek. Przejechał na drugą stronę szosy. Spojrzał: śladów nie było. Najwidoczniej Leszek chciał za wszelką cenę zgubić pogoń i dalej pojechał asfaltem.

— Czekał tu na mnie! — zawołał Maciek. Iga wstrzymała Bumeranga.

Jechał truchcikiem, pilnie obserwując oba pobocza. Przejechał pół kilometra — nic, przejechał kilometr — nic. Czyżby przegapił? Nie, to

niemożliwe. Pobocze piaszczyste, świeżo usypane, ślady Roksany byłyby widoczne z daleka. Nie, nie mógł przeoczyć.

Dalej nie było sensu jechać. Leszek nie męczyłby konia — na asfalcie taki szmat drogi. Ale co się z nim stało? Przecież nie pofrunął wraz z koniem? Dzień był pogodny, jasny, z lasu dochodził śpiew ptactwa, ale Maćkowi zrobiło się jakoś nieswojo.

Zawrócił i pognął z powrotem.

Jechał ze wzrokiem utkwionym przed siebie — za chwilę skończy się zakręt, ujrzy Igę na Bumerangu.

Mocniej ścisnął boki konia. Trepak stulił uszy i sadził potężnymi susami, chrapiąc z wysilenia.

Powoli otwierała się przed Maćkiem perspektywa szosy.

Tam zostawił Igę, tam przy tym brzeźniaku... Ale Igi nie było, ani przy brzeźniaku, ani gdzie indziej.

Gwałtownie ściągnął wodze. — Igaaa!

Odpowiedziało mu echo.

Śmiertelny strach ścisnął chłopca za gardło.

## **POJMANIE KŁUSOWNIKA**

Gdy Maciek odjechał szukać Roksany, Iga miała małą przeprawę z Bumerangiem, towarzyski czworonóg uparł się biec za Trepakiem. Powstrzymywany wędzidłem — dał wreszcie za wygraną. Nie bez wpływu na ową gotowość do ustępstw pozostawał fakt, że amazonka — szukając za wszelką cenę porozumienia — wbrew zasadom ekwitacji pozwoliła koniowi pożywiać się sośniną. Iga była zachwycona, zarówno sobą jak i koniem — po raz pierwszy została z Bumerangiem sam na sam i tak świetnie się porozumiewają.

Przedzierali się właśnie przez gęstwiny, gdy nagle usłyszała gwałtowny tętent: wąską przecinką, tuż przed nosem Bumeranga, przegalopowała Roksana z Leszkiem i Tarką na grzbiecie. W Bumerangu dokonała się

gwałtowna zmiana: z dobrodusznego partnera, wrażliwego na najłżejsze sygnały, przemienił się w krewkiego Bucefała — nie zważając na zaciągnięte wędzidło, ruszył z kopyta za Roksana. Iga przypadła do szyi konia i w ten sposób uniknęła zderzenia z gałęzią. Bumerang pognał przecinką. Leszek był już niewidoczny, ale Bumerang, mając w nozdrzach zapach klaczy, nieomylnie galopował jej śladem.

Jak długo trwała ta szalona pogoń, Iga nie umiałaby powiedzieć. Niewiele też szczegółów pozostało jej w pamięci. Wiedziała tylko, że wciąż utrzymuje się w siodle. Puściła wodze i kurczowo uchwyciła się lęku. W pewnym momencie zgubiła prawe strzemię. Już myślała, że spadnie, gdy cudem odnalazła stopą rozhuśtane żelazo. Przecinka biegła prosto, jak strzełił, ale miejscami zwężała się i wtedy gałęzie biły dziewczynkę po głowie i ramionach. Niekiedy uderzenia były tak silne, że obawiała się, iż któreś strąci ją z konia. Na szczęście dalej było już cały czas szerzej i to biczowanie skończyło się.

Nagle Bumerang gwałtownie skręcił w lewo. Iga wyleciała z siodła. Trafiała w młody chojak. Ugiął się jak resor i złagodził upadek.

Kiedy otworzyła oczy, uprzednio ze strachu zamknięte kurczowo, wzrok jej padł na konie. Stały w odległości kilkunastu kroków, przy drzewie, do którego przywiązana była Roksana. Klacz pieszczotliwie chwyciła wargami skórę na szyi Bumeranga. Leszka i Tarki nie było. Dopiero na końcu zainteresowała się sobą. „Żyję” — pomyślała.

W chwilę po tej radosnej konstatacji usłyszała tętent nadjeżdżającego Trepaka.

Maciek zeskoczył z konia.

— Żyję — powtórzyła Iga, tym razem głośno.

— To dlaczego nie wstajesz? — spytał ostro, ale blady był bardzo.

— Bo dobrze mi leżeć. Pomógł jej wstać.

— No, jak? Przeszła kilka kroków.

— Nawet niczego nie złamałam — stwierdziła rozczarowana.

Parsknała śmiechem, ale zaraz spoważniała.

— Gdzie Leszek?

— Gdzieś tu musi być. Tam stoi Roksana.

— Wiem. Nie słyszałaś strzału?

— Nie.

— Musimy mu przeszkodzić.

Od pola doszedł ich jakiś metaliczny dźwięk.

— Repetuje broń! Podkradli się na skraj lasu.

W odległości kilkudziesięciu metrów stał ciągnik z przyczepą. Czesiek Rzepiński majstrował przy motorze. Był sam.

— Zostaniesz tu i będziesz miała oko na konie — szepnął Maciek. — Jeśli zobaczysz Leszka, nie odstępuj go na krok. Przy tobie nie będzie strzelał.

Ukryła się w kępie jałowców. Odczekał chwilę i wyszedł z lasu.

— Hej!

Rzepiński odwrócił się gwałtownie. „Jak zaskoczony rewolwerowiec” — pomyślał Maciek.

— Hej!

— Nawalił?

— Nie wielkiego.

Maciek popatrzył na załadowaną przyczepę. — Już do domu?

— Po obiedzie wrócę. Maciek oparł się o traktor..

— To już całkiem nie pilnujesz kłusownika? Żebyś tylko nie przechytrył — powiedział obojętnie.

Rzepa przestał majstrować. Podniósł wzrok na Maćka.

— Jeśli coś wiesz, to mów.

— Co ja mogę wiedzieć. Tak sobie powiedziałem Rzepa odłożył klucz.

— Zauważyłeś coś?

— Właściwie to nic.

Ciężka łapa spoczęła na ramieniu chłopca.

— Powinieneś mi powiedzieć.

Maciek chciał się cofnąć, ale ręka Rzepińskiego przygwoździła go na miejscu.

— Dzień dobry. Obejrzeni się.

Leszek Kiczyłło rozsunał krzaki i wyszedł na pole. Na ramieniu miał

dubeltówkę, przy nodze — Tarkę. Rzepiński uwolnił ramię Maćka.

— Czesio ma rację, Pafnucy — mówił Kiczyłło podchodząc — powinieneś z dorosłymi podzielić się wynikami śledztwa, które prowadzisz z takim nakładem energii...

Przystanął, żeby otrzepać się z igliwia. Przez cały czas uważnie się rozglądał.

— A gdzie Rzepicha?

— Nie wiem.

— Nie wiesz? A ciebie co sprowadza na Dołowatkę?

— Chciałem zobaczyć, jak Czesio orze.

— A właśnie, Czesiu, myślałem, że Marchwicki tu orze?

— Zapaskudzał wtryskiwacz, to mnie ściągnęli. Kiczyłło skinął ze zrozumieniem głową. Spojrzał na siostrzeńca.

— Zadziwia mnie, Pafnucy, szybkość, z jaką przerzucasz się z miejsca na miejsce. Czy ty przypadkiem nie używasz czarodziejskiego dywanika?

— Kłusownika tutaj szuka — powiedział Rzepiński.

— Pafnucy! Co za pomysł? Tutaj? śmiejąc się Kiczyłło obszedł traktor dookoła. Tarka podążała za nim. Z niesmakiem odwracała pysk od zapachów bijących z motoru.

— Gdzież on się schował?

Stary zgrywus zajrzał pod przyczepę.

— Tu go nie ma.

Podniósł dłonie do ust i zawołał w stronę jałowców, w których siedziała Iga:

— Panie kłusowniku! Wyłaż, acan! Nagle wzrok jego padł na Tarkę.

— A ty co tak za mną łazisz? Przywitaj się.

Tarka skoczyła się witać. Korzystając z tego, że Maciek schylił się, aby ją pogłaskać — polizała go w nos. Przywitała się także z Rzepińskim i wróciła do pana. Stanąwszy przed nim, zaczęła niecierpliwie i prosząco skomleć.

— Chcesz się popisać? Znalazłaś zacne audytorium i występów ci się zachciało?

— Jadę już — powiedział Rzepiński.



— Nie rób jej przykrości. Wiesz, jak się lubi popisywać.

Maciek uśmiechnął się: to prawda, że Tarka lubiła się popisywać, ale jeszcze bardziej Leszek lubił się popisywać Tarką. Trzeba przyznać — było czym. Skorupa, który na psach myśliwskich znał się jak mało kto, zwykł był mawiać, że Tarka jest najlepiej ułożonym psem, jaki kiedykolwiek towarzyszył człowiekowi w łowach. Jego zdaniem umiała wszystko: z równym powodzeniem mogła pełnić funkcje wyźła, jak i posokowca, mogła być też użyta jako płochacz.

Maciek obserwował sztywny, uroczysty krok Tarki, postępującej w las za swym panem. Czują, że zbliża się upragniona chwila.

Kiczyłło zatrzymał się i zwrócił twarzą w stronę ciągnika. Po jego prawej ręce, w odległości trzydziestu kroków, znajdowała się kępa jałowców, w której przycupnęła Iga. „A może krzyknąć, żeby wyszła z ukrycia?” — pomyślał Maciek. Był pewien, że Leszek chce ich ośmieszyć. Zachciało wam się tropić pana kłusownika? Taaak? To pan kłusownik da wam nauczkę: nie wy jego, ale on was wytropi. Piskorz wyśliźnie się z więcierza, a tego, co zastawia więcierz — ośmieszy. To się nazywa odwrócić kota ogonem. Leszek uwielbiał takie rzeczy.

Tarka przywarowała przy nodze pana. Była bardzo podniecona. Kiczyłło nachylił się i pogłaskał sukę. Rzuciła mu spojrzenie pełne miłości i oddania. Zdjął flintę z ramienia. Na ten widok Tarka pochyliła się do przodu. Maciek rozrzewnił się. To było zadziwiające, jak widok broni w rękach pana odmieniał sukę, przywracał jej młodość, kazał zapomnieć o reumatyzmie i zadyszce.

Gdy padł rozkaz: „szukaj”, Tarka rozpoczęła przekładanie terenu. Biegła z nosem przy ziemi, niekiedy zbaczała z obranego kierunku, żeby z bliska obwąchać coś, co wydało jej się podejrzanym, znów wracała i biegła dalej, coraz bardziej zbliżając się do jałowców. Maciek przymknął oczy. Za chwilę rozlegnie się triumfalne ujadanie psa, speszona Iga wyskoczy z ukrycia, a Leszek... Leszek uśmiechnie się po swojemu i powie: „Pafnucy”. Tylko tyle, ale takim tonem, od którego wszystko się w człowieku przewraca.

Maciek otworzył oczy i oniemiał — Tarka zatrzymała się przy jałowcach,

na moment wsadziła nos w krzaki i pobiegła dalej. Nieznaczny ruch ogonka zdawał się mówić: „wiem, że tam jesteś, ale teraz nie mam czasu na zabawy”.

Maciek spojrział zdumiony na Kiczyłłę. Leszek szedł wolno, noga za nogą, kierując się w stronę ciągnika. Nikły uśmiezek mówił o tym, że wyczuł spojrzenie siostrzeńca. Tarka biegła w poprzek drogi pana, zagarniając pokos za pokosem, jak grabiarka, którą puszcza się, aby zebrała pozostałe po kombajnie kłosa. Czego szukała? Czyżby nie chodziło o Igę? Więc o kogo? O Rzepę? Ale czego może chcieć Leszek od Rzepy? A może to jego chce wystrychnąć na dudka?

Tarka biegła niezmordowanie. Tyle, że coraz wolniej i z coraz większym wysiłkiem. Niełatwo jest biegać staremu psu, który ma zreumatyzowane nogi. Najbardziej dolegała jej tylna, lewa. Już po kilkudziesięciu metrach odmówiła posłuszeństwa i suka musiała ją podkurczyć. Ale przy przesadzaniu skib zawadzała nią o ziemię i wtedy z pyska Tarki wyrywało się bolesne skomlenie. Biedna, wiedziała, że skomlenie to hańba dla psa, który przekłada teren, ale nie mogła się powstrzymać.

Wyminęła ciągnik, z niesmakiem odwracając pysk. Bez przekonania zrobiła jeszcze dwa pokosy i zawróciła do pana. Szła z trudnością, wlokąc za sobą zad. Siadła i ziajała. Skończyło się przedstawienie, na powrót była starym, zreumatyzowanym psem, który po przebiegnięciu kilkudziesięciu metrów miewa przykre zadyszki.

— Tareczka! — zawołał Kiczyłło. Przyczołgała mu się do nóg.

— Tareczka, spróbujesz jeszcze?

— Wystarczy — powiedział zimno Rzepa.

Czekał cierpliwie, aż Tarka skończy, ale nie miał już zamiaru dłużej na to patrzeć.

— Tareczka... — Kiczyłło nachylił się nad suką. Nie spuszczała z niego zasnutych starością oczu.

— Tareczka, nie znalazłaś?

— Zostaw ją — powiedział Czesiek. — Zobacz, jaka nieszczęśliwa.

— Cześć! — Rzepa zbierał klucze z pokrywy silnika.

— Poczekaj.

— Od rana nic w gębie nie miałem.

— Nie możesz zrobić przykrości Tarce.

Rzepiński poszedł na tył przyczepy, otworzył skrzynię, włożył klucze, wyjął czystą szmatę i jął wycierać ręce.

Na to zdawał się czekać Kiczyłło.

— Tarka, pożegnaj Cześka! Pożegnaj!

Tarka skoczyła żegnać się z Rzepą. Jej nozdrza znalazły się w najbliższym sąsiedztwie skrzyni. I wtedy odmieniła się. Boże, jak ona zaczęła ujadać! To był głos młodego myśliwskiego psa, który znalazł martwą zwierzynę i teraz obwieszcza swój triumf, i przywołuje myśliwego. „Przybywaj, znalazłem, zabierz tego swojego zwierzaka”.

Kiczyłło rzucił się naprzód, ale Rzepiński uprzedził go. Wziął rozmach i kopnął psa. Podbiciem, jak obrońca piłkę spadającą na pole podbramkowe. Przerażliwie skomlać, Tarka zatoczyła łuk i spadła na zoraną ziemię. Pozbierała się z trudem, ale gdy tylko stanęła na nogach, skomlenie skrzywdzonej psiny przeszło na powrót w ujadanie posokowca, dającego posłanie myśliwemu. Parła przez skiby na swój posterunek, zajadła, gotowa walczyć i zginać.

— Weź sukę, bo ją. przejadę — rzekł spokojnie Czesiek.

— Nie odjedziesz — powiedział Kiczyłło podchodząc. “

— Ty mnie zatrzymasz?

— Najpierw ja, a potem milicja.

Rzepiński wyrwał sztucer spod brezentu zrolowanego na skrzyni z narzędziami i skierował lufę w pierś Kiczyłły. „Sztucer! Skąd on ma sztucer?!” — przemknęło przez głowę Maćkowi.

Kiczyłło zatrzymał się w pół kroku.

— Rzuć broń.

Leszek zdjął dubeltówkę z ramienia i ostrożnie opuścił na ziemię.

— Masz swego kłusownika — powiedział Rzepiński, zwracając się do Maćka. — Leć po milicję. Ja go tu przypilnuję.

Maciek nie ruszył się z miejsca, blady był jak ściana.

— Na co czekasz?

Maciek otworzył usta, ale nie zdołał nic powiedzieć, bo nagle z kępy jałowców doszedł ich bojowy okrzyk Apaczów.

Rzepiński drgnął, lufa nieco zboczyła. Wykorzysta! to Kiczyłło. Rzucił się naprzód i oburącz chwycił za lufę. Rozległy się strzały. Ale Kiczyłło lufy nie puścił. Zmagali się trzymając obaj za sztucer. Tarka dobrała się do spodni pana łowczego. Szarpała, warcząc zajadle. Kiczyłło podłożył nogę Rzepińskiemu i wyrwał mu sztucer.

Nagle powietrze przeszył wysoki, chłopięcy głos:

— Ręce do góry!

Spojrzeli. Maciek mierzył do nich z dubeltówki. Oba kurki były odwiedzione.

Pierwszy odzyskał głos Rzepiński.

— Ręce do góry! — powtórzył za Mackiem, zwracając się do Kiczyłły.

Wuj i siostrzeniec mierzyli się wzrokiem.

— Rzuć broń — powiedział cicho Maciek.

Po twarzy Kiczyłły przewinął się nikły uśmieszek.

— Raczej położe, Pafnucy. Szkoda byłoby rzucać. To piękna sztuka.

Położył sztucer na ziemi i podniósł ręce do góry.

— Obaj! — rozkazał Maciek.

— Nie wygłupiaj się — powiedział ostro Rzepa, ale spojrzawszy uważniej na bladą twarz Maćka, podniósł ręce.

Kiczyłło zachichotał:

— Tareczka, zobacz, co z nami wyrabia ten niedobry Pafnucy...

Beztroski głos pana uspokoił sukę. Zamerdała ogonem i wróciła do obowiązków: zadzierając pysk, jęła znów ujadać na skrzynię.

— Pilnuj go — powiedział Rzepiński — pojedę po milicję.

— Nigdzie nie pojedziesz — odparł Maciek..

— Jadę...

Maciek rozejrzał się bezradnie.

— Iga!

Iga z ociąganiem wyszła spomiędzy jałowców.

— Witaj, Rzepicha! — zawołał Kiczyłło.

— Dzień dobry.

— Powiedz, jak się prezentujemy.

— Bardzo dobrze — wyjąkała.

— To tylko pozory, moja droga — mówił Kiczyłło tonem beztroskiej gawędy. — Rzeczywistość wygląda dużo gorzej. Pafnucy, chciałem ci zameldować, że odzywa mi się reumatyzm w lewym ramieniu. Musisz coś przedsięwziąć, bo długo tak nie wytrzymam.

Dzieci wymieniły bezradne spojrzenia.

— Leć po tatę — powiedział Maciek.

— Pafnucy, litości! — jęknął Kiczyłło. — To potrwa godzinę.

— Może ich związać? — zaproponowała niepewnie Iga.

— Czym? Czym ich zwiążesz? — zdenerwował się Maciek.

— Z przykrością stwierdzam, Pafnucy, że tracisz głowę.

Maciek wyprostował się.

— W tył zwrot! — skomenderował.

— Nareszcie coś się dzieje — ucieszył się Kiczyłło i wykonał w tył zwrot.

Rzepiński, ociągając się, zrobił to samo.

— Pięć kroków naprzód, marsz! — wołał Maciek.

— Raz, dwa, trzy, cztery... — liczył Kiczyłło, dziarsko maszerując ramię w ramię z Rzepińskim, — Jest pięć.

— Ręce złożyć na karku — komenderował Maciek.

— Jesteś humanitarnym szeryfem, Pafnucy. Co dalej?

— Uważaj, chce cię zagadać — ostrzegł Rzepiński — to szczwany lis.

— Czesio Sienkiewiczem przemawia — ucieszył się Kiczyłło. — Czesiu, w tekście jest: „szczwana to liszka...” No, Pafnucy, kto to powiedział?

Maciek rzekł machinalnie:

— Sotnik Hołody.

— Tak jest, sotnik Hołody. W chlewiku, gdzie trzymali pana Zagłobę.

— Mówiłem, że cię zagada — stwierdził Rzepiński. — Nie rozmawiać! — zawołał Maciek zły, że dał się wciągnąć w sienkiewiczowską zgadywanę.

— Słusznie, Pafnucy. Pozwól jednak sobie przypomnieć, że jeszcze nie wiemy, który z nas jest kłusownikiem?

— On ma wątpliwości!... — parsknął Rzepiński.

— Bo widzisz, Pafnucy, ja mam świadka.

— Dość tych błazeństw! — zawołał Rzepiński odwracając się.

— Czesiu, nie narażaj cennego zdrowia. Pafnucy jest chłopcem wrażliwym, może niechcący pociągnąć za język spustowy...

— Odwróć się! — zawołał Maciek. Rzepiński ponownie odwrócił się plecami.

— Pafnucy, zlituj się, świadek już zachrypl. Maciek spojrzał na Tarkę. Wciąż ujadła na przyczepę.

— Iga, zajrzyj do skrzyni — powiedział nagle. Iga podeszła do przyczepy.

— Tylko nie grzebać mi w narzędziach — rzucił ostro Rzepiński.

Iga zawahała się.

— Nie bój się! Trzymam go na muszce. Uchyliła wieko.

— Narzędzia...

— Odsuń plandekę...

— Zamknij skrzynię! — krzyknął Rzepiński.

— Tylko bez głupstw, Rzepa — rzucił ostro Maciek. Iga odsunęła narzędzia i podniosła plandekę.

— Łania, zabita...

Zrobiło się cicho. Tarka spoglądała triumfująco na ludzi. Już nie ujadła.

(

— Tareczka, kochana Tareczka...

— Przepraszam — powiedział cicho Maciek.

— Kogo, Pafnucy? — spytał Kiczyłło. Wciąż stał odwrócony plecami. — Tareczkę? Już ci przebaczyła...

— Ciebie.

— Mnie? — Kiczyłło wykonał w tył zwrot i, mocno przybijając, przeszedł pięć kroków. — Raz, dwa, trzy, cztery, pięć... Pięć kroków i znów jestem pełnoprawnym obywatelem.

— Opuść ręce, błagam.

Leszek opuścił ręce i podszedł do przyczepy. Zajrzał do skrzynki.

— Młodziutka.

— Trzeba kogoś zawiadomić? — powiedział Maciek. Wciąż trzymał Rzepińskiego na muszce.

— Tylko patrzeć nadleśniczego. Czesio już go zaalarmował — zachichotał Kiczyłło. — Ale wyjaśnij mi, Pafnucy, jakim cudem znaleźliście się tutaj?

— Iga pojechała twoim śladem, a ja jej...

— Rzepicho, jesteś wspaniała. Czytasz ślady jak zagończyk.

— Właściwie to Bumerang...

— Co? Bumerang czyta ślady?

— Nie, ale poczuł Roksanę, poleciał za nią jak wariat... Nie mogłam go utrzymać...

Kiczyłło roześmiał się.

— Nie przejmuj się, cna Rzepicho... Świat roi się od bohaterów mimo woli.

— Jada!

Jakoż z lasu wyjechali na rowerach: nadleśniczy, starszy gajowy Kalepa i plutonowy MO Fidelis Ciećwierz. Widać zdrowo musieli pedałowac, bo wszyscy trzej byli zadyszani, a twarze świeciły im od potu. Nadleśniczy jednym rzutem oka ocenił sytuację. Zeskoczył z roweru i ruszył przez pole ku Rzepińskiemu. Stał przed nim i, ciężko dysząc, patrzył mu w oczy. Nie odezwał się ani słowem. Podszedł Fidelis Ciećwierz. Drobny, na krzywych nóżkach, syn masztalerza z Pędzichówka. Dał znak Rzepińskiemu, żeby opuścił ręce, Szczęknęły kajdanki. Milicjant stanął obok Rzepińskiego. Nie wiedział, co zrobić z oczami. Ten, któremu założył kajdanki, był jego kolegą, najlepszym modelarzem w całej budzie.

Nadleśniczy ruszył w stronę ciągnika ciężkim krokiem. Jakby mu kto metr owsa zarzucił na plecy. Kiczyłło wskazał wzrokiem skrzynię z narzędziami i sztucer. Tamten ledwie na to spojrział. Marszczył czoło, jakby nie mógł zebrać myśli.

Kalepa podniósł łeb łani. W martwych ślepiach załamał się promień słońca.

— Miała być matką.

Nadleśniczy zacisnął pięści i rzucił się ku Rzepie. Kiczyłło chwycił go za rękaw.

— Puść, ja mu!... — szarpnął się nadleśniczy.

— Uspokój się.

Odeszli kilka kroków w stronę lasu.

— Miałeś rację.

— Niestety.

— Dziękuję.

Kiczyłło wskazał głową dzieci.

— Im podziękuj. Maciek! Iga! Podeszli.

— Dziękuję — powiedział nadleśniczy.

— Właściwie to wszystko zasługa Tarki — wykręcił się Maciek.

— No, to kto tu jest w końcu zasłużony?

— Iga!

— Bumerang!

— Maciek!

— Leszek!

— Tarka!

Krzyczeli jedno przez drugie. Do tego chóru włączyła się Tarka i zaczęła szczeakać na nadleśniczego.

— Sprzedasz?

Kiczyłło z uśmiechem pokręcił głową.

— Pytam jeszcze raz: kto jest najbardziej zasłużony?

— To wymaga dłuższego wyjaśnienia; — Kiczyłło dla lepszego efektu ujął się pod boki. — Władco kniei...

— Krótko...

Nie dał się zbić z pantałyku.

— Władco kniei! Pytasz o zasłużonych? Tedy ci odpowiem: imię ich legion... Masz tu do czynienia z klasycznym przykładem zespołowego działania. Ale przyznaję, że pierwszeństwo należy się damom. Oto prima inter pares. — Kiczyłło złożył przed Igą ukłon, którego nie powstydzilby się sam d'Artagnan.



— Ona?

— Rzekłeś, władco kniei... Ta oto dziewczyna z dalekiego miasta obezwładniła kłusownika indiańskim okrzykiem, przedtem odczytawszy moje ślady niczym przesławny zagończyk pan Ruszczyć.

Nadleśniczy nasrożył się.

— Słyszycie, Kalepa?

— Słucham.

— Dziewczyna z miasta bezbłędnie odczytuje ślady, a wy co odczytaliście na Rojnie ze śladów małego Kasickiego?

— Ja?...

— A kto? — huknął nadleśniczy.

Widać posiadał cenną umiejętność zapominania tego, o czym nie chciał pamiętać.

— Oto zbawienny wpływ dobrej książki — deklamował dalej Kiczylło. — Panienska znalazła na pewno „Pończochę”, w Pędzichówku pogłębiła znajomość z mistrzem Henrykiem i rezultaty nie dały długo na siebie czekać.

Nadleśniczy roześmiał się.

— Kalepa?

— Tak jest?

— Papier i ołówek! Zapiszcie lekturę uzupełniającą. Kalepa nie zwlekając zabrał się do poszukiwań. Po chwili z jednej kieszeni wyciągnął notes, a z drugiej gryzek ołówka. Ostrożnie poślinił grafit i spojrzał wyczekująco.

— Macie?

— Tak jest.

— Piszcie: „Trylogia”, Henryk Sienkiewicz... Już?

— Zaraz.

— Prędzej... „Skórzana Pończocha”.

— Co proszę?

— Głusi jesteście? „Skórzana Pończocha”!

Kalepa stawiał litery wolniutko, niewygodnie mu było pisać bez podpórki.

— Macie?

— Poń-czo-cha...

— Więc „Skórzana Pończocha”... Tego...

— Coopera! — zakrzyknęły dzieci zgodnym chórem.

— Tak, Cooper... James Fenimore Cooper — powiedział nadleśniczy i twarz mu się rozjaśniła jeszcze bardziej. Zakamarki pamięci otworzyły się i nadleśniczy zobaczył nie tylko imię autora, ale i wiele dni swego dzieciństwa.

# A JEDNAK SHERLOCK HOLMES BYŁ W PĘDZICHÓWKU

Szli pieszo prowadząc za sobą konie. A że nadleśniczy i Ciecwierz wcześniej wyruszyli z Rzepińskim do pegeeru, gdzie spodziewali się dostać podwodę, a Kalepa pozostał dla pilnowania traktora i nieszczęsnej łani, przeto nasza trójka mogła się sobą nacieszyć i nagadać do woli. Trójka? A Tarka, kochana Tareczka to się nie liczy? I to jeszcze jak się liczy! Patrzcie no, jaka zadowolona! Siedzi w chlebaku przytroczonym do siodła, wystawiła czerwony ozorek i śmieje się od ucha do ucha. A co pewien czas ujada tym swoim starczym dyszkancikiem. Wiadomo, o co jej chodzi: chce zwrócić na siebie uwagę ludzi i koni. Ejże, czy to ładnie tak?! Zapomnieć o koniach! A przecież wszystkie trzy, zarówno Bumerang, jak i piękna Roksana czy młody Trepak, też należą do kompanii. I one biorą udział w rozmowie. A jakże! Bumerang potakująco parska, a Roksana natychmiast to potwierdza pełnym wyrazu machnięciem ogona.

Szła więc nasza siódemka — nie: trójka! — radosna i bardzo głośna, bo jej było tak, jakby świat do niej należał.

— Ależ ten Leszek nabujał! — śmiała się Iga.

— Ja? Rzepicho!

— A kto opowiadał, że odczytywałam ślady Roksany?

— Chcąc przydać barwy wydarzeniom, musiałem nieco koloryzować. Nie mogłem przecież powiedzieć, że jechałaś z duszą na ramieniu i trzymałaś się lęku.

— A ty skąd wiesz, że jechałam z duszą na ramieniu?

— Domyślam się. Niesłusznie?

— Oj, słusznie, słusznie. Roześmieli się.

— Najadłaś się strachu?

— Oj, najadłam, najadłam.

— Pafnucy, to musi pozostać tajemnicą. Nie wolna nam również słówkiem pisać, że nasza bohaterka spadła z Bumeranga.

Aż się zatrzymała.

— A ty skąd wiesz?

— Domyślam się. Niesłusznie?

— Oj, słusznie, słusznie.

Znów wybuchnęli śmiechem. Tarka uczyniła taki jazgot, że Trepak przystanął i zastrzygł uszami.

— Takiego mam siniaka — Iga zakreśliła w powietrzu ogromne koło.

— A jak potem złapałaś Bumeranga?

— Nie potrzebowałam go wcale łapać, spadłam, kiedy się już zatrzymał.

— Wobec tego spadłaś za metą. Rzepicho, twój upadek w ogóle się nie liczy! Siniak również...

— Kiedy boli!

— Nie może boleć, skoro go nie ma. — Ależ jest!

— Nie może być, skoro się nie liczy. Maciek uznał, że najwyższy czas, aby nieco uwagi poświęcić i jego skromnej osobie.

— Nie masz pojęcia, jaka ta dubeltówka ciężka — powiedział do Igi. — Ręka mi zdrętwiała, gdy ich trzymałem na muszce.

— Widziałam, że ci drżała — rzekła Iga.

— Co ty opowiadasz? Ręka mi drżała? Wcale mi nie drżała. Leszek, widziałeś, że nie?

— Jak mogłem widzieć, jeśli kazałeś mi się odwrócić plecami.

Maciek zmieszał się.

— Naprawdę się nie gniewasz, że cię tak potraktowałem?

— Nie mogłeś inaczej, Pafnucy. Byłeś w sytuacji sędziego na boisku piłkarskim, wykluczającego z gry dwóch zawodników, gdy nie jest pewny, który z nich jest winny.

— Ależ ja byłem pewny! Myślałem, że ty jesteś kłusownikiem! — zawołał z pretensją Maciek.

— Przepraszam, że sprawiłem ci zawód.

— Ja już sobie wszystko ułożyłem: ty krocysz złą drogą, a ja

sprowadzam cię na dobrą.

— Dobrodzieju mój.

— On naprawdę był na wszystko przygotowany — wtrąciła Iga. — Nawet mowę przygotował na twój pogrzeb.

— Wiesz, na wypadek, gdybyś umarł — pospieszył z wyjaśnieniem Maciek.

— Co za pech, że żyję: nie wysłucham twojej mowy!

— Powiem ci kiedyś. Zaczyna się od słów: „Leszku, towarzyszu młodzieńczych wypraw”.

— Nawet nieboszczyka wzruszenie chwyciłoby za gardło. Ale czy mógłbyś mi wyjaśnić, z jakiego powodu miałem umierać?

— No, z tego postrzału na Rojnie.

— Pafnucy, ja nie byłem wtedy na Rojnie.

— A bandaż? Gdy byłem u ciebie we wtorek miałeś bandaż na ramieniu.

— Ach, to te korzonki. Czasem tak mnie teraz bark rwie, że nie mogę wytrzymać. Przyłożyłem sobie kapsiplast i zabandażowałem, to rozgrzewa i trochę ból ustępuje. Ale słuchaj no, Pafnucy, dlaczego kazałeś Rzepie podnieść ręce do góry, skoro byłeś pewny, że to ja jestem kłusownikiem?

Maciek podrapał się w głowę.

— Sam nie wiem. Ale jak was tak razem zobaczyłem, pomyślałem sobie, że to nie możesz być ty. A jak nie ty, to on. Albo może nawet nie pomyślałem. Wiesz, ja wtedy niewiele myślałem. Ale złość mnie wzięła, kiedy on zawołał do ciebie: „ręce do góry!” On ci będzie rozkazywał.

— Chciał odwrócić uwagę od siebie.

— To był dobry blef.

— Trochę za dobry.

— Masz rację: za dobry. Wtedy zacząłem go podejrzewać.

— Ja trochę wcześniej.

— Będziesz się ze mnie śmiał, ale ja wielu rzeczy nie rozumiem.

— To bardzo dobrze, Pafnucy, przedwczesna dojrzałość umysłu zawsze mnie przerażała. Pytaj zatem.

— Czy ty od dawna prowadzisz śledztwo?

— Od niedawna, ale od dawna chciałem się tym zająć.

— Zawsze mówiłeś, że nie lubisz takich rzeczy.

— Ktoś wreszcie musiał wyjaśnić zagadkę. Narobiła wiele szkody. Nie tyle wśród zwierząt, co ludzi. Tu ludzie są wyjątkowo ufni, serdeczni, dobrzy. I od trzech lat, od czasu, gdy zaczęło się to kłusownictwo, wszystko zaczęło się psuć. Sąsiad zaczął podejrzewać sąsiada, ludzie patrzyli na siebie inaczej niż przedtem. Każdy mężczyzna mógł być tajemniczym kłusownikiem. Podejrzliwość zatruwa umysły. Czy wiesz, Maciek, że na przykład rotmistrz podejrzewał, co prawda bardzo krótko, ale jednak podejrzewał, iż to twój ojciec jest kłusownikiem? I was dotknęła epidemia, wszyscy zaczęli wam się wydawać podejrzani. Prawda?

Maciek i Iga skinęli głowami. Słuchali z wielkim przejęciem.

— Nie zdajemy sobie sprawy, jaką krzywdę wyrządzamy ludziom podejrzewając ich niesłusznie. Moim zdaniem podejrzany staje się automatycznie gorszym człowiekiem. Rodzi się w nim poczucie krzywdy, bunt i, powiedziałbym, realna możliwość popełnienia złego uczynku. „A więc tak? Podejrzewacie mnie? To ja wam pokażę...”

— Tak jest, tak jest! — zawołał Maciek. — Mnie kiedyś podejrzewał dyr, że mu kredą wyrysowałem barana na plecach marynarki. Ciągle do tego wracał. Przyznaj się i przyznaj. W końcu miałem dosyć. Tak? Pan dyrektor mnie podejrzewa? Dobrze! I nie było dnia, żebym nie zrobił jakiejś draki. Woła mnie wreszcie i powiada: „Mam cię wylać z budy? Co się z tobą dzieje?” A ja mu na to: „To dlatego, że mnie pan podejrzewa o tego barana”. Pomyślał i mówi: „Już cię więcej nie będę podejrzewał”. I był spokój. Żadnych drak. Byłem jak aniołek.

— Długo wytrzymałeś?

— O bardzo długo, przeszło tydzień. Roześmieli się.

— A kto narysował tego barana?

— A ja.

— No, to dyr cię słusznie podejrzewał?!

— Słusznie, ale ja nie lubię, jeśli mnie ktoś nawet słusznie podejrzewa.

Leszek i Iga wybuchnęli śmiechem. Jak ten coś powie, to nie trzeba po

świecie szukać. Tarka rozjazgotała się okropnie, a Trepak przystanął i zastrzygł uszami.

— On jest zupełnie niemożliwy, ten twój Pafnucy — powiedziała Iga.

— Teraz wiem, dlaczego nazwałem go Pafnucym. Miałem nadzieję, że to imię, przywodzące na myśl umiar i skromność, odmieni tego wariata. Niestety!

— Czego wy chcecie ode mnie? — bronił się. — Po prostu jestem bardzo wrażliwy.

— Kwiat cieplarniany. — Mimoza.

— Słuchać hadko! — zawołał i zwrócił się do Kiczyłły: — Może byś wreszcie opowiedział, jak rozwiązałeś zagadkę?

— Prosimy! — dołączyła się Iga.

— Nie była to łatwa sprawa. Przede wszystkim ze względu na wielki spryt Rzepy i jego wprost znakomitą znajomość lasu i obyczaju zwierząt. Mylące było także to, że był kłusownikiem wyłącznie dla sportu, igrał z niebezpieczeństwem i zawsze zaskakiwał. Był zaprzeczeniem kłusownika, któremu chodzi tylko o zysk. Nigdy na przykład nie uprawiał wnykarstwa czy sidlarstwa. Wyłącznie strzelał. I to zawsze z fasonem! Popisywał się, nieledwie chwalił, że zabił. Na widocznych miejscach zostawiał posokę czy ślady patroszenia. I prawie we wszystkich przypadkach sam, ale już jako czujny łowczy, odkrywał zbrodnię. Pozwalało mu to na pewne retusze, na zatarcie zbyt wyraźnych śladów, a następnie skierowanie śledztwa na fałszywy ślad. Od dawna miałem niejasne przeczucie, że to on, jakoś mi to wszystko do niego pasowało, właśnie do Czesia Rzepińskiego, takiego, jakim go znałem. Nie zdradzałem się jednak z podejrzeniami. Jak tu zresztą podejrzewać łowczego, który nie tylko odkrywa zbrodnię, ale i uczestniczy w śledztwie, ma mir wśród gajowych i członków koła łowieckiego. Do tego wszystkiego pan nadleśniczy za punkt honoru uważał nakrycie kłusownika bez pomocy milicji. Zgłaszał wypadki, to prawda, ale prosił o pozostawienie swobody działania. I to właściwie nie sobie, lecz Rzepie, z którego zdaniem bardzo się liczył. I jeszcze jedno: atmosfera, o której wam mówiłem, sprawiła, że nawet członkowie koła myśliwskiego obawiali się pokazywać z

bronią, aby nie ściągnąć na siebie podejrzania. Również i Czesio prawie nigdy nie pokazywał się ze sztucerem. A już w momencie kiedy padała ofiara kłusownika, nikt go nie widział uzbrojonego. Zawsze postarał się o jakieś murowane alibi.

— To, że oddał ci sztucer do naprawy, to też był dobry numer, co?

— Mistrzowskie posunięcie! Gdy padł Bartek, Rzepa był bez broni. Nikomu do głowy nie przyszło, że miał drugą, nielegalną, ukrytą na traktorze. Dopiero dziś ruchomy arsenalik został zdekonspirowany. Początkowo przypuszczaliśmy, że kłusownik ukrywa broń w lesie.

— Bracie mej matki...

— Słucham cię, Pafnucy?

— Wiesz co? Sherlock Holmes to ty jednak nie jesteś.

— Chyba masz rację, ale jak na to wpadłeś?

— Sherlock od razu by się domyślił, że Bartka wywiózł Rzepa w skrzyni. Przecież on pierwszy przejechał betonem. To przecież jasne.

— Teraz to wydaje się proste i oczywiste, ale przed kilkoma dniami wszystkim — podkreślił z naciskiem Leszek — wszystkim wydawało się tajemnicze i zagmatwane. W takiej atmosferze z igły robi się widły, a z ukochanego wujaszka — kłusownika. Trzeba więc oddać sprawiedliwość Sherlockom Holmesom, którzy w dniu zabójstwa Bartka posłuchali głosu rozsądku i dokładnie obejrzel skrzynię. I cóż stwierdzili? Skrzynia, o dziwo, była otwarta! I pełna narzędzi, poukładanych jak w gabinecie dentystycznym. Dwaj detektywi posunęli swą podejrzliwość tak daleko, że wyjęli fartuchy z narzędziami, aby obejrzeć deski. Obejrzel i nie znaleźli kropelki krwi. Teraz wiemy dlaczego. Przygotowując skrzynię do transportu swoich ofiar, Rzepa wykladał ją plandeką i podwójnym nylonem.

— Jacy dwaj detektywi?

— Nadleśniczy i ja.

— Nadleśniczy?! A mówiłeś, że on nie podejrzewał Rzepy?

— Nie podejrzewał, ale poszlaka była zbyt wyraźna. Musiał się zgodzić na oględziny skrzyni. Obejrzelismy ją na moją prośbę. Poparli mnie rotmistrz i Skorupa.



— I oni zostali dopuszczeni do tajemnicy?

— Wieczorem, w dniu zabicia Bartka, odbyła się tajna narada wielkiej czwórki. Wtedy po raz pierwszy padło nazwisko Rzepińskiego jako podejrzanego o kłusownictwo.

— A dlaczego rotmistrz wykradł od nas sztucer? — Ach, wtedy. Chcieli mnie ze Skorupą uzbroić, ale odesłałem ich z powrotem razem ze sztucercem. Obrazili się. Znasz rotmistrza, lubi działać zbrojno i konno. Bardzo nam brakowało ich pomocy. Dokooptowaliśmy Bolka Kubasiewicza. Bardzo się zdziwił i ucieszył. Rzepa rzucił na niego podejrzenie...

— Miałeś mówić o skrzyni.

— Ale ty mi stale przerywasz. Przełomem w śledztwie była moja druga sekretna wizyta w Krzysku. Wiedzieliśmy już przedtem, że kłusownik jest wyjątkowo bezczelny. Strzelał nieledwie w miejscach publicznych. Raz znaleziono posokę na przystanku autobusowym. Sprawiało to wrażenie popisu, prowokacji. Nasuwało najbardziej niedorzeczne przypuszczenia. Dopiero po dokładnym przestudiowaniu wszystkich jego wyczynów doszliśmy do wniosku, że chciał sobie ułatwić transport zwierzyny. Zabijał na twardych, uczęszczanych drogach albo w najbliższym ich sąsiedztwie. Były to z reguły drogi dojazdowe ciągników. Poleciałem do Krzyska. Marchwicki dał mi do przejrzania wykaz prac za ubiegłe trzy lata. Zbieżność miejsc była uderzająca: ofiara kłusownika padała najczęściej tam, gdzie Rzepa orał, kosił czy zwoził. Zaniosem wiadomość nadleśniczemu. Przypomnieliśmy sobie samotnicze upodobania Rzepy. Lubił orać na odległych polach, tam gdzie inni traktorzyści nie chcieli jechać. Najczęściej orał pod lasem. Przyczepę mógł zostawiać koło przesmyków. A kłusownik zabijał w pobliżu przesmyków...

— Jakich przesmyków? — spytała Iga.

Leszek pokazał ręką na las. Był gęsty i mocno podszyty, ale z miejsca, gdzie stali, można było dostrzec ciemny, pionowy wylot.

— Tam masz przesmyk. Kiedy nadejdzie noc, jelenie opuszczają ostoję w głębi lasu i wyprawiają się na uprawne pola. Ciągną ulubioną ścieżką, którą myśliwi nazywają przesmykiem.

— Ale przecież Czesiek w nocy nie orał.

— Ale i w dzień jeleni wyjdzie z lasu. Zresztą Rzepa potrafił mu pomóc. Tak pomógł Bartkowi.

— W jaki sposób? — spytał Maciek, w najwyższym stopniu zainteresowany.

— Pozwól, że najpierw skończę o skrzyni... Doszliśmy z nadleśniczym do wniosku, że kłusownik zabija dopiero wtedy, gdy ma zapewniony transport. Była to oczywiście przesada. Ale wówczas wydawało nam się, że jeśli będziemy pilnować ciągnika, to jakbyśmy trzymali kłusownika za rękę. Zacząłem pilnować wiosennych podorywek. Od tego zaczynałem dzień. Szedłem tam, gdzie orano, żeby sprawdzić, czy to nie Czesio orze. Licząc się z tym, że zmiana za kierownicą może nastąpić w ciągu dnia, włóczyłem się po okolicy i słuchałem, jak traktor hałasuje. Gdy usłyszałem jałowy bieg, leciałem na łeb, na szyję, przekonany, że już się zaczęło. A to po prostu Marchwicki zostawiał ciągnik na chodzie i szedł na stronę. Trochę mnie to zraziło i już nie tak pilnie doglądałem wiosennych podorywek. Moje zainteresowanie orką nie uszło uwagi Rzepy. Zrozumiał, że go podejrzewamy. Udając całkowite oddanie śledztwu, wziął w pracy kilkudniowy urlop, nie pokazywał się w Krzysku, nie obchodziły go traktory. Daliśmy się wywieść w pole. Przypuszczaliśmy, że zmienia system, że wpadł na jakiś inny pomysł. Bo że zrezygnował — nie myśleliśmy. Wiedzieliśmy, że stanie na głowie, aby tym razem znów był dublet. I my więc zmieniliśmy system. Zamiast doglądać orki, postanowiliśmy się skoncentrować na obserwacji jeleni i lasów. Na to trzeba było zastępu ludzi. Ale tych — w sposób mistrzowski — odebrał nam Rzepa.

— Rzepa?! — wykrzyknęli równocześnie Iga i Maciek.

— Przed świętami rozpuściliśmy wiadomość, że nadleśniczy wyjechał. Rzepa pozostawił rzecz bez komentarza. Ale gdy poczuł zaciskający się wokół niego pierścień, wykonał genialne posunięcie: rzucił podejrzenie na nieobecnego. Uzyskał to, czego chciał. „Z kłusownikiem rozprawimy się, gdy wróci, póki go nie ma, chmarze nic nie grozi” — powiedzieli ludzie i rozeszli się do domów. I oto od wczoraj Rzepa uzyskał swobodę działania. Na placu

boju zostaliśmy we trzech: Bolek, ja i zaczajony na ambonie, bardzo już nieszczęśliwy, Jaś Chudoga.

— Sami wpadliście w zastawioną pułapkę.

— Słuchaj dalej. Wczoraj odwiedziliśmy władcę kniei. Narada była więcej niż gorąca. Był taki moment, że Jaś chciał wyjść z ukrycia, obejść ludzi, powiedzieć, kogo podejrzewamy, i zorganizować wielką obławę. Jeśli tego nie uczynił, to tylko dlatego, że wciąż nie mieliśmy pewności, czy Rzepa rzeczywiście jest kłusownikiem. A robić obławę na niewinnego... Dość, że postanowiliśmy dalej działać sami. Ale jak? Zarysowały się dwie koncepcje: albo deptać mu po piętach, aby czuł się skrępowany, albo udać brak zainteresowania, uśpić czujność, dopuścić do strzału i przyłapać na gorącym uczynku...

— To była też właśnie koncepcja Rzepy! — zawołał Maciek. — Mówił mi o niej wczoraj...

— Tak, ścigający chcieli uśpić czujność kłusownika, a kłusownik ścigających. Poleciliśmy dziś, skoro świt, z Bolkiem do Krzyska, niby porozumieć się z panem łowczym, patrzymy, a Czesiek rozbebeszył ciągnik Kubiaka i ani mu w głowie jelenie. Uraczył nas tym samym, czym ciebie uraczył wczoraj: „Nie kręcić się po lesie, zając się swoimi sprawami, niech kłusownik myśli, że daliśmy za wygraną”. Oczywiście, nas nie zawiadomił o tym, że Jaś Chudoga jest kłusownikiem. Przyklasnęliśmy z Bolkiem jego idei. Nie pojedziemy do lasu, pojedziemy do nadleśnictwa. Bolek ma do odrobienia zaległe raporty. Prosił, żebym mu pomógł. Trochę się droczyłem, ale w końcu wyraziłem zgodę. Cała ta komedia była po to, aby utwierdzić Rzepę w przekonaniu, że dziś nikt mu nie przeszkodzi w nielegalnym polowanku. Nadleśniczy w Warszawie, my w nadleśnictwie...

— A wy nie pojechaliście do nadleśnictwa, lecz do lasu...

— Właśnie, że pojechaliśmy do nadleśnictwa. Mógł przecież zadzwonić...  
Zadzwonił?

— Jakże, sprawdził nas. Zadzwonił pod byle pozorem. Rozmawiał z Bolkiem, ze mną, poprosił do telefonu Kalepę, pytał, czy nadleśniczy nie wrócił. Dobrze to wszystko odegrał. Mam dobre ucho, ale w jego głosie nie

znalazłem nutki fałszu. Przyznam się wam, że nie wiedzieliśmy z Bolkiem, co o tym sądzić. Przyjeliśmy jednak, że to dzwonił kłusownik. Bolek został w nadleśnictwie, a ja pojechałem do kryjówki Chudogi powiedzieć mu, jak sprawy stoją. Ustaliliśmy, że on będzie dyżurował do jedenastej, a ja od jedenastej. I że jednak na wszelki wypadek nadleśniczy zawiadomi milicję. Wpadłem do Pędzichówka, twoja matka prosiła, żebym bronił kurcząt przed jastrzębiem.

— To wiemy...

— Wróciłem na porębę i wlałem na sąg. Nim zmorzyła mnie senność, palnąłem do jastrzębia na postrach. Z drzemki wyrwała mnie wasza wizyta. Resztę już wiecie.

— No, nie bardzo! — zawołał Maciek. — Mam jeszcze wiele pytań.

Kiczyłło przystanął, aby pogłaskać Tarkę. Suka skorzystała ze sposobności i polizała pana w nos.

— Pytaj, Pafnucy, pytaj. Kto pyta, nie błądzi.

— Dlaczego chciałeś się nas pozbyć?

— Po słynnej a bohaterskiej obronie dzikich kaczek mieliśmy prawo spodziewać się, że i chmarę zasłonisz własną piersią. Postanowiliśmy przeto z Jasiem trzymać was z daleka od kłusownika i jego spraw. Co jeszcze?

— A dlaczego wtedy, gdy porwałeś Roksanę, nie pojechałeś od razu na Dołowatkę, tylko na Uroczyścę?

— Przez cały czas, gdy usiłowałem się was pozbyć, słyszałem hałas traktora. Do głowy mi nie przyszło, że jest już po wszystkim.

— A może to było wcześniej, gdy drzemałeś na sągu?

— Być może, nie będę się spierał. Kiedy dopadłem Roksany, pojechałem w stronę Uroczyścza...

— A jak wtedy zgubiłeś nas na szosie? Nie było żadnych śladów na północnym poboczu.

— Przejechałem drewnianym mostkiem. Tam dalej leżą drewniane bale. Dlatego nie zostawiłem śladów,.. Zresztą na Uroczyścze nie dojechałem, bo zaraz za szosą spotkałem Marchwickiego. On mi powiedział, że coś się popsuło w motorze i że Czesiek już dawno tam poszedł.

— A skąd się wziął sztucer na przyczepie?

— Musiał go wsadzić w nocy. Opróżnił częściowo skrzynię z narzędzi, robiąc miejsce na zwierzynę i sztucer. I pewnie wtedy tak chytrze pomajstrował przy silniku, żeby się w odpowiednim momencie coś popsulo.

— Nie bał się, że Marchwicki zajrzy do skrzyni?

— Klucz od skrzyni miał tylko Czesiek. Marchwicki miał zapowiedziane, że ciągnik naprawiać może tylko mechanik Rzepiński. Zresztą stary nie ma pojęcia o silniku i do poważniejszych napraw wcale się nie palił, a do mniejszych Czesiek zostawiał mu torbę z podręcznymi narzędziami.

— No i co dalej?

— Zostawiłem Marchwickiego i poleciałem na Dołowatkę...

— Tak leciałeś, żeś mnie nie zauważył — wtrąciła Iga.

— A gdzie stałaś?

— A tuż przy przecince... Gdy Bumerang zobaczył Roksanę, pognął za nią jak szalony.

— Dopadłem dołowackiego lasu — mówił dalej Kiczyłło — ukryłem Roksanę i podkradłem się na skraj. Rzepa zabierał się do domu. Dalej to już wiecie.

— A w jaki sposób Rzepa, nie zauważony przez nikogo, popędził chmarę na Dołowatkę?

— Była to sztuka nie lada. Możliwa tylko dla kogoś, kto wie, gdzie szukać jelenia, zna ostoje i przesmyki, którymi chmara najchętniej ciągnie. Jak on to zrobił? Na razie możemy się tylko domyślać. Gdy upewnił się, że siedzimy w nadleśnictwie, wyruszył z Krzyska na północ. Potem zawrócił, i idąc pod wiatr, trafił na chmarę. Może im się pokazał, może go słyszały. Spłoszone opuściły ostoję i zaczęły ciągnąć tam, gdzie chciał, na południe, w pobliże traktora.

— Widziałem, jak ciągną łanie — wtrącił Maciek. — Przez las idą stępa. Na skraju zatrzymują się i długo obserwują polanę. Wysuwają pyski i chrapami łowią zapachy, które przynosi wiatr. A jak strzygą łyżkami...

— Czym? — spytała Iga.

— Łyżkami. Tak się nazywają uszy jelenia. A wiesz, jak się nazywają

oczy? Świece.

— Chmara, którą ruszył dziś Rzepa, nie miała wiele czasu na lustrowanie polan. Przystawały i oglądały się do tyłu. Nie umiem wam powiedzieć, czy rozpoznawały w nim tego, kto przez całą zimę był ich karmicielem, czy instynktownie wyczuwały, że teraz żywi wobec nich wrogie zamiary? Nie umiem powiedzieć; tak mało wiemy o psychice jeleni. Leszek urwał i rozejrzał się.

— Nadleśniczy mówił, że chmara przeleciała szosą przy moście. Dalej powinna iść jednym z tych przesmyków. Musimy teraz uważać. Tu gdzieś mogą być ślady.

— Powiedz jeszcze tylko, jak było z Bartkiem? — spytał Maciek.  
Kiczyło zatrzymał się.

— Jak było naprawdę, wie Rzepa, ja mogę się tylko domyślać. Nie wiem, czy spotkał Bartka przypadkiem, czy ruszył z ostoi, dość, że popędził go na Rojno. Wiedział, że rano będzie tamtędy przejeżdżał traktorem. Było za ciemno, aby wypatrzeć ślady. Kierował się chyba słuchem. Bartek dopuszczał go na bliskie odległości. Tutejsze jelenie są bardzo oswojone. Bartek na widok człowieka w ogóle nie uciekał. Trzeba było machnąć ręką, żeby odszedł. I Rzepa, podążając za nim, pewno go płoszył.

— Prowadził jak krowę na rzeź — mruknął Maciek.

— Gdy Bartek przekroczył beton, Rzepa został i zajął dogodne stanowisko. Zabił, kiedy jeleni wracał. Na tym polega końcowa faza polowania po tropie: ruszona zwierzyna po pewnym czasie wraca do ostoi. Bartek nie od razu zawrócił, pewnie urządził sobie małe śniadanko.

— Ja też go tam kiedyś spotkałem — powiedział Maciek.

— Rzepa nie wiedział, że Kubasiewicz go przedtem zauważył — ciągnął Leszek. — Zamiast zająć się transportem, zabrał się do patroszenia. Wtedy omal nie został nakryty przez Bolka.

— To był duży błąd.

— No, każdy myśliwy po upolowaniu zwierzyny patroszy ją przynajmniej częściowo, w obawie, żeby się tusza nie zaparzyła.

— Tusza? — spytała Iga.

— Tusza to ciało zabitej zwierzyny... Spłoszony strzałami Bolka, Rzepa uciekł do Krzyska. Tam przez telefon dowiedział się o obławie i o... szansie uratowania tuszy. Pomyślał pewnie, że Bolek będzie musiał się cofnąć na linię obławy. Sam więc ofiarował się zająć stanowisko od Dołowatki. Przejeżdżając zabrał Bartka do skrzyni.

— To było bardzo ryzykowne.

— Rzepa szukał ryzyka. Perspektywa wykradzenia tuszy podczas obławy musiała go szczególnie pociągać. W godzinę później, gdy zakończyła się obława, pod pozorem, że mu przeszkadza, odprowadził traktor do Krzyska, dokończył patroszenie i najspokojniej przyłączył się do przeczesywania Rojna.

— Szukał, czego nie zgubił.

— Ale jak to jest możliwe, żeby jelen z takimi ogromnymi rogami zmieścił się do skrzyni? — spytała Iga.

— Z jakimi rogami? — oburzył się Maciek. — Rogi to ma krowa. Na poroże jelenia mówi się wieniec...

— Niech ci będzie wieniec.

— ...a poza tym o tej porze roku każdy byk jest łysy.

— Łysy?

— Łysy, Rzepicho — powiedział Leszek. — Przed wiosną jelen zrzuca poroże. Starsze byki zrzucają w lutym, młodsze w marcu, aby do końca lipca nałożyć nowe, nie tylko całkowicie zregenerowane, ale wspanialsze niż przedtem. Powtarza się to co roku.

— Jak to jest możliwe, aby kość odrastała?

— Brawo, Rzepicho! Masz umysł filozofa: dziwisz się. Ale nie mogę zaspokoić twojej ciekawości, to tajemnica,...

— Jaka znów tajemnica?!

— Tajemnica natury. Nauka nie potrafi jej wyjaśnić, tylko ją opisuje. Już sam opis jest zresztą fascynujący! — Leszek zatrzymał się, był bardzo przejęty. — Co to jest poroże? Jest to oręż walki. Jesienią, gdy jelen w okresie rui toczy rozliczne boje, poroże niezwykle mocno trzyma się na jego głowie. Nagle w zimie, gdy oręż już jest niepotrzebny, z nie wyjaśnionych bliżej

powodów zostaje zahamowany dopływ odżywczej krwi do nasady wieńca, który w tym miejscu staje się kruchy. Jeleń uderza porożem o drzewa — aż strąci.

— Pozbywa się swego oręża?! — zawołała Iga.

— I staje się bardziej lękliwy. Nawet starzy samotnicy szukają wtedy towarzystwa innych jeleni. Pozbawione wieńców jelenie załatwiają spory przy pomocy przednich nóg. Ale są to nieważne szczegóły. Rzeczy ważne i tajemnicze odbywają się w organizmie zwierzęcia. Jest on zmuszony do wielkiego wysiłku — wybudowania w ciągu zaledwie czterech miesięcy nowego poroża. Te cztery miesiące to okres kryzysu, ale i wielkiej mobilizacji organizmu, przygotowującego się do rui. To, co na wiosnę jest słabością, stanie się we wrześniu siłą. Odbudowa wieńca jest próbą żywotności, naturalną selekcją. Słabnący czy chory byk nie zregeneruje wieńca w całej okazałości. Ze skarłowaciałym porożem będzie bez szans w walce z silniejszymi, a myśliwy zakwalifikuje go do odstrzału jako jednostkę szkodliwą dla gatunku.

— Jesteś więc za polowaniem? — zawołała Iga ze zdumieniem.

— W tym sensie tak — powiedział Kiczyłło. — Poluje nie tylko człowiek, polują na siebie zwierzęta, silniejsze zwyciężają, słabsze giną. Tak pojęte polowanie, organizowane przez ludzi, odgrywa w przyrodzie pozytywną rolę, jako uzupełnienie naturalnej selekcji.

— To dlaczego już nie polujesz? Kiczyłło wzruszył ramionami.

— Dziś przyroda tak dalece została zagrożona przez człowieka i jego dzieło, że naturalne prawo traci swój sens. Trudno jest polować w czasach, gdy trzeba ratować przyrodę, jej egzystencję...

Maciek słyszał to już sto razy. Przerwał więc Leszkowi, ale bardzo elegancko.

— Leszku, chciałem ci złożyć gratulacje. Bardzo misternie przeprowadziłeś śledztwo. Sherlock Holmes był jednak w Pędzichówku.

— Pafnucy, zbyt jesteś dla mnie łaskaw... — zaczął Kiczyłło.

Nagle urwał.

— Tu gdzieś musiał zabić — rzekł zniżając głos. — Tym przesmykiem



jelenie najczęściej wychodzą na pole.

Przeszli jeszcze parę kroków.

— Jest!

## **JAK TO DOBRZE, ŻE NIE JESTEŚ KŁUSOWNIKIEM**

Na rozmięklej ziemi widać było odcisnięte drobne racice. Siad przecinał koleiny i biegł dalej w pole.

— Lania.

— Skąd wiesz? — spytała Iga.

— Wąski ślad, byk zostawia szerszy.

— Ta się uratowała! — ucieszyła się Iga.

— Sądzisz? — mruknął Leszek.

— Uciekła w pole. Kiczyłło nie odpowiedział.

— Zobaczymy, co się stało z resztą chmary — rzekł po chwili i ruszył naprzód.

Wypatrywali innych śladów, ale nic już nie znaleźli.

— Chmara musiała wcześniej zawrócić do ostoi — powiedział Leszek. — Nasza łania została sama. Najadła się strachu. Byki, zwłaszcza stare, chodzą samotnie, ale łanie lubią towarzystwo. Trzymają się dużymi chmarami, czyli gromadami. Zazwyczaj prowadzi je starsza z cielęciem, tak zwana licówka. Instynkt macierzyński czyni ją nadzwyczaj czujną i ostrożną. Pod jej przewodnictwem łanie i szpicaki, czyli młode byki, czują się bezpieczne. Nie wiem, dlaczego nasza odbiła się od towarzyszek. Może już zawracały, a ona wpadła na kłusownika i ponownie zaczęła uciekać w pole?

— Może strzał ją wystraszył? — powiedział Maciek. Jakiś czas szli w milczeniu.

— Musiała się czuć bardzo nieszczęśliwa — mówił dalej Kiczyłło. — W dzień jelenie najchętniej przebywają w głębi lasu. Tam jest ich dom. Bardzo

dziwny. Nie ma w nim ciepła ani wygodnego legowiska. Jeleń nie wygrzebuje nor i nie buduje gniazd. Dach zastępuje mu skóra porośnięta włosami, tak zwana okrywa szorstna, odporna na zmiany temperatury i przystosowująca się do nich. Zimą włos staje się gęstszy i dwa razy dłuższy. Nam, niewolnikom pieców, ciepłej bielizny i parasola, trudno sobie wyobrazić to bytowanie pod gołym niebem. Niewiele wiemy o życiu jeleni w ostoi. Przyrodniczy mówią, że one w dzień spoczywają w swoich leżach. Dziwne to spoczywanie. Są jelenie, które prawie się nie kładą, a jeśli, to tylko po to, żeby wytarzać się w błocie i wygubić insekty.

— Pan Targowski opowiadał, że miał klacz, która się nigdy nie kładła — wtrącił Maciek.

— Dzień i noc, całe życie, do późnej starości, do osiemnastu lat — bo tyle przeciętnie żyje jeleń — na nogach. Na tych cieniutkich, ale jakże mocnych badylach...

— Badylach? — zdziwiła się Iga.

— Tak się nazywają nogi jelenia.

— A wiesz, jak się nazywa ogon? — spytał Maciek.

— Nie wiem.

— Kwiat. Fajnie, nie?

— Przeprowadzają się rzadko, chociaż nie mają zapasów żywności — jak wiewiórki, ani pościeli — jak ptaki. Przywiązują się do pewnego obszaru lasu, do wydeptanego racicami poszycia. Tam chciała wrócić nasza łania. Myślę, że nie pobiegła daleko w pole. Wiecie, co mogło ją również nakłonić do powrotu? Ciekawość. Jest to cecha całej rodziny jeleniej. Mówiłem wam, że ruszone z ostoi przez pewien czas uciekają w panice, ale potem zatrzymują się, oglądają, chcąc się przekonać, kto za nimi idzie. Ciekawość jest tak silna, że wreszcie zawracają i, jak mówią myśliwi, przerywają się do tyłu. I gdy tak ciągną wiedzione tęsknotą i ciekawością, dosięga je kula.

— Ale naszej nie dosięgła? — pytała Iga. Nikt jej nie odpowiedział.

Szli w milczeniu, wciąż się rozglądając. Wtem Maciek podbiegł kilka kroków.

— Zobaczcie! Podeszli.

Tuż przy koleinie widniała czerwona plama. Iga podniosła wzrok na Leszka.

— Czy to nasza? Kiczyłło pochylił się.

— Dostała w komorę — powiedział. — Posoka jasnoczerwona, widać jeszcze pęcherzyki powietrza.

— Nigdzie, nie ma śladów racic — zauważył Maciek.

— Muszą być — Kiczyłło zszedł na zorane pole. — O, macie tutaj. Jakie głębokie. W tym miejscu zaznaczyła strzał, odbiła się do skoku. Po strzale w serce jeleni wykonuje rakiety, potężny skok w przód i w górę. Ostatni skok życia.

— Biedna łania — szepnęła Iga. — Nie wróciła do domu.

— Dlaczego on to robił? — spytał po chwili Maciek.

— Dla sławy.

— Zlituj się, co za sława, przecież nikt nie wiedział, że on jest kłusownikiem.

— Była to chorobliwa żądza sławy, czerpiąca satysfakcję nawet z samego rozgłosu występku. Jest w tym chęć potwierdzenia się przynajmniej we własnych oczach, skoro nie można znaleźć potwierdzenia w oczach innych. Czesiek był zachwycony sobą jako kłusownikiem. Pamiętasz, jak umiejętnie podsycił zainteresowanie tą postacią? Ludzie wciąż mówili o niej. A równocześnie chciał imponować jako tropiciel. Dawał przykład poświęcenia, ofiarności, brał na siebie najtrudniejsze zadania. Jeżeli te wysiłki nie dawały rezultatu, to dlatego, że ten, kogo poszukiwano, był kimś, przed kim nawet tropiciel Czesław Rzepiński musiał skapitulować.

— Ale on i na innych rzucał podejrzenia!

— Rzucał podejrzenia, gdy czuł się zagrożony. Prowadził bardzo sprytną grę. Chciał uczłowieczyć siebie jako tropiciela: popełniał pomyłki, przyznawał się do błędów i z jeszcze większym zapałem rzucał do pracy, olśniewając nowymi koncepcjami. Przyznasz, że takie postępowanie odsuwało od niego podejrzenia.

— Ale skąd mu się wzięła ta, jak powiedziałaś — chorobliwa żądza sławy?

— Bo ja wiem... Odkąd go pamiętam, zawsze był tak zwanym cudownym

dzieckiem. Na szkolnych akademiach mówił wzruszające wierszyki, w chórze śpiewał solowe partie. Potem błyszczał na boisku sportowym. Żył w przekonaniu, że jest najlepszy. Gdy poszedł do technikum, a potem do wojska, spotkał lepszych. Powoli budziło się w nim poczucie krzywdy, chociaż nikt go nie skrzywdził. Niezadowolenie z siebie przerodziło się w nienawiść do świata. Gdy chwyciłem za sztucer, w bezsilnej złości ładowałem kule w ziemię.

— Dobrze, że cię nie postrzelił — zauważył Maciek.

— Zapominasz, Pafnucy, że „nieodżałowany towarzysz twoich młodzińczych wypraw” jest nie do pobicia na rękę.

— Ty też mogłeś ich postrzelić — powiedziała Iga, zwracając się do Maćka.

— Nie mógł, kochana Rzepicho, nie mógł — stwierdził spokojnie Kiczyłło.

— Dlaczego?

— Bo dubeltówka była nie nabita.

— Nie nabita?

— Nie.

— A więc celowałem do was ze straszaka! — zawołał Maciek, gdy ochłonął ze zdumienia.

— Bardzo to trafnie ująłeś, Pafnucy.

— Kiedy ją rozładowałeś?

— Po nastraszeniu pana jastrzębia nie ładowałem ponownie.

— To ty też wyprawiałeś się ze straszakiem na kłusownika?

— W rzeczy samej. Drodzy moi, ja uważam, że człowiek, jako istota obdarzona niezbyt doskonałym systemem nerwowym, nie powinien ładować broni, jeśli przewiduje, że przyjdzie skierować ją przeciwko innemu osobnikowi z rodziny człekokształtnych. Wystarczy postraszyć, czego mieliśmy najlepszy dowód na Czesiu.

— To po coś podnosił ręce, jeśli wiedziałeś, że nie mogę strzelić?

— Chciałem ci zrobić przyjemność.

— Ale chłopaki będą miały ubaw, gdy się dowiedzą, że wojowałem

straszakiem.

— Nie musisz się do tego przyznawać.

— Leszek koloryzuje, to ty też możesz — wtrąciła Iga.

— Im na pewno się nie przyznam — powiedział Maciek wskazując wzrokiem przed siebie.

Od Pędzichówka zbliżała się gromadka szóstoklasistów i Dżokej. Szli pieszo, tylko Dżokej górował nad wszystkimi z wysokości swego Fabiana. Od nadleśniczego wiedzieli już, jaką rolę odegrała nasza trójka w ujęciu kłusownika, więc zaraz ją otoczyli, wiwatując i mówiąc wiele miłych rzeczy, które się zwykło mówić przy podobnych okazjach.

Z tej wielkiej radości zapomnieli o Ewce Rzepińskiej. Dopiero Leszek spytał, czy ona już wie o aresztowaniu brata. Zrobiło się od razu cicho — każdy wyobraził sobie, jak by się czuł, gdyby się dowiedział, że ktoś z jego najbliższych okazał się przestępcą i został zakuty w kajdanki. Ewka nie mogła jeszcze nic wiedzieć, bowiem nie było jej w Pędzichówku-wsi, gdy nadleśniczy i plutonowy Ciećwierz przyprowadzili Rzepińskiego. Maciek powiedział, że Ewka ma przyjechać pożegnać Igę. Ruszyli więc spiesznie w drogę, aby jej oszczędzić widoku Cześka w kajdankach.

Zaraz po przybyciu na miejsce Leszek wysłał Dżonego i Zbynia Muchę do topolowej alei, z poleceniem, aby natychmiast dali znać, gdy zobaczą nadjeżdżającą Ewkę. Czesiek Rzepiński był jeszcze w Pędzichówku. Siedział w kantorku pana Kasickiego i pod opieką plutonowego Ciećwierza czekał na podwodę. Wszystkie furmanki były w robocie i pan Kasicki posłał w pole po Skorupę.

Przed gankiem Kasiczówki dwa dyszlowe kasztany z cugowej stajni, zaprzężone do nowej bryczki, bardzo się niepokoiły. Wystane przez święta, wypoczęte, rwały się do biegu. Bardziej zrównowazona Bo jarka zniecierpliwienie okazywała pełnym tęsknoty rżeniem, gorzej natomiast rzecz się miała z Taranem. Potomka słynnej Taranteli najwyraźniej ponosił temperament: to szarpał do przodu, to cofał się przysiadając na zadzie, to rwał kopytem żużel podjazdu, aż wreszcie, mimo ostrej interwencji rotmistrza, rzucił się w bok i stratował kawał świeżej darni, którą pani

Kasicka wyłożyła krawędzie swoich rabatek. Wszelką niesubordynację rotmistrz starał się tłumić w zarodku, w tym przypadku był zmuszony do zastosowania radykalnego środka: przyłożył Taranowi batem. Potem — trzymając ponoszące konie na zaciągniętych wędzidłach — objechał gazon dookoła.

Państwo Nowakowie odprowadzani przez gospodarzy wyszli na ganek. Nadeszła chwila pożegnania. Iga obchodziła kolegów ściskając każdemu rękę. Gdy podeszła do koni, omal się nie popłakała. Wprawdzie Bumerang zachowywał się bardzo powściągliwie, ale Roksana wyciągnęła swój piękny łeb i skubnęła Igę za rękaw.

— Już nie mam cukru! — zawołała żałośnie dziewczynka.

Nikt nie miał przy sobie cukru i Iga nie mogła wywdzięczyć się Roksanie za przyjacielskie skubnięcie, chociaż najprawdopodobniej było ono całkowicie bezinteresowne.

— Doglądaj jej — powiedziała Iga zwracając się do Maćka.

Państwo Nowakowie sadowili się na bryczce, pan Nowak wsunął obie walizki pod siedzenia, a pani Nowakowa owinęła się wysoko szarą derką, nie tyle w obawie przed zimnem, ile dla ochrony przed grudkami ziemi lecącymi spod kopyt koni.

Na końcu Iga podeszła do Maćka.

— Cześć!

— Kiedy przyjedziesz?

— Nie wiem, ale długo w Warszawie nie wytrzymam.

— Przyjedź, jak będą dwa dni świąt.

— Dobra.

— Zdaje się, że pierwszy maja wypada w poniedziałek.

— Napisz, gdy się Kora ożrebi.

— Jasne, że napiszę.

— I gdy wydra wróci.

— Dobra.

— No, to cześć.

— Cześć.

Jakoś niezgrabnie uścisnęli sobie ręce.

— Przyjeżdżaj.

— Przyjadę.

Chciała coś jeszcze powiedzieć, ale nic już nie powiedziała, tylko gwałtownie odwróciła się i podeszła do bryczki.

Przypomniała sobie jeszcze o rudziku i pobiegła na ganek. Wsunęła rękę w gęstwinę kapryfolium.

— Przyleciały! — zawołała. — Zaczęły więc gniazdo! Czuję puch. A gdzie one są?

— Poleciały po budulec — wyjaśnił Leszek. — Albo na obiad — dodał Maciek.

— Tak bym chciała je zobaczyć.

Wszyscy rozglądali się za parą rudzików, ale one zapewne latały gdzieś nad stajnią, bo tam jest najwięcej smacznych dla nich much.

Iga usadowiła się na przednim siedzeniu. Rotmistrz obiecał, że pozwoli jej na szosie powozić. Już miał ruszyć, gdy na podjazd wpadła na rowerze Ewka z szarym pudłem pod pachą. Leszek od razu domyślił się, co się stało: chcąc skrócić drogę, ominęła topolową aleję i ukrytą tam czujkę. Dyskretnie wycofał się z kręgu zegnających i pobiegł do kantorka.



— To dla ciebie — powiedziała Ewka, podając Idze pudło.

— Dziękuję! Go to jest?

— Dwa kurczątka.

— O, jakie śliczne — ucieszyła się zaglądnąca do środka. — Dziękuję!

Cześć!

— Cześć. Podobno złapaliście kłusownika?! — spytała Ewka.

Nikt jej nie odpowiedział, rotmistrz zebrał lejce i konie ruszyły z miejsca. Maciek, Dżony i kilku jeszcze chłopców biegli obok bryczki.

— Do widzenia!

— Szczęśliwej drogi!

— Przyjeżdżaj!

— Daj im w pociągu wody! — wołała Ewka, także biegnąc z tamtymi.

Iga chciała jeszcze pożegnać jednolatki. Wzruszony pamięcią o ulubieńcach rotmistrz skręcił za Kasiczówką na drogę biegnącą przez sad ku grobli i... omal nie zderzył się z furmanką Skorupy. Stary, chcąc oszczędzić Rzepińskiemu spotkania z ludźmi, wiózł go opłotkami i właśnie droga wypadła mu przez sad.

Na widok skutego brata Ewka stanęła jak wryta. Spojrzenia ich spotkały się. Czesiek spuścił oczy.

Skorupa dał koniom po bacie, wyminął bryczkę i skierował wóz ku topolowej alei.

Od Kasiczówki nadbiegł Leszek. Nie zdążył opóźnić wyjazdu Skorupy.

— Ewka! — zawołał.

Drgnęła. Spojrzała nieprzytomnie na otaczających ją ludzi. Odwróciła się i zaczęła iść w stronę Kasiczówki, szła coraz prędzej, aż puściła się biegiem. Widzieli, jak wsiadała na rower i odjechała w stronę miasteczka. Patrzyli za nią w milczeniu. Nikt nie przemówił słowa. Rotmistrz cmoknął na konie i bryczka potoczyła się po nierównej drodze.

Maciek podszedł do Leszka. Ujął go za rękę. Tak jak kiedyś, gdy był małym chłopcem.

— Jak to dobrze, że nie jesteś kłusownikiem — szepnął.

**FINALE W WYKONANIU SAMEGO  
TUHAJBEJA**



Maciek przyszedł wcześniej na przystanek. Rzadko mu się to zdarzało, ale czasami się zdarzało. Nie marudził przy ubieraniu, odbył półgodzinną przejażdżkę, szybko oporządził konia, zdążył nawet skoczyć nad staw, aby zobaczyć, czy wydra nie wróciła, raz-dwa połknął śniadanie — i oto stał już na przystanku.

Ranek był ciepły, pachnący wiosną, pełen ptasiego śpiewu. Gdy przed feriami jechał ostatni raz do szkoły, w bruzdach pod lasem leżał śnieg, teraz śniegu już nie było, po obu stronach alei zieleniła się trawa, z czerwonymi plamkami spadłych z topoli bazi.

Nadjechał autobus. Maciek wsiadł, powiedział „dzień dobry” Józkowi Walendzikowi i zatrzasnął drzwi. Autobus ruszył z wielkim szumem i hałasem. Przy kierowcy stał naburmuszony Dżokej. Bardzo nie lubił stać, a wszystkie miejsca siedzące były zajęte już od Ludyni.

— Cześć — powiedział Maciek.

Dżokej patrzył przez niego, jakby Maciek był ze szkła.

— Pierwszego maja otwarcie sezonu — odezwał się po chwili.

— Gdzie?

— W Marzyszu.

— Startujesz?

Dżokej zignorował pytanie.

— Powiedz ojcu, żeby kazał podrzucić do Marzysza kilka drągów — powiedział.

— Co, drągów nie macie?

— I górnych segmentów do muru.

— Potłukliście przez zimę?

Dżokej patrzył teraz przez przednią szybę.

— Przysłali mi pismo ze Służewca. Dwudziestego czerwca jadę do Warszawy na egzamin — powiedział po chwili.

— Z czego zdajesz?

I tym razem Dżokej nie raczył odpowiedzieć.

— Ty, ta Iga, co u was była, ona nie mieszka na Służewcu? — rzekł.

— Nie, na Żoliborzu.

— Gdyby mieszkała na Służewcu, tobym się u niej zatrzymał.

Gdy mijali Rojno, Maciek powiedział:

— Ale wiosna! Dżokej milczał.

— Nie wytrzymasz bez tego w Warszawie.

— Bez czego?

— Bez wiosny.

— A po co mi wiosna w Warszawie?

Wraz z większością pasażerów wysiedli na rynku. Był prawie pusty, widać nabywcy dojadali jeszcze zapasy z przedświątecznych zakupów.

Na rogu Sienkiewicza i Wesołej Maciek zatrzymał się. Ewki jeszcze nie było. Zagwizdał w umówiony sposób. Chwilę nasłuchiwał, a potem zagwizdał jeszcze raz.

— Gdzież ta Ewka? — powiedział.

Dżokej spoglądał na wyszczotkowane noski swoich butów.

— Ewkaaaa! — zawołał Maciek. Cisza.

— Skoczę po nią.

— Pewno jest już w budzie — odezwał się Dżokej, wciąż zapatrzony w noski.

Maciek pobiegł Wesołą, potem skręcił w Miłą. Dżokej uroczyście kroczył za nim.

Maciek zastukał do drzwi. Nikt się nie odezwał. Ujął za klamkę — drzwi były zamknięte. Zajrzał przez dziurkę, klucz tkwił w zamku. Podszedł do okna i, przykładając nos do szyby, usiłował dostrzec coś przez firankę. Zastukał w okno.

— Mówię ci, że jest w budzie — powiedział Dżokej podchodząc.

— Zamknęła się — odrzekł Maciek. Załomotał w drzwi pięścią. W sąsiednim domu odezwał się pies.

— Idziemy — Dżokej ruszył z powrotem.

Maciek dogonił go. Na rogu obejrzał się. Domek Rzepińskich stał cichy, jakby wymarły.

Z otwartych okien szkolnego gmachu dolatywał gwar podniesionych głosów.

— Najedli się w święta mięsa i teraz szumią — powiedział Dżokej.  
Rozstali się na korytarzu. Maciek pobiegł do klasy. Poszukał wzrokiem Ewki. Nie było jej.

— Masz matkę? — zagadnął go Jacek Jesionowski.

— Mam.

— Daj.

— Zaraz.

Skoczył do ławki Ewy, zajrzał pod pulpit: pusto.

— Ty, gdzie Ewka? — spytał Magdy.

Siedziała o dwie ławki dalej i liczyła w lusterku piegi.

— Nie wiem.

— Przyszła do budy?

— Nie wiem.

Maciek rzucił książki i wybiegł z klasy. W drzwiach złapał go Jacek.

— No, dawaj tę matkę.

— Weź sam.

Czterema skokami przebył schody. Z tarasu widać było kawał Sienkiewicza. Wspiął się na palce. Kilka osób szło w tę stronę, kilka w przeciwną. Nie było wśród nich Ewki. Na pewno nie było. Przyglądał się wszystkim po kolei.

Dzwonek na lekcję. Kilkoro spóźnionych ruszyło biegiem przez ogród. Na ten widok przyspieszyli ci, którzy byli jeszcze na ulicy.

— Nie widziałeś Ewki? — spytał przebiegającego Zbysia Muchę.

— Rzepińskiej? Nie.

Rozległ się drugi dzwonek. Scichł gwar dochodzący przez okna. Maciek wrócił do klasy. Przyszedł fizyk i zaczęła się lekcja. Niewiele z niej zrozumiał. Po dzwonku popędził na Miłą. Dom Rzepińskich wciąż był zamknięty, a na pukanie nikt nie odpowiadał. Wrócił do klasy na rysunki. Podczas drugiej przerwy znów pobiegł i znów zastał dom głuchy.

Na trzeciej godzinie był polski. Pani napisała na tablicy temat: *Wspomnienie z ferii wielkanocnych*. Patrzył przerażony, nie mógł zebrać myśli, a cóż dopiero napisać klasówkę. Siedział i tępo spoglądał w zeszyt. Nagle coś

go naszło, chwycił długopis i opisał wszystko to, co mu przychodziło do głowy na temat Leszka i latających talerzy. O tym, co się działo naprawdę, nie wspomniał słowem. Ani się obejrzał, gdy miał cztery strony maczku. Przeczytał całość i uśmiechnął się. Stwierdził w duchu, że jest to jeszcze lepsza historia niż ta, która wydarzyła się naprawdę. Dopisał tytuł: Kłusownik na pokładzie latającego talerza, schowa! długopis i odniósł zeszyt nauczycielce. W tej chwili rozległ się głos dzwonka. Natychmiast zapomniał o latającym talerzu i wybiegł z klasy.

Na korytarzu zderzył się z Bogusiem Chodakowskim, który mieszkał w sąsiedztwie Ewki.

— Te, Inteligent, nie widziałeś Ewki Rzepińskiej?

— Pewno siedzi w kiciu — zachichotał Inteligent, Maciek przez moment zawahał się. Boguś był cięższy i miał większy zasięg ramion. Na pięści Maciek nie dałby mu rady. Pochylił głowę i z trzech kroków uderzył bykiem. Trafił w żołądek. Boguś poleciał na ścianę, osunął się i, trzymając się za brzuch, jął przeraźliwie jęczeć. Maciek poczuł, że ktoś chwytą go za ramię żelazną ręką. Podniósł głowę, ujrzał czerwone oblicze Tuhajbeja, a obok — blade — Równiachy. Żelazna ręka należała oczywiście do Tuhajbeja.

— Niech się pan zajmie tamtym — powiedział dyrektor dzierżąc w garści Maćkową marynarkę.

Równiacha pomógł wstać Bogusiowi. Ten wciąż trzymał się za brzuch i jęczał, ale już trochę ciszej.

— Który zaczął? — indagował Tuhajbej cichym głosem.

Boże, cichy głos — zapowiedź najgorszego!

— On — rzekł Maciek.

— Ja? Panie dyrektorze, to on mnie uderzył!

— Tyś pierwszy uderzył? — spytał dyrektor Maćka.

— Pierwszy i ostatni — odpowiedział dumnie Maciek — ale on zaczął.

— Panie dyrektorze, to są niecne insynuacje — jęknął Boguś. — On mnie, nie wiadomo dlaczego, uderzył bykiem. O, tutaj — pokazał.

— Bykiem? — zainteresował się Tuhajbej. Zawsze interesował się technicznymi szczegółami bójek, „On się musiał napażać za młodu” —

pomyślał Maciek, spoglądając z uznaniem na dyrektora.

— Na pięści nie dałbym mu rady — wyjaśnił — jest o trzy kategorie cięższy.

— No, tak — zgodził się Tuhajbej, ale natychmiast zmienił ton: — Uderzyłeś bez ostrzeżenia?

— Patrzył na mnie.

— To mało: trzeba było zawołać.

— Co by to pomogło? On nie ma refleksu.

— Dość tego. Bierz książki i do domu. Niech matka jeszcze dzisiaj przyjdzie.

— Nie pójdę do domu.

— Cooo?

— Muszę szukać Ewki Rzepińskiej. Tuhajbej puścił marynarkę Maćka.

— Nie przyszła?

— Nie.

— Trzeba było zająć po nią.

— Nie odpowiadała na stukanie.

— Była w domu?

— Chyba tak. Klucz tkwił w zamku.

Tuhajbej wyprostował się, odetchnął głęboko. Oczy mu latały.

— Panie dyrektorze, jest mi niewymownie przykro... — zaczął Chodakowski, do którego wreszcie dotarło, dlaczego oberwał. — Ja... ja nie pomyślałem...

— Nie teraz — uciął Tuhajbej. — Oddech miał krótki i urywany. Wiedzieli, że był chory na serce.

— Pan dyrektor pozwoli, ja się tym zajmę — powiedział pośpiesznie Równiacha.

— Niech pan tam zaraz idzie.

— Prowadź, Maciek — rzucił polecenie Równiacha. — Czy mogę też iść? — spytał Inteligent. Równiacha spojrzał na dyrektora.

Tuhajbej skinął głową.

Ruszyli we trzech. Na korytarzu i przed szkołą roilo się jak w ulu. Na

boisku rozpoczął się mecz między piątakami a szóstakami. Była duża przerwa, mieli dwadzieścia minut na rozegranie spotkania.

Równiacha stawiał wielkie kroki. Maciek i Boguś ledwie mogli za nim nadążyć. Szli, nic do siebie nie mówiąc.

Ulica Miła była pusta. Tylko pani Magierowa sadziła flance w swoim ogródku. Maciek pozdrowił staruszkę. Nie usłyszała, była zupełnie głucha.

Równiacha zapukał do drzwi Rzepińskich. Nikt się nie odezwał. Ujął za klamkę. Drzwi były zamknięte. Maciek schylił się — klucz wciąż tkwił w zamku.

Porozumieli się wzrokiem.

Równiacha zapukał jeszcze raz.

— Ewka — zawołał.

— Ewka! — podchwycił Maciek.

— Ewka! Ewka!... — przyłączył się Boguś. Równiacha uciszył ich gestem. Chwilę nasłuchiwał.

Z domu nie dochodził najmniejszy dźwięk.

— Ewka!

Tym razem okrzyk nauczyciela zabrzmiał jakoś inaczej. Chłopcom zrobiło się straszno.

Nagle Równiacha zwrócił ku nim dziwnie poweselałą twarz, tylko oczy nie brały udziału w tej zmianie nastroju. Podniósł ręce. Dyrygując zaczął skandować wesołym głosem:

— Ew-ka, Ew-ka!

— Ew-ka, Ew-ka! — zawtórowali mu chłopcy. Stara Magierowa podniosła głowę znad grządek i patrzyła ku nim.

Równiacha nakazał ciszę. Czekali w napięciu.

— Jeszcze raz — powiedział Równiacha, z trudem przywołując na twarz uśmiech i znów unosząc ręce gestem dyrygenta.

Ale w tej chwili rozległ się zgrzyt zamka, drzwi otworzyły się i stanęła w nich Ewka Rzepińska. Była w ciemnych okularach. Po co założyła te okulary? Przecież nie płakała. Ewka nigdy nie płakała. Nawet gdy miała spiralne złamanie ręki po skoku przez rów. Koń się pod nią zwinął. Ten kary Biret po

Baltimorze. W ręku trzymała teczkę.

Nie wiedzieli, jak się zachować. Ale Równiacha wiedział. Nim się spostrzegli, ogarnął Ewkę ręką i ruszył spiesznie w stronę szkoły. Musiała prawie biec. Chłopcy puścili się za nimi w dyrdy.

— Mam do ciebie taką sprawę — mówił Równiacha najzwyczajnym głosem. Jakby przed chwilą wcale nie konał ze strachu o nią. Jakby nie było tej całej pielgrzymki do Rzepińskich. — Jak wiesz, Basia Matkowska, w związku z przedłużającą się chorobą, zrezygnowała ze stanowiska przewodniczącej. Zastanawiałem się, kto mógłby prowadzić koło do czasu nowych wyborów. I wpadło mi na myśl, że ty mogłabyś to robić. — Umilkł na chwilę, czekając, co Ewka powie. Ponieważ milczała, mówił dalej: — Rzecz jest pilna. Wiosna nas zaskoczyła, są duże zaległości. Chciałbym, żebyś nie zwlekając zorganizowała pracę w ogródku. Tak jak ty potrafisz.

I przez dłuższą chwilę rozwodził się na temat tych prac w szkolnym ogródku, którego opiekunem była szósta klasa.

Tuhajbej, założywszy ręce do tyłu, spacerował tam i z powrotem przed budą, lekko pochylony, ogromny, groźny. Było już po pierwszym dzwonku. W oknach tkwiły dziesiątki głów. Widocznie wieść o wszystkim rozeszła się po klasach.

Tuhajbej przerwał spacer i, wszedłszy na pierwszy stopień (chyba po to, żeby się wydać jeszcze wyższym), czekał. Nie patrząc na zbliżających się, po swojemu ciskał na boki piorunujące spojrzenia. Nagle odwrócił się i spojrzał w górę. Głowy w oknach zniknęły w jednym ułamku sekundy.

Stanęli we czwórkę przed dyrem.

Zszedł ze stopnia. „Zrobi jej dziką awanturę za to, że opuściła tyle godzin bez usprawiedliwienia” — pomyślał Maciek i zacisnął zęby. Ale Tuhajbej ani myślał robić awanturę. Pytająco spoglądał na Równiachę.

— Prosiłem Ewkę, aby objęła funkcję przewodniczącej kółka przyrodniczego... — zaczął Równiacha.

Wielka, czerwona twarz Tuhajbeja wykrzywiła się, oczy zmały do rozmiarów szpareczek — dyr uśmiechał się!

— Chciałbym, żebyś jeszcze dzisiaj zabrała się do dzieła. Dobrze? —

rzekł zwracając się do Ewki.

Skinęła głową.

— I pamiętaj. Ze wszystkimi kłopotami przychodź do wychowawcy albo do mnie. Ze wszystkim do Tuhajbeja.

A więc wiedział! Wiedział, jak go nazywali. Maciek postanowił puścić to w obieg: ze wszystkim do Tuhajbeja. „Jeszcze każe jej to napisać sto razy” — pomyślał złośliwie.

Ewka podniosła ciemne okulary na zroszoną kropelkami potu twarz dyra. — Dziękuję.

Zrobił straszliwego marsa.

— Do klasy już, już. Do klasy!... Wy zostańcie. Ewka odeszła z Równiachą, Maciek i Boguś zostali. Tuhajbej wbił w Bogusia spojrzenie swoich przekrwionych oczu.

— Więc jest ci niewymownie przykro...

— Tak, panie dyrektorze, to ja niewczesnym odezwaniem sprowokowałem Maćka.

— Jakimże to niewczesnym odezwaniem? — Pozwoliłem sobie wyrazić przypuszczenie, że Ewka jest w kiciu.

— W kiciu? — spytał bardzo cicho Tuhajbej.

— Oczywiście, to był żart, panie dyrektorze — pospiesznie zapewnił Boguś.

— To był żart?

Maciek zdumiał się. Nie przypuszczał, że twarz dyrektora posiada takie bogactwo kolorów: w tej chwili była amarantowa. Tuhajbej nie patrzył już na Bogusia. Rzucając na boki spojrzenia, mówił stłumionym, lekko zachrypniętym głosem:

— Przepiszesz sto razy... nie, dwieście razy... „Jest mi niewymownie przykro, że niewczesnym odezwaniem sprowokowałem Maćka Kasickiego. Nigdy więcej nie pozwolę sobie wyrazić przypuszczenia, które mogłoby kogokolwiek dotknąć. Kreślę się z poważaniem, Bogusław Chodakowski”. Przepiszesz to... trzysta razy.

Cichy jęk był mu odpowiedzią.



— Na jutro. Pięćset razy!

Boguś już nie jęczał. Na dnie rozpaczy człowiek milczy.

— Powtórz.

— Jest mi przykro...

— Jest mi niewymownie przykro — poprawił Tuhajbej.

— Jest mi niewymownie przykro, że sprowokowałem...

— ...że niewczesnym odezwaniem sprowokowałem — poprawił Tuhajbej.

Przy: „niewczesnym odezwaniu” — łzy napłynęły do oczu Bogusia, a przy: „nie pozwolę sobie wyrazić przypuszczenia” — rozplakał się w głos. Ale Tuhajbej nie miał litości.

— Dalej.

— To wszystko.

— Jeszcze: kreślę się z poważaniem, Bogusław Chodakowski.

— Kreślę się z poważaniem, Bogusław Chodakowski — wychlipał.

Maciek miał chwilę złośliwej satysfakcji. Tę swoją retorykę Inteligent będzie przepisywał całe popołudnie, a pewnie i kawał nocy zarwie. Tak, Tuhajbej potrafił wymierzyć sprawiedliwość. Spojrzał na dyra i zadrzał: Tuhajbej patrzył na niego.

— A ty... sto razy... Hm... „Nie wolno uderzać bez ostrzeżenia”. Nie, nie, inaczej... „Bicie nie jest argumentem”... Powtórz!

Maciek odetchnął: trzy krótkie i jeden długi wyraz. I tylko sto razy.

— Bicie nie jest argumentem — wyrecytował, słodko modulując głos.

Biegając do klasy obliczał, że na historii przepisze co najmniej trzydzieści razy, a na matmie — resztę I popołudnie wolne. Hura!

Trafił na czytanie listy obecności. Rad był, że się nie spóźnił. Chciał usłyszeć nazwisko Ewki odczytane przez nauczyciela i jej energiczne, trochę gardłowe: „obecna”. Równiacha był dopiero przy początku listy.

— Iwański.

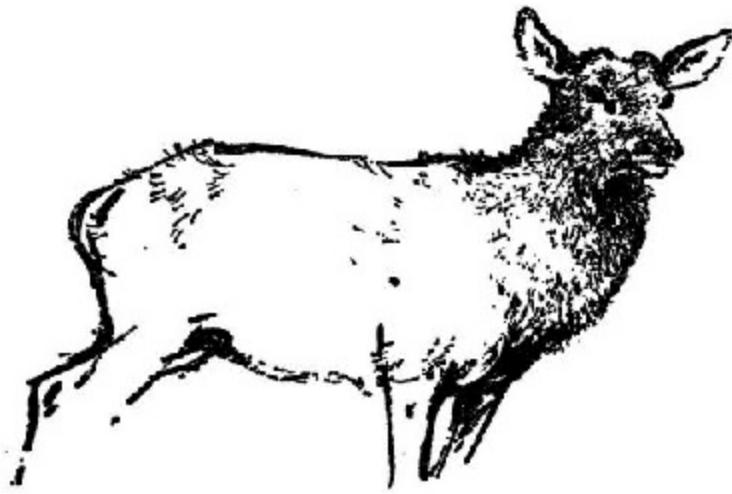
— Obecny.

— Jesionowski.

— Obecny.

— Kasicki.

— Ależ ja jestem, jestem! — zawołał Maciek. On zawsze musiał inaczej.



# Spis treści

KŁUSOWNIK O STU TWARZACH  
BUMERANG – KOŃ WIECZNIE MŁODY  
MACIEK WYSTĘPUJE Z KARABINEM W RĘCE  
MACIEK DOKONUJE PRZERAŻAJĄCEGO ODKRYCIA  
DZIEWCZYNA O ZIELONYCH OCZACH  
MROŻĄCY KREW W ŻYŁACH OKRZYK APACZA  
GDY W KLUSKĘ WSTĄPI DIABEŁ  
PAN WOŁODYJOWSKI NA ŁAWIE OSKARŻONYCH  
O TYM, JAK BOLEK KUBASIEWICZ STRZELAŁ DO KŁUSOWNIKA  
KRZYK TRWOGI NA PODDASZU  
TAJEMNICZA WYPRAWA PANA ROTMISTRZA  
CZY BYK ZNIKNAŁ JAK DWÓJKA TREFL?  
LESZEK KICZYŁO WIE, KTO JEST KŁUSOWNIKIEM  
GOTOWIŚCIE NA ŚMIERĆ?  
JEDZ, WAĆPAN, PROSZE  
ZIELONE KŁOPOTY Z ZIELONYMI OCZAMI  
IGA PRZESZŁA SAMEGO PANA ZAGŁOBĘ  
PANI KASICKA NIEPOKOI SIĘ STANEM SYNOWSKIEGO SERCA  
O TYM, JAK MACIEK WYPOWIEDZIAŁ WOJNĘ MYŚLIWYM  
KNIAZIÓWNA CHCĄ SIĘ WYDAĆ ZA... BOHUNA  
CZESIEK RZEPIŃSKI UZUPEŁNIA LISTĘ PODEJRZANYCH  
JASTRZĄB ZAWISŁ NAD OFIARĄ  
ŚMIERTELNY STRACH  
POJMANIE KŁUSOWNIKA  
A JEDNAK SHERLOCK HOLMES BYŁ W PĘDZICHÓWKU  
JAK TO DOBRZE, ŻE NIE JESTEŚ KŁUSOWNIKIEM  
FINALE W WYKONANIU SAMEGO TUHAJBEJA